



DOKTRYNERSTWO I DOKTRYNERZY.

Ile razy autorowie spółcześni, a zwłaszcza publicyści używają nazwy „doktrynerzy", przywiązują do niéj, jeżeli nie wyraźnie, to domyślnie, znaczenie ujemne, nawet pogardliwe, lekceważące. Skąd się wzięła nazwa, dlaczego do niéj przylgnęło znaczenie ujemne, oto co nas zajmie w tym artykule.

Niektóre przydomki, nazwy, przezwiska nietylko ogarniają sobą mnóstwo pojęć, są niejako dachem pokrywającym całe systematy, szkoły, stronnictwa, ale mają swoję historyę, wcale nie bajeczną. Tak się ma rzecz z „doktrynerstwem i doktrynerami".

Pierwszy raz w publicystyce europejskiéj zjawia się nazwa „doktrynerów" we Francyi za restauracyi Burbonów, około 1816 roku. Historya tak o tém mówi. Izba zwołana 1816 r. na 4 listopada tak wyglądała: Prawica, gdzie siedzieli ultrarojaliści Villèle, Labourdonnay, Corbière, Bonald i inni na czele, miała naprzeciw siebie prawe i lewe centrum, gdzie siedzieli konstytucyonaliści, oraz lewicę, gdzie są znajdowali niezależni z szeregów Lafayetta, a stanowili mniejszość. Z posłami prawego centrum, z pośród których Royer-Collard, głowa szkoły doktrynerów, na vice-prezesa był wybrany, trzymała większość ministrów i wysokich urzędników, a między nimi Guizot i Molé. Obstawali oni za umocnieniem i rozwinieniem życia konstytucyjnego na podstawie ustawy konstytucyjnéj *(charte)*. Tyle historya, która nie objaśnia dość wyraźnie, dlaczegoby ludzie, obstający za utrzymaniem konstytucyi w czasie gwałtownéj reakcyi za

Ludwika XVIII mieli przez to otrzymać lekceważącą nazwę „doktrynerów”. Tylko znając nieco z późniejszych robót Guizota, Royer-Collarda, Thiersa i innych można się domyślać, że, nazywając ich doktrynerami, dowcip francuski chciał przeto dotknąć umysły ciasne, teoretyków uwięzłych w doktrynach konstytucyonalizmu, uważanego wówczas za wszechlekarstwo na rozmaite niedomagania polityczne. Od owego czasu upłynęło lat blisko 80, z ludzi owoczesnych zapewne prochów niewiele, a etykieta, jaką im przyklejano, żyje i dotychczas bywa przypinaną, jakkolwiek pojęcie przez nią oznaczane uległo pewnéj zmianie i ściślejszemu określeniu.

Jakoż, dzisiaj doktrynerem nazywamy człowieka, publicystę lub polityka głównie, którzy zbyt ściśle stosują swoje zasady, swój system, swoją teoryę, doktrynę do spraw politycznych i wogóle praktycznych. Rozszerzając tę definicyę, możnaby powiedziéć, że doktrynerstwo jest gwałtownem narzucaniem teoryi życiu praktycznemu, poddawaniem go abstrakcyjnym formułkom, jako niby prawom absolutnym. Doktrynerzy zatém mogą się znaléść nietylko w zakresie polityki, ale również w zakresie etyki, prawa, ekonomiki—słowem, w sferach życia praktycznego. Nie mówimy o doktrynach ani w matematyce, ani w fizyce lub chemii; ale dobrze się mówi o doktrynach w polityce.

Można czytać lub słyszéć takie zdania: tylko konstytucyonalizm jest formą rządu najlepszą; tylko protekcyonizm jest zdrową polityką ekonomiczną; niech świat zginie, byle sprawiedliwości zadość się stało i t. p. Głoszący takie zasady, gdy się znajdzie u steru spraw praktycznych, chciałby je w życie wprowadzić. Odstąpienie od dogmatu uważałby sobie za ujmę, a chociażby sprawy, któremi kieruje, w ten dogmat nie wlazły, będzie je paczył, albo się usunie gwoli konsekwentności.

Ujemną tedy stroną doktrynerów jest konsekwentność posuwana do ostateczności, do krańców. Ale czyż konsekwentność, logiczność myślenia może stanowić ujemną stroną dla kogokolwiek? Przecież brak konsekwencyi w rozumowaniu, w rozprawach, nawet w potocznéj rozmowie jest właśnie cechą złego myślenia. Na rozprawiającego niekonsekwentnie wołają natychmiast: nie krzyżuj się sam ze sobą Wogóle, brak logiczności w rozmowie lub piśmie świadczy o słabéj głowinie mówiącego lub piszącego.—Tak jest. Konsekwentność w rozumowaniu, w teoryi, w książce, logiczność jak najściślejsza, stanowią bardzo celną i cenną zaletę rozumowania, teoryi, dzieła. W téj sferze ostateczność, chociaż może się komuś nie podobać, obrażać czyjeś uczucia, nie szkodzi jeszcze niczemu, co stoi na zdrowych, własnych nogach. Jeżeli ktoś pewne zasady przyjmuje za prawdziwe, a osta-

tecznych wniosków z nich nie wyciąga, to albo rozumować nie umié, albo się boi obrazić inaczéj myślących i ściągnąć sobie wrogów. Więc należy koniecznie przestrzegać jaknajściślejszéj konsekwencyi w rozumowaniu, teoryi, książce, jako nieodzownego warunku porządnego myśleniu.

Więc może w życiu, w praktyce wolno być niekonsekwentnym? Nie. I w życiu trzeba być konsekwentnym, oczywiście w sprawach godziwych. Od tego w części zależy charakter człowieka. Ale w téj chwili nie o to chodzi. Chodzi zaś o to, do jakiego stopnia w sprawach praktycznych należy posuwać konsekwentność? Objaśnijmy przykładem myśl naszą. Przypuśćmy, że ktoś, minister naprzykład, hołduje abstrakcyjnéj zasadzie ekonomicznéj wolnego handlu. Tymczasem stosunki ekonomiczne w jego kraju dzięki rozmaitym okolicznościom tak podupadły, że nic się na miejscu nie może rozwinąć — gdyż sąsiad zasobniejszy, rozumniejszy, swojemi wyrobami zaléwa rynki. Czy w takim wypadku nie byłaby potrzebna protekcya przynajmniéj dla niektórych gałęzi przemysłu? Minister zwolennik wolnego handlu, nieograniczonéj konkurencyi, będzie dla konsekwencyi ze swoją teoryą obstawał za wolnym handlem *à tout prix*, albo raczéj się usunie od służenia krajowi, niżby się miał sprzeniewierzyć swojéj zasadzie. Będzież ta konsekwentność jego zaletą czy wadą? Czy nie to właśnie nazwiemy doktrynerstwem? We wszystkich sferach życia praktycznego absolutna konsekwentność nie może być stosowana. Życie w gromadzie, choćby najmniejszéj, w rodzinie naprzykład, wymaga wzajemnych ustępstw. Chęć przeprowadzenia swojéj woli absolutnie, co sobie niektórzy mają za tęgość charakteru, prowadzi do takich starć, że dopiéro dłuższe doświadczenie uczy człowieka, iż życie w gromadzie wymaga ciągłych ustępstw wzajemnych. Jak zaś daleko mają sięgać te ustępstwa, na to recepty niemasz; każdy musi sam dla siebie rzecz tę rozważyć; oczywiście, ustępstwo sięgające do zupełnego wyrzeczenia się swojego zdania nie byłoby ustępstwem, lecz opuszczeniem poprzedniego stanowiska. Opuszczenie zaś punktu widzenia, czyli stanowiska raz zajętego, niektórzy ludzie uważają sobie za ujmę. Można czasami słyszéć ich mówiących: ja nigdy zdania nie zmieniam, nie chwieję się jako chorągiewka na dachu. Piękna zasada, lubo tylko negatywna. Z ludźmi tego kalibru w sprawach praktycznych, czy prywatnych, czy publicznych, nic począć nie można, bo to cobyście chcieli począć sprzeciwia się ich dotychczasowemu zapatrywaniu, ich doktrynie, a oni tę doktrynę mają za absolutnie prawdziwą i jedyną. Jestto stanowisko abstrakcyjnego rozumu; jak tylko nie wierzysz doktrynie, jesteś w oczach tych ludzi nieuk, apostata.

Wiadomo, że ludziom brak bywa rozmaitych rzeczy, tylko rozumu nigdy im nie brak; mają go dosyć nietylko dla siebie, ale i na pożyczenie bliźnim. Taką obfitość rozumu mają właśnie doktrynerzy. W głowach ich nie może się pomieścić, żeby bliźni mógł także mieć zdanie coś warte, żeby z nim warto było pomówić. Obawiają się, żeby to zdanie nie zachwiało ich zdania, nie otworzyło im oczu na inne strony sprawy i nie zmusiło do zwątpienia o swoim rozumie. Są to fanatycy i bałwochwalcy swojego rozumu i swojéj konsekwentności: dla niéj gotowi porwać wszystkie stosunki towarzyskie, otoczyć się ruinami, byle ich zdanie przemogło: niech się świat zawali, byle ich doktrynie stało się zadość. Oto, co właśnie w doktrynerach razi ludzi doświadczonych, ta skamieniałość ich zdania; słysząc ich rozprawiających, możnaby sądzić, że te głowy skostniały zaczarowane jakąś zasadą, że zmiany odbywające się kolo nich i w dalszym świecie nic na nich nie oddziaływają, że to są bracia śpiący, znarkotyzowani doktryną.

Byłoby niesprawiedliwém lekceważyć takich dogmatyków i są to często charaktery idealne, piękne, do ofiary nawet zdolne, tylko do spraw praktycznych niezdatne, po za książką, dziennikiem, katedrą — niedołęgi. To, co im inni mają za ujmę, ową skamieniałość ich głów, oni uważają za zaszczyt dla siebie, za stałość zasad, za podniosłość charakteru. Jest tu zatém walka między dwoma stanowiskami, poglądami, z których jeden utrzymuje, że nigdy swojego zdania nie należy zmieniać, gdy drugi twierdzi, że ze zmianą okoliczności, jakie życie przynosi, odstąpienie od swojego zdania, od swojéj doktryny jest konieczne, przez rozum praktyczny wymagane.

Zatém, wnioskują doktrynerzy, wolno jest zmieniać zdanie, wolno dzisiaj nazywać coś czarném, a jutro białém, dzisiaj dobrém a jutro złém, dzisiaj prostém a jutro krzywém? Nie. Nie o to chodzi; porównania te są nie na miejscu. Więc o cóż chodzi? O to mianowicie, że zdania i sądy nasze mogą być albo całkowicie, albo częściowo mylne. Ta mylność sądów zachodzi najczęściéj w sprawach praktycznych. Człowiek dobréj wiary i woli gdy spostrzeże, że sobie utworzył sąd o pewnéj sprawie lub człowieku pośpieszny, niesprawiedliwy, nie będzie się wahał z jego odmianą. Nietylko mu to nie czyni ujmy, ale przeciwnie, stanowi jego zaletę. Ktoś postanowił taki a taki kawał ziemi uprawiać; ale gdy się postrzegł, że sił, to jest kapitału mu nie starczy, postanawia uprawiać mniéj, wcale się nie zrzekając uprawy całości, gdy dojdzie większych zasobów. Pierwotne swoje zdanie zmienił; ale któż rozsądny będzie go za to ganił i nazywał chorągiewką

na dachu? Oto, co nazywamy stosowaniem się do okoliczności, kopaniem grobli wedle stawu.

Jeszcze raz powtarzamy, a na to chyba wielu się zgodzi, że nietylko wolno, ale że konieczném jest modyfikowanie swoich zdań i sądów, póki one nie są absolutnie prawdziwemi, a takiemi być nie mogą osobliwie w sprawach życia praktycznego; jeżeli jest jakiś postęp umysłowy, to chyba na tém polega, że sądy, zdania, opinie mniéj lub więcéj mylne zastępujemy prawdziwszemi. Poprawką, korekturą zaś naszych mniemań trudni się życie. Im ono jest dłuższe, obfitsze w zdarzenia, bystrzéj obserwowane, tém częściéj, niemal codzień modyfikujemy nasze zdania. Tylko zapamiętały teoretyk lub głupiec nie zmieniają zdania; bo głupiego chociażby wypadki tłukły jako ziarno w stępie, nic z niego nie wybiją.

Doktrynerzy słysząc taką naukę dają jéj odwet, wołając z oburzeniem: więc to oportunizm ma być wyższym jako prawidło życia i spraw praktycznych? Należy pamiętać, że tu nie idzie o etyczną wyższość jakiéjś zasady, lecz o jéj użyteczność i zastosowalność w pewnéj sprawie praktycznéj. Doktrynerstwo i oportunizm nie są zasadami etycznemi, lecz stanowiskami, z których patrzymy na rzeczy i sprawy ludzkie; doktrynerom się zdaje, iż ich punkt widzenia jest absolutnie prawdziwy, że z niego tylko można sprawiedliwie oceniać zdarzenia, że gdy ich doktryny ludzie nie przyjmą, nic się udać nie może; oportuniści przeciwnie przypuszczają, że do Rzymu nie jedna, ale wiele dróg prowadzi, że trzeba próbować w jednym czasie jednéj, a w drugim drugiéj, że kompromisy są nietylko dozwolone, ale nieraz konieczne, jeżeli chcemy wyjść z jakiegoś położenia uważanego za manowce bez wyjścia.

Przyjrzawszy się sprawom ludzkim czy to na małą skalę, czy na wielką, tak w koło siebie jak i w historyi przekonywamy się, że wszędzie te sprawy rozwijają się i rozwijały przez wzajemne ustępstwo na polu ekonomiczném, prawném i polityczném, ażeby uniknąć starć i wyjść z zabagnienia.

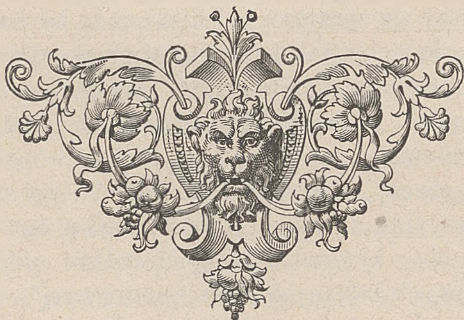
W gruncie rzeczy, najzapamiętalsi doktrynerzy stają się oportunistami, jak tylko wyjdą z pokoju, położą książkę, opuszczą katedrę czy klub: zetknięcie się z żywymi, czynnymi ludźmi oblewa zimną wodą „rycerzy zasadowych lubiących *Prinzipienreiterei*”, uczy ich modyfikowania krańców i wygładzania kantów. Jeżeli zaś tego nie uczy, to na zawadzie stoją albo upór przy nieomylności i konsekwentności, albo mózg skostniały—cechujące właśnie doktrynerów.

Ale mógłby ktoś zarzucić: czy lekarstwo nie będzie gorsze od choroby, czy oportunizm będzie pożyteczniejszy od doktrynerstwa?

A nuż niejeden tak się pomienia, jak ów stryjek, co za siekiérkę wziął kijek? Bywa tak w istocie, że co jednemu zdrowo, to drugiemu śmierć; jednak od czegoż rozum? Oto jeszcze kilka uwag dla zapobieżenia nieporozumieniom.

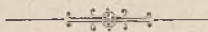
Oportunizmem, jak wyżéj powiedziano, nazywamy taki punkt widzenia w sprawach praktycznych, który wskazuje rozmaite drogi do tego samego celu; takie stanowisko, które pozwala na zmianę pewnych wyobrażeń, na zastąpienie jednych drugiemi, na ustępstwa między stronami, tam gdzie chodzi o interesy praktyczne. Zresztą, innéj drogi pożycia z ludźmi nie ma; musimy wzajem czynić sobie ustępstwa czy w stosunkach jednostkowych, czy w zbiorowych. Należy przecież pamiętać, że ustępstwa nietylko kres swój mają, ale co ważniejsza, że oportunizm byłby najfałszywszą drogą w sferach teoryi naukowych. Przecież za pomocą ustępstw nie można załatwiać wątpliwości i dowodzić prawd naukowych; takie załatwianie sporów naukowych, dla świętéj zgody i spokoju bliźnich, na niby się nie przydało. Poszukiwana prawda naukowa musi być wydobyta na jaw doświadczeniem i rozumowaniem; ustępstwami o nią walczyć niepodobna. Więc dobrze rozważywszy o co chodzi, i gdzie, w jakich sferach oportunizm może służyć za sposób godzenia sprzecznych interesów ludzkich, możeby ten i ów przystał, że, nie poświęcając ani honoru osobistego, ani spraw ogólnych, jest rzeczą roztropną próbować wyjścia z matni tą drogą.

K.



BIEDRONIE.

POWIEŚĆ *).



III.

Różowa jutrzenka błysnęła na niebie. Biedroń budził ludzi, uderzając trzciną po ścianach, dla większego hałasu. Wpadł do obory, — na słomie tuż za wtoruchą leżał skulony Jaś, okryty płachtą. Krew w starym zawrzała, opanowała go wściekłość, zamierzył się i z całych sił lunął chłopca.

Kunda zerwała się na równe nogi.

— Bij trupa, ty zbóju—wrzasnęła.

Staremu podniesiona do drugiego uderzenia ręka opadła, oczy wytrzeszczył, głos mu zamarł...

— Jak go jeszcze raz uderzysz, to ci polanem łeb rozbiję! — krzyczała.—Tyś gotów dobić własną krew.

Zdarła płachtę z Jasia. Skulony nie dawał znaku życia.

— Zabił go!—wrzasnęła.

Rzuciła się na chłopca, tuląc go do siebie.

W obejściu powstały szepty.

— Gospodarz zabili własne dziecko — powtarzali parobek i Kunda, łamiąc ręce.

---

*) Dalszy ciąg.—Patrz „Ateneum“ zeszyt marcowy r. b., str. 423.

Gospodyni wyleciała z chaty, wpadła do obórki, pchnęła Biedronia, odebrała Kundzie dziecko, pochwyciła je na ręce i zaniosła na swoje łóżko.

— Tego chciałam — szeptała Kunda, ociérając chustką pot z czoła.

Biedroń zawstydzony, nie śmiejąc patrzéć na ludzi, poszedł za żoną.

Wrzask Kundy rozlegał się daleko, — echa go powtórzyły. Ludzie ze wsi gromadzili się, opowiadając o złości bogacza, co zabil własne, jedyne dziecko.

Gdzie Jaś był, gdzie się ukrywał, co robił, z przypuszczeń tworzyła się legenda, ubrana fantazyą ludu.

Kobiéty czekały, póki Biedroń nie pójdzie w pole, chciały wejść, zobaczyć Jasia, pocieszyć gospodynię i ugadać się. Biedronia się bały—nie lubiał babskich nawiedzin.

Niedługo czekały. Stary, z nasadzoną na uszy czapką, wybiegł z chaty, minął wrotka, skręcając ścieżką do kościoła.

— Każe bić we dzwony—szeptały do siebie kobiéty na drodze—bo przecie, choć skąpy, nie będzie żałował papiérka dla jedynaka.

Z nastrojonemi uroczyście minami przestąpiły próg chaty.

Na posłaniu matki leżał Jaś. Oczy zamglone wsunęły się w głąb czaszki, usta były spalone od gorączki — schudł i zczerniał. Biedrońka siedziała przy nim i płakała.

Kobiéty przywitały się i siadły na ławie. Chwilę panowało milczenie.

— Żyje!—zaczęły szeptać między sobą—żyje!—Chwała Bogu!

Posypały się głośne rady.

— Idzie — zawołał Jaś, zrywając się na łóżku. — Idzie, jasności pełna... widzicie?

Wyciągnął ręce, patrzał nieruchomie i padł na łóżko.

Kobiéty powstały wystraszone i wzruszone.

— Najświętsza Panienka przyszła i weźmie go se prościutko do nieba—odezwała się jedna z nich.

Gospodyni ryknęła strasznym głosem i dalćj cicho szlochała.

— Moja kumo — zabrała głos najodważniejsza — co to teraz żale rozwodzić, katowaliście chłopaka i już; był cichy, potulny, do rany go przyłóż. I że Najświętsza zmiłowała się nad nim, to i nie dziwota.

Biedroniowa nie odpowiedziała, lecz ciągle, cicho szlochając, odwróciła sią gniéwnie od kum.

Kumy szeptały między sobą.

Do izby wpadła Kunda z wydojoném mlékiem, podniosła koszulinę Jasia i pokazała na ciele siniejącą pręgę.

— Patrzcie, jak ci go zdzielił! Żeby tak jeszcze raz, toby go zabił na miejscu. Tak się obchodzi z jedyném dzieckiem i dlatego Matka Boska zabierze go se... Ale jak chłopaka zabraknie, to i mnie tu nie będzie. Przeklnę was i pójdę, gdzie mnie oczy poniosą.

Przysunęła się do łóżka.

— Jasiu mój, Jasieczku—zawodziła — otwórz ślépka, spojrzyj na mnie. To ja, twoja Kunda, twoja sługa i matka twoja...

Biedrońka chciała ją odsunąć, lecz w téj chwili chłopiec, nie otwiérając oczu, uśmiéchnął się.

— Poznał mnie—zawołała—i zrozumiał, że to ja jestem i uśmiécha się.

Pochwyciła chłopca w pół, przytuliła się do niego i zapłakała.

— A jak pójdziesz do nieba, to i mnie siérotę zabierz ze sobą. Co ja tu będę na starość robiła sama.

Wszedł Biedroń.

— Kundo, bydło nie na błoniu, co ty leniu sobie myślisz, co? — krzyknął.

Kunda popatrzała na niego, jakby go chciała wzrokiem przebić, i wyszła. Zatrzymała się przed chatą, przylepiła do ściany i słuchała, łapiąc słowa Biedronia, wylatające przez otwarte okno.

— Jegomość radzi doktora—mówił stary.—Robota w polu pilna, za doktora piątkę trza wyrzucić, a tu żniwa za pasem. Żeby jeszcze choć co pomogło, ale pewnikiem nie pomoże i piéniądze się rzuci w błoto...

— Wyganiaj bydło sam i paś je sam—krzyknęła Kunda.

Pobiegła do stajni, otworzyła swoją skrzynkę, wyjęła srebrne sześć sztuk, wsunęła je do kieszeni, na plecy zarzuciła chustkę i wybiegła pędem za wrótka.

— Tę szelmę wygnam dziś, ale ci ją wprzód spiorę, że mnie do śmierci nie zapomni—mówił Biedroń, stojąc w oknie i patrząc na przelatującą przez dziedziniec dziéwkę.

Kunda wpadła do Czarnika.

— Kumotrze złocisty, zaprzęgajcie migiem szkapy i jedźcie ze mną do dworu. Macie tu srébrnego papiérka, pojedziemy po doktora, ze dworu wezmę pismo... Jegomość radzi doktora, a ten chciwiec dla jedynaka żałuje. Słychacie, żałuje szelma pięciu papiérków dla jedynego dziecka!... Ale ja daję swoje i sama z wami pojadę... Ona stara taka sama szelma, jak on pies. Jedźcież duchem ze mną. Żal

mi chłopaka, że mało co się nie zagubię. Jedźcież, jeśli Boga w sercu chowacie...

Zdyszana wybiegła i ścieżkami wprost do dworu pognała.

We dworze panienka napisała do doktora, Kunda kartkę pochwyciła, Czarnik zajechał, wsiadła i pojechała.

— Ja sobie te sześć papiérków odbiję na twojéj skórze i na twym majątku — szeptała, siedząc na wozie. — Ty sknero, ty zbóju, ty świnio z przeproszeniem—wołała głośno.

— Świnia, i wielga — poświadczył Czarnik. — Słychane to, aby biédna sługa sprowadzała za swoje doktora do jedynaka takiego bogacza? To po cudach nie trza chodzić...

Zmęczona dziewczyna całonocną bezsennością, zsunęła się na spód wozu, głowę oparła o siedzenie—drzémała.

Wieść o sprowadzeniu doktora przez Kundę do Jasia za jéj własne piéniądze rozleciała się po wsi błyskawicą. Ludzie stawali po drogach, kumy zbijały się w gromadki. Wszystko, co żyło, rozprawiało o tym wielkim fakcie.

Doktór zjechał, oglądał chłopca, słuchał, pukał i głową kiwał, chodził po izbie i znowu wracał do łóżka i jeszcze patrzał i liczył puls do zégarka i wciąż miarkował—a wymiarkować jakoś nie mógł.

Kunda stała przy łóżku uroczysta. Zapiérala oddech w piersiach, aby nie przeszkadzać. Biedroniowie poszli do stajni, nie chcąc się widziéć z doktorem.

— Kunda—rzekł doktór.

— Słucham—szepnęła, prostując się poważnie.

— Chłopiec może wyjść, ale potrzebuje wielkiéj pielęgnacyi.

— Ja go nie odstąpię dzień i noc—niech mi ino pozwolą chłopca wziąść do obórki na moje łóżko. Czysto tam i schludnie, — a tu w izbie kto o niego będzie dbał?...

Otuliła chłopca płachtą i delikatnie wzięła go na ręce.

Wyszła, doktór za nią,. W stajni zastąpili jéj drogę Biedroniowie.

— Gdzie!—krzyknął stary.

— Doktór kazał—odpowiedziała.

Biedrońka wydarła jéj chłopca.

— To nasze dziecko i w stajni nie damy go poniewiérać. A kiejś se doktora sprowadziła, to płać...

Wybiegła z chłopcem, a Biedroń za żoną, zatrzaskując drzwi izby. Kunda załamała ręce.

— Patrzcie, co to za zbóje, dla własnego dziecka nie mają miłosierdzia.

— Tyś zrobiła swoje—rzekł doktór.

— Co, swoje? — przerwała Kunda — jakie swoje? Co pan mówisz?... Ja chcę, żeby dziecko było zdrowe, bo jak zamrze, to spalę Biedroniów i ucieknę na koniec świata.

Oddychała ciężko.

— Cóż poradzimy?...

Kunda pocałowała doktora w rękę i poczęła serdecznie:

— Żeby to panoczek poszedł do chaty Biedroniów i powiedział ino głośno przy mnie, co mają robić chłopcu, i zastraszył ich, że inaczéj chłopaka zgubią.

Doktór, poruszony żalem dziewczyny, poszedł.

— Cóż to za twarde natury—powtarzał.

— Stwargnieli bez to skąpstwo, bez chciwość... Uganiają cały Boży dzień, a w nocy tylko jedném okiem śpią.

Otworzyła drzwi chaty, doktór stanął na progu.

— Dzień i noc w zimnéj wodzie maczane i wyżęte szmaty przykładać dziecku na głowę—lekarstwo przyślę, a gdy mu będzie lepiéj, przez cały miesiąc dawać mu mięso, jaja, mléko. Inaczéj chłopak umrze. Jeżeli go nie chcecie zabić—słuchać!...

Wyszedł, Kunda za nim, drzwi za sobą zatrzasnął. Biedronie odetchnęli, stary się uśmiéchnął. Nie dali doktorowi ani grosza, nie powiedzieli mu Bóg zapłać, a za to on powiedział, co trzeba i za piéniądze Kundy przyśle lekarstwo.

— Skąd ta szelma ma ich tyle—szepnęła Biedrońka.

— Musi nas kraść—syknął stary i pięście zacisnął.—Będę ja cię teraz pilnował—czekaj!

Zaturkotało na dziedzińcu, doktór końmi Czarnika odjechał. Kunda przyniosła do izby cebrzyk zimnéj wody, Biedrońka starą koszulę rozdarła na szmaty, Kunda je maczała i kładła na głowę chłopca.

Biedronie, nie przemówiwszy ani słowa, wyszli, Kunda zwyciężyła, plac boju przy niéj został. Pracowała bez przerwy.

Po dwóch godzinach chłopczyna się uspokoił, nie zrywał się, nie krzyczał, nie wyciągał rąk do Najświętszéj, nie bał się ojca.

Kunda tryumfowała.

— Najpierw Pan Bóg, a potém ja cię uratowałam! Nikt, tylko ja jedna. Przecie ty mnie może na starość nie wygnasz jak psa, gdy już ci harować nie będę mogła.

Uspokojona, dumna, szczęśliwa nadzieją, pogłaskała go ręką po twarzy, a ściągając mu szmatę, pocałowała w czoło.

Naprożno Zosia ze swoją starą czekała na Kundę. Bydło na błoniu przepędziła sama Biedrońka, chmurna, zła, nieprzystępna... upokorzona tém, że ona, wielka gospodyni, musi sama paść, — stała na uboczu.

Zosia, zdjęta litością, przysunęła się do niéj i pocałowała ją w rękę.

— Popasę za was—nie bójcie się—chociażem mała, dam se radę. Moja stara mądra!

Biedrońka rada oddała jéj bat.

— Jakże tam Jaś?—spytała dziewczyna ciekawie.

— Na odwieczerz przyślę Hankę po bydło — odpowiedziała i nie oglądając się, odeszła.

— Nie chcesz gadać to i tak się dowiem wszyćkiego od Kundy.

Gromadka dzieci przybiegła do niéj.

— Zośka Biedroniowe bydło pasie, ho, ho! to już pewnikiem wyda się za Jasia.

Dziewczyna cała spłonęła.

— Nie gadajcie głupstw, chłopczysko leży bez pamięci, nie ma sił oczu otworzyć.

— A cóżto Kunda nie sprowadziła doktora za swoje piéniądze? Nie siedzi w izbie jak pani i nie pilnuje go? Biedrońka pasie za nią, a ty za Biedrońkę.

Tymczasem wtorucha, korzystając z zabawy dzieci, prowadziła całe stado na organistowy groch.

Dzieci w krzyk. Cała chmara poleciała, pędząc gromadę, za niemi Zosia.

Bydło, przestraszone krzykiem, stanęło. Jedna wtorucha dopadła grochu, chwyciła garść całym pyskiem i w nogi, dognał ją Walek i lunął batem.

— A to jucha łakoma na cudze, jak Biedroń.

Dobrze w noc, gdy księżyc wypłynął na środek nieba, połyskując po wzdętych wiatrem chmurkach, Zosia dopadła do wrótek obejścia Biedronia i zatrzymała się. Psy zaszczekały, rzucając się na nią. Dziewczynina ułagodziła je skrawkiem chleba, liżąc jéj ręce, podprowadziły ją pod chatę.

Na stole palił się gaz, na łóżku leżał Jaś z obwiniętą szmatami głową, przy nim na ławie, oparta o ścianę, drzémała Kunda.

Zosia zastukała nieśmiało w okno. Kunda zerwała się, zajrzała, otworzyła drzwi.

— Chodź, nie bój się, nie ma nikogo. Biedronie kontentni, że ja pilnuję chłopca, chrapią w obórce na mojém wérku. W ściérwach

tych chciwość wyżarła nawet żal. Oni muszą się wyspać, żeby im nie zabrakło sił uganiać się bez cały dzień, skąpić, liczyć, zdziérać...

— Cóż Jaś?—spytała Zosia.

— Wiész, że ten doktór mądry. Drogi, bo drogi. Musiałam mu dać pięć papiérków. Oni woleliby się powiesić, jak papiérka wydać. Dałam własne, ale chłopcu pod wodą zaraz się ulżyło. Leży se cichutko spokojnie. Cudowna go nie nawiedza... On ją widzi, ale nie my, grzészne...

— Może go nam nie zabierze—szepnęła Zosia.

— Może go i zostawi na pociechę ludziom. Dobre, że do rany przyłóż. Będziesz miał, to i ludziom nie zabraknie.

Kunda pogłaskała szorstką, spracowaną ręką twarz Jasia. Zosia wyciągnęła swoją chudą i również nieśmiało głaskała.

— Wiész, Zośka, tak ci mi się spać chce, że się na nogach nie mogę utrzymać. Zdrzémnęłabym się, a ty tymczasem przemieniaj szmaty i kładź je na głowie chłopca.

— Nie zmrużę oka, a ty se, moja Kundo, spocznij abo na ławie, abo na stole—odparła Zosia.

— Byle gdzie, byle głowę oprzéć.

Kunda zwinęła chustkę pod głowę, rzuciła się na ławę i w téj chwili zasnęła.

Dziewczynina została sama, rada, że jéj oddano Jasia pod opiekę. Z wielką powagą przysunęła się, wyciągnęła chudą rękę i z pewném uczuciem rozkoszy zaczęła głaskać chłopca.

— Siéroto moja, anieli z nieba zlatują się do ciebie, Najświętsza Panienka odwiédza, ino ojcowie nie dbają... Jak ci ja będę pasać za ciebie i za siebie, aby ci ino ulżyć, ho, ho!... dam ci se radę. I chociażem mała, to przecie urosnę! Każdziuśkiego dnia mnie przybywa, skrzepłam teraz dość. Ja będę paść, a ty se legniesz, spoczniesz na murawie, tyś niebożątko nikłe, chude, jakby jakie pańskie dziecko, ciebie nie można poniewiérać...

Para zaczęła się wydobywać z pod szmaty, okrywającéj głowę Jasia, Zosia rzuciła ją do wody, wyżęła drugą szmatkę, położyła i rada z siebie, oparła głowę o poduszkę—czekała.

Powieki jéj zaciężyły i same spadły na oczy...

Za chwilkę zrobiła się jasność. Złocista z dzieciątkiem na ręku, aniołkami u boku, stanęła na środku izby. Aniołkowie uśmiéchali się, dzieciątko wyciągało ręce do Jasia. Zosia oniemiała ze strachu i bojąc się o Jasia, krzyknęła przeraźliwie.

Kunda się zerwała, dziewczynina, drżąc ze strachu, tuliła się do niéj.

— Przyszła -- widziałam ją z dzieciątkiem na ręku i aniołami. Tak samo, jak na obrazie w kościele. Wyciągała do Jasia ręce... Okrutnie się boję! Kundo, popatrz, czy już duszyczki jego nie zabrali.

Kunda podeszła do chłopca, przyłożyła ucho do jego ust, rękę na piersi.

— Ciepły—szepnęła—i oddycha—przyśniło ci się...

— Klnę się na Najświętszą, żem oczu nie zmrużyła.

— Widziałaś na własne ślépia?

— Niech martwa padnę, jeśli kłamię.

Kunda pomyślała chwilę.

— Jeśli go nie zabierze, to go wielka łaska czeka. A i ciebie, Zośka, bo i tyś ujrzała...

Zamyśliły się, para z głowy chłopca zaczęła buchać, Zośka przemieniła szmatę.

— Jeśli go nie zabierze—powtarzała smutno.—Ej, i po co ma go zabiérać, aniołów jéj nie brakuje.

— Jeśli go nie zabierze—rzekła uroczyście Kunda, wielka to łaska la chłopca i la całéj wsi. Błogosławieństwo la całéj wsi.

Zosia westchnęła.

— Żeby go nie zabrała — szepnęła. — Najslodszy Jezu, żeby go nie zabrała...

— Jeśli go zabierze, nie zostanę tu chwilki—pójdę w świat.

— To i mnie zabierzcie—rzekła Zosia.

— Dziecko, ty masz matkę, caluśką morgę gruntu, chałupę!

Do izby wsunęła się Tyksina. Kunda i Zosia opowiedziały jéj nawiedzenie Jasia przez Najświętszą. Szczegóły zrobiły wielkie wrażenie na kobiécie.

Zaświtało... Matka z Zosią ze strachu przed Biedroniem uciekły, przyrzekając przyjść w nocy, pomódz Kundzie.

Tego samego dnia cała wieś wiedziała, że Biedroniowego syna nawiedza z dzieciątkiem Matka Boska, że Jaś do niéj gada i ręce wyciąga, a widziała ją również Zośka. Jasność się zrobiła, aniołowie śpiéwali.

Lud wieczorem gromadził się przed wrotami chaty Biedronia. Każdy rad był zobaczyć chłopca nawiedzonego. Kobiéty przebąkiwały, że może i święty, bo gdyby zmarł, Złocista nie dałaby go ani na Zdrowaś Marya do czyśca, kiej sama przychodzi do niego. Zośkę rozpytywały i tuliły do siebie... Wielka gromada stanęła, organiścina otworzyła z mocą wrótka—poszła, za nią tłum.

— Gdzie?—krzyknął Biedroń.

— Do świętego—zawołano ostro.

— Do świętego!—powtórzyły kobiéty, idąc prosto.

Biedroń się cofnął do obórki, Kunda otworzyła okna, lud się cisnął i patrzał.

Na pościeli, okrytéj białą płachtą, z zamkniętemi oczami leżał Jaś. Głowinę i czoło otulała mu szmata, bledziuśki był jak opłatek, usta do połowy otworzył.

Ludzie zdjęli czapki i patrzeli w uroczystym nastroju. Kobiéty szeptały.

— Jaki ci delikatny, jaki bledziuśki, jak aniołek...

Kunda, chcąc się zemścić na starym, ściągnęła z Jasia płachtę, odchyliła koszulinę i pokazała siną pręgę na ciele.

— Patrzcie, tak ci go lunął, gdy już chłopczyna leżała prawie bez duszy.

Szmer oburzenia i wściekłości przeszedł po zgromadzeniu. Chłopiec się zbudził, zerwał, podniósł ręce, oczy rozwarł szeroko i patrząc w jeden punkt szeptał:

— Jasność... i Złocista z dzieciątkiem. Ulituj się i weź mnie! — zawołał.

Wyciągnął ręce i padł na poduszkę.

Lud przyklęknął, kobiéty zaczęły lamentować, Kunda załamała ręce.

— Weźmie go, weźmie i mnie siérotą zostawi!...

Lud cofał się z nabożeństwem od okna.

— Dziecko umiłowane—szeptano—przez Najświętszą, nie chowa się długo... Cnie Im się w niebie za nim i wezmą go między siebie.

— Ale że Zośka z całéj wsi jedna widziała świętą Panienkę?

— Bo i ona nie wytrzyma i pójdzie za Jasiem.

Lud wyszedł za bramkę, rozprawiając szeroko. Mimo wiedzy i woli wytworzył się pewien kult dla Jasia, jako dla wybranego, a nienawiść dla Biedronia. Nie mogli mu ludzie darować téj sinéj pręgi na chudém, zbiédzoném ciele dziecka...

Piątego dnia nad ranem Jaś otworzył oczy jakoś inaczéj, weseléj i raźniéj. Przetarł je i rozejrzał się.

Kunda przyskoczyła do niego.

— To ja u tatusiów jestem—szepnął.

— We własnéj chałupie i nie bój się nikogo. Kiej się ocuciłeś, to wszystko fracha. O, moje dziecko, com się za tobą nie nalamentowała, nie nabiedziła, to tylko jednemu Bogu wiadomo.

Przytuliła chłopca i z radości zapłakała.

— Gdzie tatusiowie?—mówił wylękniony.

— Harują w polu, na zagonie, — niech będą, gdzie chcą, ty na ich posłaniu, a ja przy tobie...

— Wtorucha?—zapytał.

— Zdrowa szelma szkodnica,—kulała ino jeden dzień...

— Zośka?

— Zośka cię nawiedza każdziuśką noc, aleś ty o tém nie wiedział. Był i doktór, aleś ty wtedy leżał rozpalony na węgiel.

— Kunda, okrutnie zesłabłem, że ledwo rękę udźwignę, jeść mi się ociupinę chce i pić.

— Dam ci mléka przegotowanego, ale niewiele, jeden, dwa łyki. Wiem ci, co dawać, bo ja jedna z doktorem gadałam, ja jeździłam po niego najętemi od Czarnika końmi.

Jaś pocałował Kundę w rękę.

— Bo kogóż ty masz lepszego nademnie?...

— Nikogo—szepnął, wypił mléko i zasnął.

Kunda zarzuciła na siebie chustkę i z wielkiéj radości wybiegła jak opętana...

— Żyje — wołała — żyje mój robaczek, ocucił się, oprzytomniał, wypił ociupinę mléka i usnął. Ale teraz już śpi jak nowonarodzone dziecko: spokojniutko i cichutko. Com się nie natrapiła, nie namodliła, nie napomstowała!... Żyje... i nie zabiorą mi go już, nie!... A jeśli Biedroniowie znowu zechcą mi go poniewiérać, spalę szelmów i z chłopakiem ucieknę na kraj świata.

Gospodynie otoczyły Kundę, częstowały ją, piła rada, szczęśliwa...

— A kto mnie natknął na doktora? Nikt, tylko Matka Boska. Ona mi go nie chciała zabiérać, nie... I za co? Czy to ja jestem jaka szelma, wysterkacz? Powiedziała mi: leć po doktora—poleciałam. I myślicie, że żałuję tych głupich papiérków?... Ani mi w głowie! A teraz bądźcie zdrowe. Obudzi się i nikogo wele siebie nie ujrzy. Doktór kazał mu pić surowe jaja, jak kotowi. Dajcie choćby po jednemu, to święte dziecko, będzie wam się szczęścić! Nie chcę się prosić Biedroniów, gotowi mi je skąpstwem urzeknąć.

Pół kopy jaj migiem złożono, Kunda zawiązała je w róg chustki i poleciała.

W nocy wsunęła się do izby Zosia. Jaś się zbudził, pokrzepiony snem oprzytomniał. Dziewczyninie radość biła z oczu, oddech ze wzruszenia zapiérał się w piersiach. Uszczęśliwiona Kunda mówiła jak na kołowrocie, Zosia wdrapała się na łóżko, usiadła przy Jasiu — słuchała.

— Wiész, Jaś — szepnęła, gdy Kunda wyszła — nawiédzała cię Najświętsza z dzieciątkiem. Gdym Ją ujrzała, myślałam se, że cię zabierze i bałam się okrutnie. Musisz ty być dobry, kiéj Najświętsza Panienka przychodziła do ciebie.

— Leżałem bez pamięci i tchu. Patrz — ściągnął koszulę z rękawa—co to ze mnie zostało. Samiuteńka kość, obciągnięta skórą.

— Prawda—westchnęła Zosia.

— Nie upasłbym teraz nawet jednéj waszéj staréj.

— Nie trapże się, mój Jasiu, bo ja już od tygodnia pasę wasze bydło, ino mi je Hanka przypędzi na błonie i po niego przyjdzie.

— Ty pasiesz nasze bydło?...

Zdziwienie Jasia było wielkie.

— Takem ci się umiała twéj matusi przypochlebić, że mi pozwoliła.

Dzieci uważały to pozwolenie za wielką łaskę ze strony Biedroniowéj. Jaś się rozśmiał, skóra zmarszczyła się na jego twarzy, białe zęby wyjrzały z pod bladych ust.

— Okropnieś zmizerowany, mój biédaku.

— Opowiadaj przecie bądź niejakie historye — szepnął chłopiec, nie rad słuchać o swéj mizerocie.

Zosia nastroiła stateczną minę i zaczęła mu opowiadać, co się dzieje na błoniach wśród bydła i dzieci.

Wróciła Kunda, wsunęła jajko do gorącego popiołu, aby je zagrzać, potém dała je wypić chłopcu.

Zosia wciąż opowiadała o zbytkach wtoruchy, rozumie „staréj”, figlach Antka. Jaś słuchał, oczy mrużył, aż je zamknął.

Dziewczyna zlazła z posłania.

— A co teraz będzie?—spytała.

— A co ma być — odparła Kunda.—Starzy wrócą na swoje legowisko—Jasia wezmę na swoje wérko, będzie mu z bydłem weseléj.

— A Biedroń nie będzie go bił?

— Niech mi go raz jeszcze dotknie, a i koniec jego na tym świecie.

— Kunda, bój się Boga!

— Głupiaś, nie twoja głowa na to. Wracaj do chałupy, a jutro w południe przyjdź do stajni pobawić się z Jasiem. Może mi się uda zostawić ci odrobinę mléka w garnuszku. Biedrońka nie da ci nic za pasanie, to przynajmniéj wypijże trochę jéj mléka.

— Prawda—szepnęła Zosia i pocałowała Kundę.—Czworo bydła paść, to nie jedną starą. Takam ci kotentna, że Jasia nie zabrali — szepnęła.

— A ja — zawołała Kunda. — Mnie się wciąż zdaje, że to mój chłopak i że ino jego jednego na Bożym świecie mam.

III.

Stało się, jak Kunda chciała. Jasia przeniesiono do obórki, starzy wrócili na łóżko do chaty. Zosia pasła, przychodziła bawić się z chłopcem i wypijała schowane przez Kundę dla niéj mléko.

Pierwszéj niedzieli po ocuceniu się Jasia, Biedroń wybrał się do organisty, razem poszli do proboszcza.

— Musicie zrobić cosik z chłopakiem—prawił organista. — Zadelikatny do roli i gospodarstwa. Rola twarda, to i twardych do siebie potrzebuje. Chłopakowi patrzy z oczu łatwy chlebuś, piórkiem marować po papiérze, abo przy ołtarzu mszę odprawiać.

— A mój odbytek, a kawał ziemi wydrapany pazurami pójdzie na marne?... przepadnie!?...

— Wróci do ludzi—rzekł filozoficznie organista.

— A niech mnie i chłopaka wpierw ziemia pochłonie.

Biedroń się zatrząsł.

— Dajcie pokój, jak syn wasz dostanie probostwa sto morgów, to o wasze dwadzieścia nie będzie dbał.

— La tego nie chcę, żeby był proboszczem, ani m a t e r e u s z e m. Na proboszczy idą biédaki, on ma rolę, to niech na niéj siedzi i kawałka chleba pilnuje, bo to jego własny.

Biedroń się trząsł, ciskał błyskawice z oczu. Organista zmiarkował się i zrozumiał, że bogacz nie chce marnować dorobku.

— Ciężko pomyśléć, żeby praca całego życia i tyle zachodu zmarniało. Macie racyę kumie. Niech chłopak siedzi, kiej ma na czém. Ino widzicie słabiuśki.

— Stać go na parobków.

— Dla ludzi miękki, od gęby se odejmie i da drugim.

Biedroń syknął, jak gdyby go wąż ukąsił, palce nerwowo wyprostował, czapkę zsunął z czoła i zaklął szeptem. Organista się tego szeptu przestraszył i mówił daléj:

— Jak dziecko—jedno takie, drugie owakie. Niechno urośnie, to i zmądrzeje, zobaczycie. Łatwo mu teraz z nieswojego, ale późniéj ludzie nauczą go rozumu.

Na myśl, że ludzie zdzierstwem swém będą uczyć rozumu jego syna, Biedroń przygryzal zębami wargi.

Szli w milczeniu. Organista nie wiedział jak i co ma mówić,

aby nie gniéwać starego. Biedroń, nieustannie drażniony w swych uczuciach, nie chciał wyciągać na słowa, które mu przykrość sprawiały. Żałował, że idzie do proboszcza, lecz już cofnąć się nie śmiał.

Proboszcz, stary i doświadczony w życiu człowiek, przyjął bogacza łaskawie i grzecznie sadzając go za stołem, gdy organista jako sługa kościoła został przy drzwiach.

Przyniesiono wino, rozlano w kieliszki, proboszcz jeden podał organiście.

— Za wasze, Biedroń, zdrowie, za tę ciężką pracę, za tę zapobiegliwość, co to nie zmarnuje napróżno jednego dnia!... Za ten wasz pot, co wam spływał z czoła.

Uderzył kieliszkiem o kieliszek Biedronia, organista pocałował proboszcza w rękę.

— I co powiécie, sąsiedzie?—spytał ksiądz.

Biedroń nieśmiało pochylił głowę.

— Wedle syna—szepnął.

— Słyszę, zdrowszy, Bóg ulitował się nad wami i chcecie Mu podziękować—bardzo dobrze.

Na Biedronia buchnęły ognie, zrozumiał, że się nie wywinie. Sięgnął do kieszeni, wydobył woreczek i zaczął odliczać szóstki.

— Na mszę świętą—rzekł cicho.

— Daj dwa papiérki, będziesz miał śpiéwaną. Powinno być wtedy w kościele wesoło. Niechaj działa biją, surmy grają, dziedzic Biedronia jakby wrócił z tamtego świata. Gdybym był tobą, dałbym piątkę na wotywę.

Biedroń odsunął dwa papiérki drobnemi. Proboszcz wziął pięć szóstek i podał organiście.

— Zaróbcież i wy, bo od kogóż jeśli nie od bogacza. Jutro rano o ósméj. Jeszcze jeden kieliszek!...

Stary, chcąc choćby winem odbić wydane pieniądze, wypił łakomie.

— Dziedzic Biedroniów wprawdzie wrócił jakby z nieba cudem— zaczął wzdychając organista — ale cóż słabiutkie to, nikłe, do roboty ladajakie.

— Bo młode — zawołał ksiądz. — Dawajcie mu chleba, mięsa, jaj, to skrzepnie i sił nabierze.

Zwrócił się do Biedronia.

— Możebyś go chciał na księdza, albo urzędnika kierować?... A kogo na roli osadzisz?... W seminaryach pełno od chłopskich dzieci i w szkołach pełno i na uniwersytecie pełno, a probostw niewiele,

a na jeden urząd dziesięciu się pcha. Biéda dręczy, głód szarpie wnętrzności. I co robić?... Do roli nie można wrócić, bo nie ma do czego, a na rzemieślnika zapóźno.

— Kiedy będzie miał kawałek własnéj roli, niech go pilnuje i broni—oświadczył Biedroń.

— Tak, tak — powtórzył proboszcz — niech go pilnuje i broni. Biedroń, tyś nie głupi. Ty nie chcesz wychować dziecka tak, aby było dla ciebie obce, a i ty dla niego. Ty będziesz na niego łożył, wyciągał ostatni grosz, a gdy wyrośnie i ożeni się z miejską panną, to ci się będzie wstydził.

— I ciężką moją pracę zmarnują, rolę mi zaprzepaszczą...

— Puszczą, przehulają i śmiać się jeszcze z ciebie będą.

Biedroń chciał uderzyć pięścią w stół, lecz się zatrzymał.

— Chłopak z roli wyszedł, niech na roli zostanie — kończył proboszcz.

— Chłopem się urodził, niech chłopem będzie — poświadczył Biedroń.

— To prawdziwie mądre słowo—pochwycił probosz, klepiąc po twardém ramieniu chłopa. — Bo gdyby wszyscy chłopi dzieci swoje gnali do szkół, chłopów - by niedługo zabrakło. Rola stałaby pustką...'

— Ale na ten przykład...—zaczął nieśmiało organista.

Oczy proboszcza i Biedronia zwróciły się ku niemu. Ośmielony mówił daléj.

— Na ten przykład, święte są słowa jegomości, tylko że chłopczyna, jak mówiłem, delikatny jakby pańskie dziecko, a rola twarda. Powinien se spocząć póki nie urośnie.

Zaczął mrugać na proboszcza.

— Teraz go ciągnąć do roboty—odezwał się proboszcz — to byłoby to samo, co go zabić. A przecież Biedroń nie chce zabijać swego syna. Wiele ma lat?

— Dziesięć na święty Marcin skończy.

— Niech się uczy, już czas. Dobrze wam, że wy umiecie czytać i pisać i dlatego się nawet Żydowi nie dacie — co?... Nie jestem ja zatém, żeby w chłopa pchać mądrość, tylko tyle co potrzeba. Niechaj umié przeczytać papiér z sądu, książkę w kościele, pismo ze starostwa—to dosyć.

— Tak—poświadczył Biedroń—niech się uczy, zanim przyjdzie do sił, żeby mógł stanąć przy mnie na roli. Zgoda, niech się uczy. Alamentarz kupię i tabliczkę kupię, a pan organista niech mu pokazuje. Trzeba mu pofolgować, co prawda, to prawda...

— Trzeba—poświadczył jegomość. — Mówią, że chłopak przylepka, ludzie go okrutnie lubią i okrutnie chwalą.

Biedroń się żachnął, lecz zapanował nad sobą.

— Przyślijcie mi jutro chłopca w południe, wysłucham go paciérza i pogadam z nim rozumnie.

— Żeby przecie jegomość powiedział, że do ludzi lgnie, a od ojców stroni.

— Bo go ludzie psują, pieszczą, dogadzają mu. Ale niechno...

— Zmądrzeje—dokończył za jegomością organista—gdy pozna, kto na niego pracuje, kto dla niego składa...

Wizyta się skończyła. Biedroń, mimo że go przyduszono do wydania dwóch papiérków, był z niéj rad. Ksiądz czytał w jego duszy i własne jego myśli wypowiadał.

— Mądry—szepnął.

— Ha, ha, drugiego takiego na całą okoliczność szukać. Zdaje się, że on siedzi w człeku i przez niego gada — poświadczył organista.

Nazajutrz w południe matka przystroiła Jasia w czystą koszulinę, zawiązała mu u kołnierza czerwoną wstążeczkę, kazała obuć bucięta, zawdziała na niego czystą, białą płótniankę, czerwoną z czarnym barankiem rogatywkę i poleciła Zośce podprowadzić go do jegomościa.

Zośka wymyta i wyczesana, również w czystéj z niedzieli koszuli, podała chłopcu rękę. Kunda ich wyprowadziła za wrotka, patrząc za niemi z lubością.

— Parka jak ulał — szepnęła — gdyby ino starego zła krew z wściekłości zalała. Czekajmy, przecież to nie dziś, ani jutro.

Dwoje dzieci majaczało, odcinając się od zieleni i złotego słońca białością płótnianki Jasia i czerwonością spódniczki Zosi.

— Psów się nie bójcie, bo na łańcuchach, a przed jegomością śmiało—zawołała.

Dzieci się obejrzały. Jaś skłonił się krakuską, Zosia ręką.

— I miałabym przytulisko na stare lata. Ale cóż, u Biedronia twarda skóra, a rogata dusza—westchnęła.

— Zośka, bucięta twarde gniotą mi nożyny!, — odezwał się Jaś.

— To się zzuj, poniosę ci je.

— A można to do jegomości wléść bez butów?

— Można, bo ja je będę trzymać w garści.

Posadziła chłopca na murawie, ściągnęła mu buty i siadła przy nim.

— Słabiuśkiś jeszcze—szepnęła.

— Nożyny mi dygocą.

Blada, chuda jego twarz zaróżowiła się od zmęczenia. Oddychał ciężko.

— Spocznij se — odezwała się, głaszcząc go po chudéj twarzy.

Nauczona przez Kundę korzystała z każdéj sposobności, aby go pogłaskać. Czyniła to z pewną lubością i rozkoszą.

— Zosiu—rzekł chłopak serdecznie, rozglądając się — świat ci okrutnie miły.

— O miły i bardzo — odpowiedziała dziewczyna. — I to słonko, co nas grzeje.

— Cały, Zośka. Niebo takie niebieskie, zielona murawa, wielgie drzewa i to ptastwo, co świegoce.

— Wszystko—zawołała dziewczynina.—Jaś! miło przecie żyć.

— Miło—szepnął.

— A tyś się chciał zagubić, pamiętasz.

— Ej, nie—odpowiedział cicho, patrząc przez wylot wąwozu na gromadkę białych brzóz, zieloną łąkę i zwierciadło wody wyglądające z zagajnika ciemnych olszyn.

Zosia stała przed nim i czekała. Zniecierpliwiła się.

— I czegóż tak bez upamiętania ślepia wytrzeszczasz? — zawołała.

— Na świat — odpowiedział cicho. — Spojrzyj-no — wskazał ręką.

— A przecie widzę.

— Powiedz-że: miłe?!...

— Co takiego?

— I te brzozy, i ta zieleniutka łąka, za nią woda...

— Nie widziałeś to już ze sto razy i wody i łąki?... Tak jakbyś z tamtego świata wrócił.

— Tak mi się jakoś wydaje... Ale powiédz sama, że to przecie miłe?

— Prawda, ale lećmy, jegomość czeka.

— Okrutnie mi się nie chce tam iść—szepnął.

— Nie chce ci się, a mus?

— Wróćmy i powiédzmy, żeśmy byli.

— W niedzielę wszystko się wyda. Chodź, zbędziesz się odrazu, a potém siądziesz se i możesz patrzéć bez opamiętania.

Podała mu rękę, Jaś usłuchał i dźwignął się. Gdy szli przez wieś, wybiegały kobiéty witając Jasia po ciężkiéj chorobie, pieszcząc go i całując, jako nawiedzonego przez Najświętszą!...

Rozweselony, rad, w głębiach serca nieco dumny, wdziawszy buty przed bramą stanął na ganeczku probostwa, lecz nie śmiał drzwi otworzyć. Otworzyła je Zosia i znowu zatrzymali się w sieni onieśmieleni.

— Kto tam? — wydobył się chrapliwy głos gospodyni przez otwarte drzwi kuchni.

— Jaś od Biedronia. Kazali przyjść do jegomości — odpowiedziała Zosia.

Nazwisko Biedronia podziałało magicznie. Drzwi się rozwarły...

Jaś zdjął czapkę, zbladł i szepnął do Zosi:

— Przecie pójdziesz ze mną?

— Puściłabym cię samego?...

Jaś stukając butami przeszedł wysoki próg, Zosia trzymała go za rękę. Jegomość siedział w fotelu, w okularach, z brewiarzem w ręku.

— Bliżéj—odezwał się ksiądz, kładąc książkę.

Chłopiec blady, zasłoniwszy usta krakuską, stukając butami, podszedł. Jegomość wielką swą rękę położył na białéj jego głowie.

— To Biedroń, a ty mała?

— Ja Zośka od Tyksiny wdowy, pasę za Jasia bydło Biedroniowe i przyprowadziłam go — Kunda kazała, bo bardzeńko jeszcze słabiuśki.

— Chorował?...

— Bez wtoruchę, wpadła w parygę, Jaś okrutnie się zaląkł.

— Słyszałem.

Zwrócił się do Jasia.

— Umiész paciérz?

— Umiem—szepnął wystraszony Jaś.

— A chcesz się uczyć?

— Chcę — odpowiedział uradowany, że się od pacierza uwolnił i uśmiechnął się.

— Będziesz się uczył u organisty, jak tylko skrzepniesz.

— Zdrowym—szepnął.

— Ojciec cię każe uczyć. Ojciec ciężko pracuje, skąpi sobie, ciuła, zbiéra, aby tobie było dobrze, bo to wszystko dla ciebie — słyszysz?

— Słycham—szepnął.

— Toć przecie za to powinieneś ojca szanować i kochać.

— A ino—rzekł śmieléj.

— A ino?!... a ty podobno lgniesz do ludzi, a uciekasz od ojca.

— Proszę jegomości—zaczęła rezolutnie Zosia.—Jaś jest dobry, ale kiej ojciec go okrutnie piorą. W chorobie tak go lunął trzciną, że jeszcze do dziś ma siną pręgę. Jaś pokaż.

— Nie trzeba. Ojcu wolno, na ojca się nie skarży; rozumiécie!...

Dzieci milczały.

— Ludzie teraz lgną do niego, schlebiają mu, bo wiedzą, że będzie bogacz, że go będzie można pociągnąć... Ludzie mu nic nie dadzą, a ojciec da mu kawał świętéj ziemi i dobytek—rozumiécie?

Dzieci zafrasowane milczały.

— No, Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, prędko i do domu.

Dzieci padły na kolana, przeżegnały się głośno i Zosia, za nią Jaś, trzepali wyrazy modlitwy szybko i wyraźnie. Skończyli, przeżegnali się, pocałowali jegomościa w rękę i odeszli, okraczając niezgrabnie wysoki próg.

Z plebanii lecieli co sił. Zmęczony Jaś zatrzymał się, usiadł, Zosia ściągnęła mu buty.

— A umiał Jaś paciorek?—pytały ich na drodze kobiéty.

— I jak jeszcze — odpowiedziała Zosia. — Jegomość się dziwował.

— A któż go nauczył? przecie nie Biedroń. Może sama Przeczysta Panienka.

— Pewnikiem—odpowiedziała dumnie Zosia.

Dzieci uszczęśliwione, trzymając się za ręce, obeszły cmentarz na wzgórzu. W tém samém miejscu siadł Jaś, Zosia obok niego kucnęła.

— Teraz to se wytrzeszczaj ślepia, ile ci się żywnie podoba, na jegomościną łączkę i na wszystkie różności.

Jaś popatrzał chwilę i odwrócił głowę.

— A cóż to jegomości szkodzi, że ludzie lgną do mnie? — odezwał się.

Dziewczynina nic nie odpowiedziała.

— Gadaj-że, Zośka?

— Pewnikiem Biedroń skarżył się, że cię ludzie psują.

Jaś zamyślił się, lecz przykrego wrażenia nie mógł zatrzéć.

— Jeśli się nie będziesz wpatrywał, to chodźmy. Trzeba bydło

wygnać. Pójdziesz ze mną na błonie i popatrzysz, jak się dzieci bawią.

Kunda wyganiała dobytek za wrota, zobaczyła dzieci i przypadła do nich.

— Cóż jegomość?...—pytała.

— Powiedział, że Jaś pójdzie się uczyć do organisty — oświadczyła Zosia.

— Przecie! Nie będzie mi chłopca gnał do roboty.

— Jegomość się gniéwali, że do mnie ludzie lgną — szepnął Jaś.

— A jegomości co do tego?!... Bojaźń boska, miłość ludzka. Nikt, tylo stary nagadał, bo się boi, żeby Jasia nie było stać na miłosierdzie, on chce wszyćko la siebie nawet gdy go ziemia przykryje. Ale ty będziesz miłosierny i będziesz miał z czego...

— Będę—rzekł Jaś z dumą i pewnością siebie.

— Idźcie się przewdziać i lećcie na błonia do mnie.

Organista przywiózł z miasta elementarz z obrazkami, zeszyty do pisania, czarną tabliczkę, rysik i torbę płócienną, podobną do tornistra. Jaś codzień po południu w czerwonéj krakusce i białéj płótniance szedł do organistówki — i tam razem z innemi dziećmi uczył się.

Z początku było mu ciężko, lecz się wkrótce pomiarkował, a że był pilny i pełen zastanowienia, nauka szła mu tak łatwo, że aż organista się dziwował.

— Abo na ten przykład — mówił ludziom — aniołowie mu szepczą, abo łaska boska. A toć przecie za jakie dwa lata będzie tyle umiał, co ja!

Ludzie nie mogli wyjść z podziwienia, uważając organistę za strasznie uczonego.

— Abo łaska boska, abo anieli mu szepczą—powtarzali, patrząc na chłopca, jak zasłuchany i zapatrzony wracał do domu, lub szedł na błonia do Zosi.

Wtedy Zosia zaganiała bydło na środek błonia, Jaś siadał na starém kretowisku, otwiérał elementarz i uczył dziewczyninę. I ona była okrutnie ciekawa i ochotna do książki.

Czego się nauczył od organisty, pokazywał dziewczynce. Zosia kładła się na murawie, albo kucnąwszy rysikiem po tabliczce wodziła, jak jéj kazał Jaś.

Nowe to zajęcie pochłaniało dzieci, otwiérając urocze horyzonty

dla ich myśli, marzeń i nadziei. Opowiadali sobie cuda, co to będzie, gdy się dobrze nauczą na książce i co święto we dwoje pójdą do kościoła z książkami. Z książek będą się modlić i śpiewać.

— A jakie różności muszą być w innych książkach, Zośka, co?— wołał radośnie Jaś.

— W innych? w jakich?—pytała dziewczyna.

— Nie wszystkie są do modlenia, wiem ci o tém dobrze. Są różne, ino nie wiem jakie. Sam organista mówi, że są różne i komedye i historye...

Zamyślili się zaciekawieni.

— Wiész, Zośka, dniem i nocą myślę, żeby się jak najprędzéj nauczyć czytać tak gładko, jak organista.

— Bo co?

— A nic, czytałbym. Poszedłbym do dworu po książki, abo tybyś poszła i prosiła. We dworze, pono, ksiąžek huk — cała ci szafa...

Zosia wzruszała ze zdziwienia głową.

— I ciągiem byś ino czytał?

— Daliby mi to?... Tybyś ociupinę popasła, a jabym se poczytał. Nie ciekawaś to, co są za różności w tych książkach.

— Ej nie, tyle ci mam na głowie.

— Bo nie wiész, ale jak się dowiész, to i ty będziesz ciekawa.

— A jak urośniesz i ojciec cię zagna do innéj roboty?

— To téż nim zagna, chcę się galanto wyuczyć czytać. A jak potrafię pisać, a wezmą mnie do wojska, abo na odpust pójdę do Leżajska, to do ciebie list napiszę.

Zosia się rozśmiała.

— Ciebie do wojska?

— Cóż-to nie skrzepnę? Myślisz, że zawdy będę taki nikły? Zobaczysz, zrobi się ze mnie setny chłop. A jak mnie wezmą, to zawsze kawał świata zejdę. Wojtka wzięli i co mu się stało? a gdzie nie był, czego nie widział?

— I nie żal ci będzie?

— Może i będzie, ale przecie wrócę. A skądżebym do ciebie listy słał?

— Do wojska takiego bogacza, Boże! A gdyby cię ino wzięli, tobym się za tobą zagubiła. A jak będziesz chciał ruszyć w świat, zaprzęgniesz se szkapy do wozu i daléj.

— I ciebie zabiorę z sobą, Zośka, a Kunda zostanie na gospodarstwie.

— Myślisz, żebym sama ostała, a tybyś po świecie hulał?...

Rozśmiali się oboje, chłopiec uważał ją za swoją, dziewczyna nawet nie pomyślała, żeby mogło być inaczéj. Zawsze ze sobą, że nie pojmowali rozdziału, nie wyobrażali go sobie.

Chłopiec rósł i uczył się, dziewczyna przy nim.

Nastała zima. Jaś wciąż chodził do organisty i krzepł zwolna. Matka mu kupiła nowe buty, kazała przerobić stary kożuszek. Ciepło mu było. Stary go nie bił i nie gnał do roboty. Zrobił się spokój. Jaś w domu pilnował książki, zapisywał kajety, patrząc łagodnie i serdecznie błękitnemi oczyma na ludzi.

Kunda co go dopadła, pocałowała. Matkę zbiérała zazdrość, lecz jakoś nie umiała, wstydziła się saméj siebie pieścić syna.

— Święte dziecko — powtarzała Kunda w stajni, w stodole, na drodze, u ludzi, gdzie mogła — a jak spojrzy temi modremi ślépkami, to aż się serce raduje.

Biedroń zapracowany nie zwracał uwagi na chłopaka, czekając cierpliwie, póki nie urośnie. Chłopak się go bał, schodził mu z drogi i z oczu...

Wracając od organisty, zlatywał codzień wydeptanemi w śniegu ścieżkami do Zosi.

Dziewczynina nie miała butów, całą zimę siedziała w domu, zaledwo w matczynych przebiegała do obórki do staréj i po wodę.

Jaś wpadał rozpromieniony, był już w połowie drugiego elementarza, a Zośka nie mogła skończyć pierwszego. Pokazywał jéj co nieco, przeczytał, pośmiał się, pogwarzył i wracał uradowany do domu.

Olszyny wyskakujące z ziemi, zasypane śniegiem, czerwieniejące przy zachodzie słońca, ciche, ponure i straszne, gdy niebo zawaliły chmury, przykuwały jego wzrok. Patrzał bez upamiętania, nie wiedząc o świecie. Budziła go wrona, kracząc mu nad głową, chłopcy wiozący na saneczkach gałęzie z lasu, parobcy wracający z roboty, kobiéty z miasta.

Chłopcy i parobcy żartowali sobie z niego, lecz kobiéty szeptały między sobą:

— A może ujrzał stadko aniołów lecących do nieba...

Jaś zamyślony i zasłuchany wracał do domu. Coś go roztkliwiało i wzruszało, nie wiedział co. Było mu smutno i rzewnie...

— Poleciałbym téż, poleciał—marzył—za te wielgie góry, za te czarne lasy. Zaprządz szkapy do wozu i daléj, wio! Przy mnie Zośka, a Kunda w chacie pilnowałaby dobytku?...

Zaśmiał się serdecznie i na ten temat snuł projekta dziecięce i wesołe...

Mijały krótnie dni a długie noce, wolno lecz ciągle, bez przerwy płynęły. Chłopak się uczył zapamiętale, organista zdziwiony wstrząsał głową.

— Dwa elementarze w niespełna ośm miesięcy. A toć przecie ja na ten przykład przy każdym siedziałem dwa lata—opowiadał dziwiącym się kumom.

Chłopiec prosił o trzecią czytankę i molestował o nią okrutnie.

— Dziecko, czwartéj już nie ma—tłómaczył mu organista.—Cóż będziesz robił, jak trzecią skończysz?

— Nie wiem — odpowiadał cicho i znowu prosił i molestował.

Duma organistowa nakazała kupić trzecią, i kupił wraz z kajetami do pisania i drukowaną tabliczkę mnożenia.

Biedroń pomrukiwał, że go organista zdziéra, lecz zapłacił.

— Im będzie mędrszy i mocniejszy na książce, tém lepiéj, bo się nie da oszukać, ani Żydowi, ani w sądzie, ani nawet w starostwie.

Tém się pocieszał, przebaczając zdziérstwo organiście.

Jaś do wiosny trzecią czytankę skończył i zapisał wszystkie kupione kajety. Tabliczkę umiał na pamięć, liczył do miliona, a nareszcie napisał list do Zosi wierszami, jako wojak, opisując jéj różności widziane w mieście i w wojsku. Dużo o panu kapralu. List sam zaniósł, a ponieważ Zośka nie znała pisanego, przeczytał, śmiał się i cieszył.

Organista pokazał list ten proboszczowi.

— A to fanfaron—rzekł jegomość—jeszcze od ziemi nie odrosło, a już tak udatnie kłamie. Ktoby nie wiedział, myślałby, że to prawda... Dobrze, że go Biedroń zostawi przy sobie, bo gdyby poszedł do miasta i został adwokatem, byłby z niego kręt pierwszéj klasy...

— Święte słowa jegomości — poświadczył organista. — Nie ma nic gorszego jak szelma mądry chłop, a nauczony. Gorszy od Żyda. A Jaś będzie o wiele mądrzejszy od swego ojca.

— Tylko że chłopcu dobrze patrzy z oczu, jakiś przytulny.

— Przychlebny, przylepka—poświadczył organista.

— I dlatego niech zostanie na roli, Pana Boga chwali i dba o kościół.

Wieść o liście Jasia do Zosi wierszami i o dziwowaniu się nad niém jegomości rozeszła się po wsi. Kobiéty cisnęły się do chłopca, prosząc o listy do Ameryki i do synów w wojsku. A że nie przycho-

dziły z próżnemi rękoma, Biedronie byli kontenci i radzi, że ludzkiemi datkami koszta nauki chłopca odbiją... Jaś rósł w odwagę i uznanie. W listach wypisywał różności i sam najwięcéj cieszył się z nich. A gdy listów nie żądano, pisał do Zośki, biegł do niéj, czytał głośno i śmiał się szczęśliwy.

Kumy między sobą szeptały:

— Najświętsza zostawiła go nam na pociechę i wygodę. To Ona migiem wyuczyła chłopca czytać i pisać.

Ludziska lgnęli do Jasia.

V.

Zapanowała w całéj pełni i blasku wiosna.

Biedroń postanowił syna, który już skrzepił się i urósł, zaprawiać do gospodarstwa.

— Na listy i czytanki dosyć niedzieli—powiedział ostro — chleba darmo jeść nie można, od jutra do roboty. Zbudzę cię na świtaniu.

Jaś w milczeniu wysłuchał rozkazu ojca.

— Zaczyna ci go znowu gnać—szeptała Kunda. — Ledwo chłopak się ocudził, już go zaprzęga do jarzma...

Nazajutrz rano dostał parę koni i brony, aby skrudlił pod siew. Chłopak lubił konie, duma w nim grała. Parobek mu pokazał, dał lejce i bat, Jaś świsnął i jak ptak skacząc z bruzdy na bruzdę biegł za końmi.

Ojciec siał, parobek za nim włóczył, a chłopiec bronami targał i równał rolę.

Kunda wcześnie przyniosła śniadanie, otarła chłopcu fartuchem pot z czoła, posadziła na wozie i podała mu garnuszek mléka, gdy Biedroń i parobek jedli żur.

Biedroń widział połyskujące od słońca mléko na łyżce chłopca, lecz nie chcąc rozpoczynać wojny milczał.

— Przyjdzie niedziela, to mi pisaniem za mléko zapłaci — pocieszał się.

— Jakże ci Jaś? nożyny cię bolą?—spytała Kunda.

— Ej, nie, skaczę se ze skiby na skibę leciutko, a jak ino skończę, będę wlókł za Walkiem siew!—słyszysz Kunda?

— Słycham—odpowiedziała—dziwuję się, ale się i boję, żebyś nie zesłabł. Na wiosnę ludzie i bydło słabiuśkie.

Chłopiec oddał Kundzie garnuszek, otarł usta, zeskoczył z wozu i był gotów.

— Cóż Zośka?—spytał cicho.

— Pognała wasze bydło na błonia.

— Dziopa się nalata, naharuje, trzeba jéj przecie za to jakoś wynagrodzić...

Kunda obejrzała się na Biedronia i cicho szeptała:

— Miałabym téż sumienie tak się pastwić nad dziewczyną. Co ino mogę, to w nią pcham. Odniedała się, wybielała na twojém, Jasiu, mléku i chlebie.

— Dziękuję ci, Kunda, że dbasz o Zośkę tyle, co o mnie.

— Nie tyle, nie tyle, mój chłopcze, ale przecie nie dam jéj zmarniéć.

— Kunda, ja nikogo nie mam, tylo ciebie i Zośkę, pamiętaj to sobie.

— No, no, żebyś ty ino nie zabaczył, jak urośniesz.

Chłopak popatrzał zdziwiony.

— Abo to mogę, choćbym chciał?

— Do bron!—krzyknął Biedroń, nie kontent, że chłopak do niego ust nie otworzy, a z Kundą rozprawia.

Jaś drgnął nerwowo, pochwycił bat, dopadł do koni, sprzątnął im siano, wziął lejce i żeby się pochwalić przed Kundą, świsnął i pojechał. Koniki szły raźno, Jaś jak wróbel skakał przy nich ze skiby na skibę, batem śmigał. Brony rozbijały twarde bryły, świéża, pulchna ziemia rozsypywała się, słońce wyciągało z niéj wilgoć białemi oparami, — Biedroń rzucał w nią złote ziarno, skowronki wyskakiwały z pod skib, wzlatywały słupem pod niebo świérgocąc wesoło.

Radość w naturze udzielała się ludziom i zwierzętom, radością tą było słońce i ciepło.

Stary zasiał i poszedł do domu, parobek z Jasiem wlekli do południa

Jednym wozem wracał Walek z bronami, drugim, próżnym, wysunął się naprzód Jaś. Jechał ostro i śmiało, ludzi po drodze witał. Kobiéty pokazywały go sobie, a on się cieszył z wrażenia, jakie robił.

Kłusem wjechał na dziedziniec, za nim Walek. Konie odprzągł, zaprowadził do stajni, uwiązał, zarzucił im siana i zobaczywszy, że bydła w oborze jeszcze nie ma, poszedł na błonia, wziąwszy ze sobą bat.

Szedł wolno i poważnie, póki nie minął obejścia. Obejrzał się i pogalopował pod górę wąwozem z całych sił.

Na błoniu było gwarno i wesoło, słońce złociło świat, murawę, dzieci i bydło.

Pastuszkowie zbici w gromadkę grzali się na słonku, baraszkowali, śmiali głośno, serdecznie, że aż im leszczyna na zagajniku odpowiadała.

Zosia, zobaczywszy biegnącego chłopca, krzyknęła, aby bydło zgonił i pomógł pędzić je do domu. Jaś usłuchał, bydło wpędził w wąwóz i złączył się z dziewczyną.

— A czy ty wiész, Zośka, że dziś włóczyłem parą końmi do samego południa.

— Jabym też o tém nie wiedziała mój ty, gospodarzu. I jakże ci szło?

— Jak?... Sam z powrotem jechałem wozem, ludzie stawali.

Zosia się dziwowała, kręcąc głową.

— Trzeba się będzie powoli gramolić na parobka — dodał z dumą.

— A to mi parobek! ha! ha!

Rozśmiali się oboje.

— Okrutnie mi się cnęło bez ciebie, mój Jasiu—zagadała dziewczynka.—A tobie?

— Ja uganiałem przy koniach, skacząc ze skiby na skibę, to i nijakiéj pamięci nie miałem. Dopiéro, gdym do chaty wrócił, opamiętałem się i pognałem po bydło...

Spojrzeli sobie w oczy. Jaś szukał oczyma, o ile prawda, co mówiła Kunda, że dziewczyna urosła i wybielała.

— I czegóż tak ślepia na mnie wytrzeszczasz? — szepnęła Zosia.

Buchnęły na nią ognie. Chcąc je ukryć, poleciała za wtoruchą, skręcającą z drogi.

— Kunda mówiła prawdę — pomyślał Jaś — odniedała się, wybielała...

Wróciła zdyszana, zarumieniona, z błyszczącemi oczyma.

— Zośka, Kunda dobra, nieprawdaż? Jak pojedziemy w świat, zostawię ją na gospodarstwie.

— A gdzież to ty chcesz jechać, latawcze?

— A choćby do Krakowa. Przecież i ty chciałabyś ujrzéć Kraków?!...

— Czybym chciała, mój ty Boże?!

— Powiozę cię sam kutym wozem, ludzi po drodze będę się pytał: którędy do Krakowa?

Młodość, wiosna, słonko, rozweselały ich.

— A nie cnie ci się za książką?—spytała Zosia.

— Czytanki umiem na pamięć, innych nie ma. Gdybym miał inne.

— Ej, co tam inne, tyś już i tak mądry. Ledwo coś od ziemi odrósł, a ludzie mówią, żeś najmądrzejszy w całéj wsi. I cóż ci więcéj potrzeba?

Jaś się zamyślił.

— A gadajże—zawołała dziewczyna.

— Co tu gadać, okrutniem ciekawym i już.

— Daj se spokój z ciekawością. Wiosenka, słonko, siewy, cały świat się raduje, a ty cięgiem ciekawyś. Raduj się za drugimi, zbytkuj, dokazuj!...

— Ale jak?

— Byle jak, byle co niebądź. Mało to chłopaki na błoniu zbytkują?...

Ujęła go w pół. Z pochyłości góry lecieli z całych sił. Zosia się śmiała serdecznie. Wiatr tamował im oddech. Zdyszani padli na murawę. Zosia, łapiąc powietrze, chciała się śmiać, lecz nie mogła. Jaś zmęczony odpoczywał.

— Czy to zbytki?—zapytał po chwili.

— A jakichżeś chciał?—odparła zdziwiona.

— Innych—szepnął.

Oparł głowę na łokciu i patrzał przed siebie.

— Są różne, ale ty widzę do zbytków, jak i ja.

— Ha, to nie zbytkujmy, Zośka—odpowiedział.—Siadaj se wele mnie, zanim bydło z wąwozu nadciągnie.

Zosia siadła i zaczęła go głaskać po twarzy.

— My nie do zbytków?—powtórzyła.

— Nie—szepnął. — W powszedni dzień robota, ale jak przyjdzie święto!...

— Wyśpisz się.

— Spać cały boży dzień?

— Więc czegóż chesz?

— Zośka, tyś nic, ani odrobiny nie ciekawa?

— Nie, bo i po co?

— I nie poszłabyś do dworu po książkę?

— Wstydzę się, ale kiej chcesz koniecznie. Kunda była we

dworze, wtedy gdy la ciebie po doktora jeździła. Poproś ją, ona pójdzie.

Bydło wypadło z wąwozu, dzieci się zerwały, zganiając je na drogę.

— Zośka, pogadaj z Kundą, ona cię lubi...

— A la ciebie słonkoby ściągnęła z nieba. Ale kiej chcesz, powiem jéj...

Od południa Jaś z parobkiem wyjechali w pole. Walek miał orać, a Jaś poganiać. Zosia przyszła wygnać bydło.

— No, cóż? — spytała jéj Kunda — zabawiłaś się na błoniu z chłopakiem.

— Wiécie, tak się jakoś we mnie wpatrywał, że aż ognie na mnie buchnęły i uciekłam.

Kunda się zaśmiała.

— Powiedziałam mu, żeś na jego chlebie wybielała i odniedała się. Przypatrywał ci się, bo chciał się przekonać, czy to prawda.

— To bez to?—szepnęła.

— A bez cóż? Wiész, Zośka, ty się odniedajesz. Ślepia ci się świécą, jak u kota, a chociaż jeszcze d z i o p a, bielejesz. Tylo go trzymaj, a przyjdzie czas, że będziesz się po Biedroniowém bogactwie rozpierać.

Zosia spuściła oczy.

— Nie kpinkujcie...

— No, no, ty sama miarkujesz, że prawda co mówię. Ledwo konie odprzągł, pognał na błonia. Do kogóż?... przecież nie do wtoruchy. Ej, Zośka, nie udawaj ..

— Nie udaję, ino Jaś prosi was, byście lecieli do dworu po książki la niego.

— Jakie!?...—zawołała Kunda.

— Bądź niejakie. Cnie mu się i ciekawość go zbiéra.

— Wiosna, słonko grzeje, trawka rośnie, roboty huk, a jemu się cnie!... Ej, Zośka, nie namawiaj go ty na głupstwa, bo będziesz miéć z nim utrapienie. W głowie mu te różności przewrócą i nie będzie z niego pociechy.

— I ja to sama czuję—szepnęła Zosia—lecz cóż, kiej tak jakoś przychlebnie prosi... Pójdziecie Kunda?

— Nie pójdę — odpowiedziała ostro. — Niech idzie, kto chce, nie pójdę.

— I cóż mu powiem?

— Ja mu sama w uszy nakładę! Te ciekawości, to tylko utrapienie la chłopa.

— Chłopczysko, że do rany przyłóż—odezwała się Zośka.

— Ale ci jakiś inakszy. Mówię ci inakszy, i ta jego inakszość nieraz się nam da we znaki.

— Niech będzie jaki jest, bo taki bardzeńko dobry.

— Przecie musi być takim, jakim go Pan Bóg stworzył—dokończyła Kunda.

Wobec tego poświadczenia pogwara zamilkła.

Wieczorem, gdy już słońce zostawiło po sobie zaledwo świetlany pas na skłonie widnokręgu, Jaś wpadł do chaty Tyksiny.

Wylękły się matka i córka. Usiadł na ławie i odpoczywał.

— Mówiłaś z Kundą?—zwrócił się do Zosi.

— I po toś aż tu przyleciał?

— Spać się nie chce... — urwał, patrząc na Zośkę miłosiernie, aby ona przemówiła, lecz dziewczynina smutna milczała.

— Poganiając przy pługu—zaczął — myślałem se wciąż o dworze. Chłopak z kredensu mówił mi, że jest ich tam pełniutka szafa.

— Czego?—spytała zdziwiona Tyksina.

— Ej, niczego takiego, matusiu, książek.

— Kunda sfukała mnie i powiedziała, że nie pójdzie — rzekła Zośka.

— I bez co?...—spytał smutno Jaś.

Żałość chłopca chwyciła dziewczynę za serce, że przemówić nie mogła. Zresztą, nie wiedziała, jak oblec w wyrazy wtłoczony przez Kundę w jéj głowinę strach.

— La czego nie chce?... Powiédz-że Zośka — nalegała Tyksina.—Dzieci, o cóż wam idzie? Matki się boicie?... Jaś, ty masz przecie rozum—gadaj!

— Zośka mówi, że Kunda nie chce lecieć do dworu prosić la mnie do przeczytania bądźnijakiéj książki.

— A to ja polecę! A cóż to mi dwór dziwota? Byłam jakie sto razy, panienka dobra, do rany przyłóż. Gdym ino tam zaszła, zawdy ją widziałam z książką. Pójdę i powiem.

— Cóż powiécie?—spytała ostro Zośka.

— Nie twoja w tém głowa, umiem ja gadać z dworskiemi paniami.

Jaś się dźwignął i pocałował Tyksinę w rękę.

— I wkiedy pójdziecie?—zapytał.

— Wkiedy? jutro. Wdzieję odświętną chustkę, buty nowe mam. Przyjdź wieczór, książkę będziesz miał. Tyś la nas, la Zośki dobry i nie zrobiłabym ci takiéj odrobiny?

Jaś uszczęśliwiony odchodząc zwrócił się do dziewczęcia:

— Odprowadzisz?

Wyszedł, Zosia za nim. Szli szybko, księżyc wypłynął na błękity, cicho było, ciepło. Wiaterek pomykał z krzaka na krzak, igrał gałązkami leszczyny — pachniały: ziemia i trawa na murawie. Coś chwytało za serce i rozbiérało. Chciałoby się weselić i śpiéwać, a nogi ciężyły, ręce opadały...

Na skręcie ścieżki przystanął.

— Cóż powiedziała Kunda?—zapytał.

— Że stary jak cię zobaczy z książką!

— To i cóż?

— To, że się może wściec ze złości. Książkę podrze, ciebie zbija, Kundę wygna.

— Nie zobaczy! Książkę schowam u was. Kupię w karczmie gazu i lampkę, będziemy świécić i czytać...

— Jaś, ja się boję.

Ciemno było, leszczyna ich zasłaniała. Zosia ujęła głowę chłopca i całując go w usta tuliła do siebie.

— Ja się boję utrapienia. Mój złocisty Jasieńku nie posyłaj matki do dworu. Po co tobie książki, to ino nieszczęście sprowadzą na nasze głowy. Daj mi pokój, mój Jasieczku.

Całowała go z coraz większą siłą, drżała, miała łzy w oczach, Jaś ich nie widział.

— Kunda cię zbuntowała—odpowiedział, obejmując ją w pół.—Cóż-to książki nie są la ludzi.

— Ale nie la chłopa—przerwała Zośka.—Chłop ma rolę, konie, dobytek, gospodarstwo. Ojciec zobaczy, spierze cię, będzie piekło.

— Jabym się teraz dał prać?!...

— No, widzisz—zawołała.—Rzuciłbyś się na ojca?

— Uciekłbym i nie wrócił nigdy.

— A my—a ja, Kunda?

— Zaszedłbym w nocy po was.

— Uciekać od bogactwa, la byle jakiéj książki? Co ty nie wyplatasz?!...

Zamilkli, chłopiec rozważał walcząc z ciekawością i obawą.

— Powiem matusi, żeby nie chodzili.

— Jedną tylko. Niech idzie ino po jedną. Ciekawość mnie pali, Zośka, zgódź się na tę jedną. Dowiem się, co w téj jednéj — i dosyć...

— Bodaj to była prawda—szepnęła dziewczyna.—Kunda okrutnie się boi książek.

— Kunda głupia—i czego? Rozmówię się z nią!... Przylecę tu jutro na odwieczerz. Dobranoc, Zośka.

Dziewczyna, zasłonięta krzakiem leszczyny, patrzała za nim, póki się nie rozpłynął w jasności księżyca.

— Nie powiedział mi nawet daj pyska?...

Smutna, pełna ciężkich przeczuć, wróciła do izby.

— No i cóż, chłopak lgnie do ciebie? — zagadnęła ciekawie Tyksina.

-- Niech matusia nie idą po tę książkę.

— A la czego?—ofuknęła ją.

— Ja się boję i Kunda się boi.

— Dziéwka cię nastraszyła i już. Chłopakowi przykrzy się bez książki. Całą zimę siedział nad nią...

— Ale teraz wiosna! Boży świat śmieje się do nas, robota ciągnie w pole, a on ino książki!... Nie ma to mnie do zabawy, dzieci na błoniu, Kundy, koni. On ino do książki. Kunda mówi, że mu ona nieszczęście przyniesie.

— Kunda głupia, mówi ino przez zajzdrość. Chce, żeby chłopak całe życie trzymał się jéj spódnicy. Kto wié, czy ona nie będzie zajzdrościć o ciebie, zobaczysz!

— Co matsia mówią, ona mi pochlebia la tego, ino że mnie Jaś lubi.

— Przyleciał umyślnie, prosił i jakżebym mu potém spojrzała w oczy? Otóż pójdę, a ty nie bądź głupia ze swoją Kundą, bo teraz więcéj lgniesz do niéj, jak do matki.

Nalała do miseczki przyniesionego od Kundy mléka, ukrajała kromkę chleba i postawiła przed dziewczyną.

Zośka zadumana, smutna, podparłszy glowę ręką, jadła powoli.

— Wlepi się w książkę, a na mnie ani spojrzy—szeptała.

— A choćbyś się zamruczała—krzyknęła matka—to i tak pójdę i co mi zrobisz?

Tyksina lubiła się wystroić i wystrojona chodzić do dworu. Goszczono ją i słuchano, mogła się ugadać z panienką.

W nowych butach, odświętnéj chustce, przeszła przez wieś z miną uroczystą.

Przed dworem zajrzała przez sztachety do ogrodu, odchylila furtkę, weszła.

W kasztanowéj alei na ławce siedziała zaczytana panienka. Tyksina krząknęła, żeby ją zbudzić i dać znać o sobie.

Panienka oczy z książki przeniosła na nią.

Przywitały się.

Zrazu wolno, potém coraz prędzéj zaczęła opowiadać Tyksina historyę o Biedroniowym synu. W bystrym potoku słów wytworzyła się legenda, Jaś urósł na mistyczną postać. Wszystko w jéj opowiadaniu olbrzymiało, zléwając się w całość pełną uroków i nadzwyczajności.

Panienka słuchała. Tyksina, porwana własną wymową, mówiła z coraz większém ożywieniem.

— A teraz przysłał mnie po książkę do panienki i już — zakończyła, ociérając chustką zroszone czoło.

— Moja Tyksina, nie mam odpowiednich książek dla waszego Jasia.

— Bądźniejaką, byle była, on na każdéj czyta i na każdéj się rozumié. Pisane lepiéj, pono, czyta od samego organisty.

— Nie rozumiécie mnie.

— Cobym miała rozumiéć! Wiem przecie, że jestem głupia, panienka mądra aż strach, ale i to wiem, że nie wrócę z próżnemi rękoma do chłopaka. Czeka ci on pewno na mnie i z niecierpliwości palce sobie naciąga, aż trzeszczą... Nie wygna mnie panienka ze dworu bez książki.

Nie było rady, panienka poszła do pokoju, Tyksina została na ganku, dumna z dokonanego dzieła.

Nie długo czekała, panienka wyniosła jéj trzy książki, oprawne w czerwoną skórę ze złocistemi brzegami. Kobiéta drgnęła z radości.

— Proś Jasia, aby mi je, gdy przeczyta, sam odniósł.

— Prosić go, jeszcze czego. Powiem mu: panienka kazała, abyś sam książki odniósł do dworu...

— Jak mi opowié, co przeczytał, dostanie inne.

— Co nie ma opowiedziéć?! Taka głowa nie opowiedziałaby wszystkiego dokumentnie. Tylo, że to nieśmiałe, zahukane przez Biedronia, lękliwe.

— Przyprowadźcie go.

— Żeby sam przyszedł, nie ma na to rady. Wezmę go za rękę i przyciągnę.

Książki schowała pod chustkę i minąwszy dwór, z niecierpliwości biedz zaczęła. Radość ją pchała.

Wpadła do izby, Jaś czekał, Zosia skrobała ziemniaki.

— Masz nie jedną, ale trzy, czerwone, ze złotem — łuna od nich bije.

Jaś pochwycił gorączkowo, obejrzał, roztworzył.

Pocałował matkę w rękę, Zosię w usta, zasiadł na ławie i zaczytał się bez upamiętania.

— A obiad?—przerwała mu Tyksina po godzinie.—Stara będzie cię wołać, stary szukać. Leć-że prędko!...

Jaś chciał wsunąć książkę za koszulę.

— Ani mi się waż!—krzyknęła matka.—Chcesz czytać, to ino tu. Stary zobaczy, odbierze i podrze.

Książkę oddał.

— Kupcie gaz i lampkę—położył na stole dwie szóstki. — Przylecę, jak się ściemni.

Wybiegł.

— I potrzebnie matsia przynosiła. Nie mówiłam, że się w książkę wlepi i o Bożym świecie zapomni, na nas nie spojrzy.

— A cóżeś ty chciała, żeby ślepia ino w ciebie wrażał. Wolno mu i na książkę popatrzéć.

Jaś gnał do domu, że aż ziemia jęczała. Początek przeczytanéj historyi na paru kartkach książki nurtował mu w mózgu, olbrzymiał w wyobraźni. Zastępowały mu na drodze wielkie postaci, rycerze zakuci w zbroje, piękne królewny wyciągały do niego ręce. Widział je, patrzył na nie, gdy się rozwiewały—tęsknił.

Wpadł zdyszany do izby. Na stole stała miska z mlékiem, druga z ziemniakami.

— Gdzieżeś był?—spytała go matka.

— Tak tam—odpowiedział, zabiérając się do jadła.

— Latasz i latasz, w izbie ani cię uświadczy. Jakoś uciekasz od ojca i matki. Ojca może się boisz, ale że od matki stronisz, to wielka dziwota. Kunda cię buntuje!...

— Nie buntuje — odparł chłopak — rzadko kiej zagadam do Kundy. Wiosna, ciepło, dusza rwie się na Boży świat — nogi idą same.

— A toć cały dzień siedzisz na dworze.

— Przy pługu, z bruzdy na bruzdę wciąż jedno.

— A cóżeś ty chciał innego?

Chłopak zamilkł, posmutniał, nabiérał na łyżkę ziemniaki, nurzał je w mléku i jadł wolno.

— Nowe nieszczęście — rozważał — każą mi siedziéć w izbie, a tam u Zośki czekają na mnie historye.

Serce go bolało, izba zmieniała się w więzienie, rad był z niéj uciec.

Wstał, pocałował matkę w rękę, wziął czapkę.

— Gdzież znów?...

— Do stodoły, prześpię się odrobinę, zanim szkapy zjedzą.

— Tak, to co innego—rzekła zadowolona.

Ujęła głowę chłopca w spracowane ręce.

— Tyś jeden ino u nas, wszystko la ciebie, cały dobytek i ciężka nasza praca, ale przecie nie uciekaj od starych, co sobie odejmują od gęby, abyś ty ino miał więcéj.

Pocałowała go, pogłaskała i przytuliła.

Chłopcu ciepło się zrobiło na sercu, przygarnął się do matki, głowę położył na jéj piersiach i westchnął.

— Cóż, cóż?—szepnęła lękliwie, pieszcząc go.

— A nic, ino mi tak jakoś miło, że mnie przecie matsia przygarnęli do siebie.

— Bądź ino dobry, jak teraz jesteś, a nie poskąpię ci dobrego słowa.

Wpadł do izby Biedroń, matka i syn odskoczyli od siebie.

— Bierz stara worki, chłopak miotłę i do śpichlerza!... Ciepło, rola obsycha, jakby umyślnie pod jęczmień...

Biedronka skoczyła do komory po worki.

— Weź-że pięć, muszę wysiać odrazu całe pięć!... Niech mi pokażą chłopa w Pstrągowéj, któryby siał tyle jęczmienia, co ja! Ha, ha — zaśmiał się sucho. — A jak się utrafi dobry czas, to się może sprzedać i pięćdziesiąt korcy. Choćby po piątce, to wypada dwie stówek i pół.

Włożył ręce w kieszenie, poszedł naprzód głośno licząc, za nim matka, Jaś i parobek przywołany ze stajni.

Pracowano zawzięcie. Jaś z matką trzymali worki, parobek sypał szuflą do ćwierci i worków, Biedroń wiązał, worki rzucano na wóz... Gdy zaprzężono konie, Jaś pochwycił lejce i bat, stary siadł na workach — wyjechali... Parobek drugą parą z bronami ruszył za nimi.

Zaledwo późno wieczorem wrócili, Kunda mruczała, że stary umyślnie chce chłopaka zagubić.

— Niech on spróbuje pięć korcy jęczmienia w pół dnia zawlec i nazajutrz wstać. A cóż dopiéro Jaś, dziecko czternaście lat, a patrzy na dziesięć.

Słyszała skargi Kundy Biedrońka i miała żal do starego. Zasmakowały jéj pieszczoty dziecka, zaczęła się bać o niego drżeniem

serca i miłością matki. Po za skąpstwem i chciwością wytwarzało się w niéj uczucie ciepła, którego dotąd prawie nie znała. Witała je tajoną ze strachu radością i upragnieniem.

Jaś blady ze zmęczenia, idąc chwiał się, chudemi nożynami zaplątywał, zdawało się, że padnie. Kunda zawołała go do stajni i podała mu skopek mléka, wypił i ocucił się. Przy wieczerzy matka go głaskała z pewną rozkoszą, lecz pocałować nie śmiała. Wstydziła się starego i dziecka. Nie całowała go dawniéj, skądżeby się jéj dziś taka nagła ochota wzięła?...

Biedroń milczący z pod krzaczastych brwi rzucał zdziwione spojrzenia na żonę i syna.

Po odejściu chłopca stary zwrócił się do żony.

— Psuj go, psuj, i to wtedy, gdy jakoś zaczyna się garnąć do roboty.

— Jednego mam i chybabym nie była matką, żebym go choć nie pogłaskała. Krowa a przecie swoje liże.

Stary nic nie odpowiedział, rozebrał się, wsunął pod pierzynę i zasnął.

Jaś zamknął się w stodole i czekał, dopóki światło w chacie ojców nie zgasło. Wysunął się po cichu, przeskoczył płotek i pomknął wygonami do chaty Tyksiny.

Księżyc srebrzył pola i młodą brzezinę. Za krzakami stali rycerze i królewne, uśmiechali się do chłopca, jak gdyby mu dziwy chcieli opowiadać. .

— Dowiem ja się o was niedługo, za dwa niecałe stajania...

Rad był z siebie, jakaś dziwna gorączka go pchała. Leciał z całych sił, dopadł do chaty, otworzył drzwi i siadł zdyszany na ławie.

Gaz się palił, Tyksina spała, Zośka przypadła do niego.

— Cóżeś tak leciał, Jaś, gonił cię kto?...

— Ciekawość mnie pcha, to i gnać było mi leciutko.

Zaśmiał się, wyciągając do dziewczyny ręce.

— Ta ciekawość, mówi Kunda, zgubi cię i tyla.

— A niechta, co ma być, to będzie—dawaj książkę. Gaz galanto się pali, szkoda go marnować.

Z nadpiecka pochwycił książkę, siadł, oparł głowę na ręku i zaczytany zapomniał o Zośce, świecie całym, własném istnieniu. Był rycerzem, królewiczem, nosił zbroję, bił Niemców... Wcielał się w czytane postaci, żył w nich.

Zośka siadła naprzeciw, wlepiła w niego swe do bławatów podobne ślépka i dumała.

Chłopak ani raziczka nie spojrzał na nią, nie zagadał i nie wiedział, że siedziała tuż przed nim i wzrok wlepiała w niego... Żal ją zbiérał, serce się ściskało, przeczuwała, że go traci, że gdy wstanie od książki, będzie inny—nie ten jéj Jaś, co się z nią bawił na błoniach, a ludzie za nim zagubiali się. Będzie jakiś inakszy mądrala, jakiś taki nietykany, harny czy co?...

Coraz bardziéj serce się jéj ściskało w piersiach, brakło oddechu, dławiło ją. Broniła się jak mogła, nie wytrzymała — zaszlochała.

Jaś oczy zdziwione podniósł.

— Zośka, a to czego?

Wstał, obejrzał się, nie miał pojęcia, co się stało i dla czego dziewczyna płacze. Podszedł do niéj, odjął jéj ręce od oczu, ściągnął z ławki, sam usiadł i przygarnął ją do siebie.

Dziewczynina oparła głowę na jego piersiach i tuląc się do niego zanosiła się od płaczu.

— Cóż się stało? mówże przecie Zośka?... Czy cię matuś zbili, czyś gipsówki zgubiła, czy jakie inne nieszczęście cię spotkało? Mówże, bój się Boga.

Zosia objęła go ręką za szyję, płakała wciąż, lecz ciszéj i rzewniéj.

— I nie powiész?

— Smutno mi okrutnie, że se rady dać nie mogę—szepnęła.

— Ale la czego? musisz przecie wiedziéć...

Zośka przestała płakać, zarumieniła się, chciała coś mówić, nie śmiała. Jaś zapaską obciérał i suszył zmoczoną od łez twarz. Dziewczynina zamrużyła oczy, chłopak się wpatrywał w nią, w drgające bólem i żalem usta i pchany jakąś nieprzepartą siłą pocałował.

Dziewczynina drugą rękę zarzuciła mu na szyję i piła rozkosz, szczęście, istność z jego ust.

— Ej, Zosiu, Zosiu i czegóżeś taka żałosna?

Pierwszy raz Zosią ją nazwał.

— I jakże nie mam być żałosna. Kiej, kiej — oczy jéj znowu łzami wezbrały—kiej ino w książkę się wlepiasz i o Bożym świecie zapominasz. Kunda powiedziała, że la książki o nas zapomnisz — i prawda.

Buchnęła płaczem, kryjąc twarz na piersiach chłopca.

— Dziecko, Zosiu, jabym ciebie i Kundę zapomniał, co wam w głowach?

— Bo prawda, ani raziczku nie spojrzałeś na mnie, jakeś się w książkę wlepił.

— Bo ciekawa, pierwszy raz na nią patrzę, a ciebie widzę odkąd żyję na świecie.

— Potém będzie druga, a potém dziesiąta, a zawdy będzie pierwsza. Tak mówiła Kunda i prawdę mówiła. Jasiu, Jasiu, ty od nas odlecisz.

— Bez ciebie? bez Kundy? gdzie?...

— A jeśli nie odlecisz, to nie będziesz ty o mnie dbał — skończyło się.

— Wiész, co?... kiej się tak labidzisz i martwisz, to razem czytajmy—ja będę czytał głośno, a ty słuchaj.

Zosia nie odpowiedziała, bo i ona była ciekawa, co siedzi w książkach, co tak ciągną chłopaka. Odgarnął jéj włosy z czoła, przygładził, oczy zapaską obtarł, posadził przy sobie i czytać zaczął głośno, płynnie, równo.

Dziewczynina słuchała z początku z wielkiém zajęciem, lecz niedługo potém powieki jéj zaciężyły ołowiem, że nie mogła ich podnieść. Oparła głowę na ramieniu Jasia, on objął chude jéj ciało w pół i czytał—usnęła.

Ręka mu od trzymania zdrętwiała, książkę położył, Zośkę zaniósł na łóżko, otulił i wrócił do książki.

Zbudziły go pierwsze brzaski jutrzenki, wtedy dopiéro zgasił lampkę, wypadł z izby i popędził do domu, a za nim kotłując się, leciały postaci historyi.

Wpadł do ojcowskiego obejścia — pusto było i cicho. Wsunął się do stodoły, zakopał w sianie i usnął.

Nie wiedział, godzinę czy wieczność spał. Gdy oczy otworzył, stał przed nim ojciec i trącając go nogą wołał:

— Stawaj, słonko w górę pomknęło.

Chłopak oczy zamknął i nie wiedział o Bożym świecie.

— Matka — rzekł przy śniadaniu stary do żony — zajrzyj do chłopaka. Śpi ci tak, że go zbudzić nie mogłem. Leciał mi z rąk.

— I pewnoś go sprał?—zawołała wystraszona.

— Sprał, sprał; nie mam co innego robić, ino prać.

Stary się oburzył.

— A nie mówiłam, że na takie dziecko pięć korcy zawlec, to za dużo.

— Dziecko? a tu chłopu czternaście lat. I wkiedy będzie pracował?

Biedrońka poleciała do stodoły, za nią Kunda. Zaczęły budzić chłopca.

— I znów go skatował—wołała Kunda—nie tak, to siak...

Jaś oczy otworzył i usiadł.

— I cóż ci, moje dzieciątko, co? — pytała go, zła, że jéj stara zawadza.

— Nic mi, nic, tylko jakoś zesłabłem i spać mi się chce, że powiek udźwignąć nie mogę.

Położył się, zamknął oczy i cicho leżał.

Matka z Kundą uspokojone odeszły. Za chwilę Kunda przyniosła mu niezbiéranego mléka, wypił, przewrócił się na drugi bok i usnął.

W południe zbudziła go Zosia. Chłopak się zerwał, przetarł oczy i rozśmiał wesoło.

— Nie spałeś la téj szelmy książki caluśką noc, no i widzisz, nie możesz ustać na nogach.

— Patrz — zawołał i podskoczył. — Stać ci mogę, a i latać, gdybym zechciać, ale se jeszcze dziś odpocznę.

— Wyleż się, wyleż, Jędrek dziś za ciebie włóczy. Skrzepniesz, mój nieboraku.

Wyciągnęła rękę, głaszcząc go po twarzy. Chłopak przygarnął ją do siebie i pocałował.

— Zosiu, ty mnie przecie lubisz?

— Głupi, nie wiész o tém?

— Wiem i dlatego proszę cię pięknie. A zrobisz mi, moja Zosieczko?

— Gadajże pierwéj, co?

— Kiej się boję.

— Mówże, bo cię zbiję..

— Żebyś mi drugą książkę z chałupy przyniosła.

— A nie mówiłam, że nieszczęście. Będziesz czytał, ojciec niespodzianie nadejdzie i złapie.

Stodołę zamknę i legnę se z drugiéj strony do światła... Widzisz, muszę skończyć, bo ci mnie taka ciekawość pali, jakbym kwartę wódki wypił.

— Spiłeś się tą książką...

— Przyniesiesz?

— Nie, nie przyniosę, polecę i sama ją do dworu odniosę.

Zerwała się, chciała uciekać, Jaś pochwycił ją za nogę, upadła na siano. Objął ją za szyję i całował w usta, w których coraz więcéj zaczynał smakować.

— Moja złocista Zosieczko, nie zagubiajże mnie, bój się Boga. Cóż ja ci złego zrobiłem? Jabym ci gwiazdę z nieba sciągnął, gdybym ino mógł.

— Dosyć—szeptała Zośka—dosyć, tchu nie dasz mi złapać.

— A przyniesiesz?

— Przyniosę.

— Jak se szczęścia życzysz?

— Jak se...

Nie mogła więcéj mówić, zebrała siły, odsuwając twarz chłopca od swéj twarzy.

— Jak nie przyniesiesz, to się sam zerwę i polecę. A niechże mnie tatuś zdybią, będzie piekło.

— Leż, przyniosę. A to ci utrapienie z chłopakiem — szeptała udając stateczną

— A teraz wołaj o obiad, bo mi się okrutnie jeść chce.

Dziewczynina zsunęła się na boisko, szepnęła Kundzie o głodzie Jasia i pognała wygonami do chaty.

— Jak ci całuje — niech Najświątsza Panienka obrania. Nauczył się migiem, mądry okrutnie...

Po obiedzie schowała książkę w zanadrze, okryła się dla niepoznaki chuściną i poszła.

Idąc pod górę, posuwała się wolno. Co uszła parę kroków, stawała.

— No, no, gdyby Kunda wiedziała, że mu książkę niosę, dopiéroby mi sprawiła bal. Ale jakże nie dać, kiej tak prosi, przychlébia i całuje...

Zamyśliła się.

— Kiej się upił, to się musi i ocucić. Sam powiedział, że innych nie chce. Na matkę nasadzę Kundę, sama odniosę książki do dworu, oddam byle komu i ucieknę.

Wzmocniona postanowieniem, szła raźniéj.

— Skończy się biéda i będzie spokój—wmawiała w siebie.

Jaś, leżąc na sianie, nie spał, czekał, niecierpliwił się, wyglądał przez szpary...

Gdy mu zamajaczała czerwona spódniczka na wygonie, podskoczył z radości. Chciał się zerwać, biedz, bał się ojca.

— Jak ci się ułożę, jak zacznę czytać, ha, ha!

Rozkosz obejmowała go przyjemnemi dreszczami. Tarzał się po sianie, przysięgał sobie wycałować Zośkę.

— Buzinę ci ma taką słodziuśką, ząbki, jak u myszki, bielutkie...

Zaskrzypiały wierzeje, poskoczył, wyciągnął rękę, pomagając dziewczynie dostać się na siano sąsieka.

— Przynoszę, alem się zaprzysięgła.

Podała mu książkę, położył się w miejscu, skąd przez szpary wydobywało się światło.

— Cóż to, nie podziękujesz nawet?...

— No to chodź, chodź, moja rybko, mój kwiateczku...

— Przychlebniku!...

Chwycił ją za spódnicę i pociągnął. Uklękła przy nim, objął ją w pół. Dziewczynina sama zaczęła go całować pieszczotliwie, delikatnie i długo.

— Jak zostanę gospodarzem i osiądę na ojcowiznie, ty z Kundą będziesz gospodarzyć, a ja se będę ciekawe historye z książek czytał.

— Patrzcie go? a damy same rade bez chłopa? I nie sprzykrzyłoby ci się cięgiem leżéć i próżnować? Prawdę mówiła Kunda, że książka sprowadzi nieszczęście.

Chłopcu sprzykrzyły się narzekania na ten sam temat.

— Zosiu, zdaje mi się, że tatuś idą.

Książkę schował, zamknął oczy, dziewczynina wyskoczyła z sąsieka. Gdy usłyszał skrzyp wierzei, oczy otworzył, rozśmiał się z fortelu, książkę wyjął i czytał z rozkoszą smakosza, delektującego się samym faktem czytania.

Zapomniał o świecie.

Zakuty w zbroję, jechał za drugimi wśród puszcz i lasów na wielką bitwę, „Psiem polem” zwaną.

I znowu zaskrzypiały wierzeje, książkę wsunął w siano i oczy przymknął, patrząc przez szpary powiek. Przed nim stanął ojciec. Patrzał surowo i wzruszał głową. Zły był i ponury.

— Jakże ci?—zapytał trącając go nogą.

Jaś nic nie odpowiedział.

— Skaranie... z tym niedojdą—zawołał, machnął ręką i odszedł.

— Teraz będę miał spokój do nocy. Kunda w polu, matusia sadzą hameryki, Zośka pasie. Ucieszę się z królami i królewnemi... Boże, Boże, jak ci to ludzie o wszystkiém wiedzą, wszystko pamiętają, wszystko wypiszą.

O zachodzie słońca oszołomiony wysunął się ze stodoły i poszedł do stajni. Kunda i Zosia wiązały krowy, pomagał im.

— Cóż, Kunda, nie przemówisz do mnie, nie pogłaszczesz?

— No, no, byle tylko—odpowiedziała Kunda.

— A ty, Zosia, nie przyjdziesz do mnie?

Zosia, wstydząc się Kundy, nieśmiała i zafrasowana czegoś, przybliżyła się.

— Naskarżyłaś na mnie przed Kundą?...

— Co bym miała skarżyć?

— Przysięgniesz?

— O jéj, la czego nie?

— Ja wam tu dam przysięgi — czekajcie — odezwała się Kunda.

— No to mnie obejmij za szyję.

Dziewczyna się zawahała na mrugnięcie oczu i objęła.

— Wszyscy przeciw mnie—narzekał.—Ojciec, matka, Kunda, ty, Zosiu i zostanę na tym świecie sam, jako ten palec. A cóżem ja komu złego zrobił?

Zosia coraz silniéj przyciskała go do swych piersi.

— Rzucę wszystko i pójdę, gdzie mnie oczy poniosą. A choćby i na tamten świat, to mi będzie miléj.

Zosia, tuląc głowę chłopca do swych piersi, drugą ręką głaskała go po twarzy.

— Nie płeć, Kunda cię kocha i ja cię kocham, radabym ci nieba przychylić.

— Zośka—wrzasnęła Kunda—dawaj stołek.

Dziewczynina odskoczyła, Jaś się zerwał, we drzwiach ukazała się Biedrońka.

— Jużeś się ocucił—odezwała się radośnie.

— Nic mu nie jest—dorzuciła Kunda.

Jaś uczuł szorstkość Kundy, zbliżył się do matki i pocałował ją w rękę.

— No, mówże, moje dziecko—nalegała.

— Kunda powiedziała, że mi nic, to pewno i prawda.

— Kunda zła dziś, jak osa, kąsa, kogo dopadnie.

— Czym zła, albo nie, to Bogu wiadomo, ale że jestem głupia, to prawda.

Zaczęła doić wtoruchę i kląć na nią siarczyście.

— Nożyny cię bolą—zaczęła matka pieszczotliwie, rada wyrugować z serca chłopca Kundę.

— Ociupinę, do jutra przestaną.

— Chwała Bogu, Jędrek nie chciał za dwie szóstek włóczyć, — ojciec markoci.

Wyprowadziła chłopca ze stajni.

— Wracaj do chaty —rzekła do Zośki Kunda — przylecę do was mléka przyniosę.

Dziewczynina wysunęła się cicho. Pełna serdecznego strachu szła wygonami do domu.

— Matka go ciągnie i przyciągnie — przecie matka. Przylgnie do ojców, a nas rzuci... Kunda okrutnie zła.

Rozżaliła się.

— Kunda zła, a ja głupia, bo po com z ozorem latała do niéj, po com skarżyła na chłopaka, kiéj dobry i serdeczny. A teraz ci go zabierze matka, a my siéroty same.

Załamała ręce.

— Cóż za szelma jestem. Dobrze ci tak, nie podwódź na chłopca. — Dobrze ci tak—powtarzała—dobrze ci tak.

Zaczęła płakać i przed nieszczęściem, wżérającém się do serca, uciekać.

Niedaleko chaty stanęła, otarła oczy, uzbroiła się w wesołość i weszła do izby.

— Kunda sama mléko przyniesie—oświadczyła matce.

— Uwarzę ci z naszego. Od mléka okrutnie bielejesz.

— Matka Jasia ciągnie do siebie—szepnęła.

— A niech se go ciągnie, on do ciebie lgnie. A niech se go ciągnie, a ty raz ino ku niemu ślépiami łypniesz i odciągniesz.

— Bo to umiem?

— Szelmo, nie udawaj przed matką... Nie widziałam, jakieś się łasiła do niego, jak ta kocica, co mrucząc, ociéra się o kota.

Na dziewczynę buchnęły ognie.

— Ja... ja? co gadacie, matusiu?

— Cicho, nie obrażaj Pana Boga.

Zosia zamilkła, zadumana, siedziała, wpatrując się w jasny płomień palących się wiórów na kominie.

Wpadła Kunda, zła, w oczach jéj latały światełka. Postawiła na stole garnuszek mléka, pół bochenka chleba, bryłkę soli i w kapuścianym liściu masła. Usiadła, pociągnęła nerwowo chustkę, spadającą z ramion, i zaczęła:

— Ten leń zaczyna do matki léść, aby ino nic nie robić, czytać, jak jaki pan po nocach, a we dnie leżéć do góry brzuchem. Ale niech go stary przeciągnie rzemieniem raz i drugi, przyjdzie do nas — zobaczycie.

Zwróciła się do Tyksiny.

— Żebyście mi się nie ważyli latać do dworu po książki la tego lenia.

— A ja się boję, żeby nie było na mnie — przerwała Zośka. — Jak se pomyśli, żem latała na niego do was z ozorem.

— A niech myśli, co chce, niech liże łapy staréj, niech się łasi ojcu. I co oni mu dadzą? nic, nic, nic, ani odrobiny serca, ani krzty wesołości i uciechy. Wróci on do nas, o to się nie boję — a ino o to aby nie wrócił leń i nie zgłupiał bez te książki. Tyksina, pamiętajcie!...

Zasapana gniéwem, ciężko oddychała. Wyjęła flaszeczkę z kieszeni, kazała podać Zosi kiéliszek, nalała, wypiła duszkiem, drugi podała Tyksinie. Ukrajała kozikiem chleba, posmarowała masłem i jadła ponuro.

— My go pieścimy, przychlébiamy mu, dogadzamy, a on ci leży se na sianie cały Boży dzień... Śpi do południa, a po południu czyta. Wielgi ci pan.

Drzwi zaskrzypiały, kobiéty drgnęły, wszedł Jaś z książką, twarz Zosi zajaśniała jak słońce.

— Kundeczka przyniosła poczęstunek — zawołał — to i ja się ociupinkę napiję i pokrzepię.

Nalał.

— Za zdrowie naszéj Kundeczki, co jako matka dba o nas, pamięta i krzepi nieboraki. Niech żyje sto lat!

Wypił i pocałował Kundę w czerwony policzek.

— Nie łajdak to — zawołała — gada ci, jakby z książki czytał. Idź odemnie, ty wałkoniu.

— Moja Kunda, nie wiem, czego odemnie chcecie?...

— Chcę — krzyknęła — abyś se dał pokój z temi dyabelskiemi książkami. One cię ogłupią, umęczą, rozlenią, wyssą z ciebie siły i kalkulacyę i co zostanie? ani chłop, ani pan. Na panaś zagłupi, na chłopa zamądry—ni tu, ni tam.

Twarz Kundy zarumieniła się, a oczy błyszczały, Zosia patrzała w Jasia jak w tęczę.

Chłopiec powstał podumał i nareszcie szepnął:

— Prawda!

Zosia chciała się rzucić ku niemu, lecz się wstydziła, Kunda tryumfująco rozśmiała się.

— Niech se czyta i bawi się, kto chce, byle nie ty. Tyś do książki pijak i ona cię, jak pijaka powali.

— Co innego w zimie—dodał.

— Nigdy! tak, jak pijakowi ani jednego kiéliszka, albo pójdziesz...

— Kiej nigdy, to nigdy — rzekł z mocą. — Ja sam miarkuję, że książka mnie powoli zabiéra.

— I zabierze, i nie będzie z ciebie pociechy ani Boskiéj, ani ludzkiéj.

— Prawda—szepnął—szelma jest i już.

Usiadł, Kunda do niego się przysunęła, objęła, głowę położyła mu na piersiach, pieściła, głaskała i całowała.

— Moje dzieciątko, czy to ja nie chcę twojego dobra, czy ja nie chcę służyć ci jak pies, czy jabym za ciebie nie dała serdecznéj krwie?...

Jaś ujął ją za szyję — Zosia się zbliżyła nieśmiało, jak winowajca i ręką gładziła go po twarzy. Chłopak ją pocałował w małe usteczka.

— Łajdak chłopak, przychlebca—szeptała rada Tyksina.

Gwarzyli o tém i o owém, weselili się i śmieli, Kunda rozprawiała, przyświadczała jéj Tyksina, dzieci słuchały.

Kogut zapiał.

— Dość już, chodźmy, tyś się wyleżał i wyspał, a mnie stary za jakie trzy godziny zbudzi i daléj haruj cały dzień — mówiła Kunda, zbiérając się.

Jaś spojrzał miłosiernie na Zosię i pokazał jéj oczami na przypiecku leżącą książkę tom trzeci. Mrugnął na nią, aby mu nie dawała przy Kundzie.

Dziewczynina rada była nie dać mu, ale się go bała. A nuż się rozgniewa i pójdzie do matki, a ją porzuci?

Wyszli — Kunda z Tyksiną naprzód, za niemi Jaś — Zośka została.

— A czegóż tam Zośka tak siedzi — odezwał się chłopiec i poskoczył do izby.

Dziewczyna stała na kominie, zdjęła książkę, podała mu ją.

—- Schowajże ją prędko Kunda zobaczy.

Jaś wsunął książkę w zanadrze, pochwycił Zosię na ręce.

— Moja odrobino, tyś przecie dobra...

— Ostatnia książka—szepnęła.

— A skądżebym ich więcéj wziął?...

— Idziecie?—wołała Kunda.

Dziewczynina zsunęła się na ziemię, wybiegła, Jaś za nią.

Kunda opowiadała historyę swéj służby u Biedroniów, dzieci, trzymając się za ręce, szeptały. Księżyc szedł przed nimi i kładł promienie na ścieżkach pod ich stopy. Skąpani w jego blaskach, przytuleni do siebie, szli cicho, jak zbłąkane dusze, wstępujące w progi wieczności.

(D. c. n.). *Sewer.*



Z PAMIĘTNIKÓW PRYMASA

Wł. Al. Łubieńskiego. *)

**) *Annus 1762-dus 17. VII-bris.* Chcąc poprzedzić sejm i ułatwić jedność między familiami, wyjechałem [1]) i stanąłem *incognito* wraz z Kazimierzem Łubieńskim, starostą lelowskim, w pałacu swoim warszawskim.

26... Miałem u króla audyencyą względem Kurlandyi, z której... chc(ą) wyzuć x-cia Karola a przywrócić Bironia, dałem zdanie moje, że ten interes, nie wspomniony do instrukcyi na sejm od województw posłom, nie może bydź na sejmie traktowany, ale, jeżeli sejm dojdzie, można posła wielkiego wysłać do carowy [2]) dla negocyowania w tej materyi *favore* x-cia Karola. Wyraziłem królowi, że wakansów [3]) przytrzymanie i do sejmu rozdanie niepewne dojście sejmu ominuje, dla czego życzyłem, aby król oddał województwo wileńskie

---

*) Dokończenie.—Patrz zeszyt marcowy, str. 457.

**) *Dyaryusz.* Z Warszawy. — [1]) z Łowicza, rezydencyi prymacyalnéj; por. pismo Łubieńskiego na sejmik ziemi bialskiéj d. d. z Łowicza, 8 lipca, w Bibl. ord. Kras., VII, 196 sq. — [2]) Katarzyny II. — [3]) litewskich. Tegoż roku byli zmarli Michał Radziwiłł, w-da wileński, hetman w l (maj); Jan Małachowski, kanclerz w k (czerw.); Stanisław Poniatowski, kasztelan krakowski (sierp.). Przed sejmem oddał król Branickiemu h w k, kasztelanię krakowską, po nim województwo krakowskie wziął Rzewuski Wacław h p k, po tym podolskie Rzewuski Michał, w-da podlaski, po którym podlaskie—Gozdzki, kuchmistrz l: zaś wakanse litewskie umyślnie do sejmu odłożone.

Pociejowi staremu, wojewodzie trockiemu, a po nim uczynił nadzieję Ogińskiemu [1]) dla ukontentowania Czartoryjskich. Do buławy p zaleciłem Sosnowskiego [2]), i mową i sercem dzilnego kawalera, i upewniłem, że sejm dojdzie. Tegoż samego dnia przestrzegłem grafa Bryla, że jeżeli król nie odda wakansów litewskich, sejm się rozdwoi i sam Bryhl na honorze może szkodować, bo przeciw niemu cała moc Czartoryjskich ma bydź wywarta.

1-ma VIII-bris. Konferencyą miałem z woli królewskiej u siebie w 5 osobach... [3]), na której przestrzegłem Bryla, że x wojewoda ruski i x kanclerz w l [4]) oświadczyli się przedemną, że jeżeli ich instancye za Ogińskim do województwa wileńskiego, a za Brzostowskim [5]) do buławy p nie wezmą skutku, tedy wszystkę zawziętość przeciw niemu wywrą. To ja mu do ucha wyraziłem, ale on na tej konferencyi wyjawił, przeto jam potwierdził toż samo, bom to z ust xx Czartoryjskich miał i o to prosili mnie, lubom im mocno perswadował, aby radom całej ojczyzny interessem partykularnym nie zaszkodzili, na co oni odpowiedzieli, że ludzi godnych zalecają, a że Dwór zamyśla im szkodzić, przeto i sejm mniej potrzebny, jeżeliby za radą Dworu poszedł, i wiele innych racyi ect., tym czasem Bryhl sam odpowie nam za to. Na tej konferencyi jam przełożył mocne reflexye, aby król miał wzgląd na rozdanie wakansów, jeżeli chce interessowi kurlandzkiemu dogodzić, ile nic nie masz przeciwnego zarzucić rekomendowanym; a lubo xx Czartoryjscy Brylowi chcą szkodzić, ale zapewne umoderują się, jeżeli będą ukontentowani. Inni ichm., jako hetmani obydwa, marszałek w k i Bryhl, zalecili królowi Radziwiła [6]) i Sapiehę [7]) z oświadczeniem, żebym ja doniósł królowi *mentem* xiążąt, że ci chcą obydwa wakanse, albo nic, i grożą się; alem ja odpowiedział, że ta groźba nie przeciw królowi, ale przeciw Brylowi.

2. *VIII-bris.* Jechaliśmy wraz z hetmanem w k publicznie na audyencyą do króla..., i kiedy król pytał się mnie, czyli Czartoryjscy pretendują obudwóch wakansów albo nic, odpowiedziałem: że WKM każ im przyjść do siebie, to co zechcesz zrobisz z nimi; żeby zaś grozili się przeciw majestatowi, to nie jest, ale to prawda, że mają niechęć przeciw Brylowi. Hetman to samo stwierdził i obydwa wraz prosiliśmy króla, aby dobrocią swoją umoderował rozdanie wakansów,

---

[1]) Michałowi, pisarzowi p l, ożenionemu z Aleksandrą, kanclerzanką Czartoryską. — [2]) Józefa, pisarza w l. — [3]) prócz prymasa byli obecni: stary Brühl, Branicki, Wacław Rzewuski i Mniszech. — [4]) August i Michał Czartoryscy. — [5]) Michałem, koniuszym w l. — [6]) Karola. — [7]) Aleksandra Michała, w-dę połockiego, h p l.

ile że sejm potrzebny z wielu przyczyn, ale najbardziej z interessu kurlandzkiego. Z tej audyencyi pomiarkowałem mocną prewencyą w sercu króla przeciw familii xiążąt. Tegoż samego dnia wieczór przybyli do mnie graff Bryhl z Mniszkiem, marszałkiem n k, z żalem przeciw mnie, jakobym ja królowi nie oświadczył intencyi i zdania konferencyi onegdajszej, a najbardziej żem nie dokładnie wyraził pogrożenia familii przeciw królowi, bo im przewidziało się, że to jedno jest gniewać się przeciw Brylowi, co i przeciw królowi, lub *e contra* [1]). Odpowiedziałem na to z passyą, że jako pisarz k w Dreznie musiałbym z pokorą odpowiadać na to, ale jako prymas i medyator proszę skromnie ze mną mówić, ani krytykować mnie. Wiem, com królowi powiedział; ani się sprawiać z tego nie powinienem, ile ministrowi cudzoziemskiemu [2]). Familia Czartoryjskich nie na królu mścić się chce, ale na Bryllu; król może wyjechać do Saxonii, ale wiem, że mi nie zostawi wojska tym czasem, jak zamiesza się królestwo. Ja nie inaczej, tylko moderować muszę duchy; przeto zawczasu muszę w tej konjunkturze medyatora powinność czynić, i proszę mi dać pokój. Przełożyłem im konsekwencye wszystkie, ale *surdo fabula narrata* [3]). Byli po tym u mnie xiążęta, opowiedziałem im moje obroty, podziękowali mi, osobliwie za to, żem u króla moderował ich myśli *favore* thronu.

4. VIII-bris. Po wotywie i kazaniu sejm zaczął się, ale na alterkacyach o głosy solwowana sessya; Dwór zaś cale odpadł od moderowania duchów i owszem sekretne formował do izby poselskiej nowe wiolencye pod starą laską Małachowskiego [4]).

5. VIII-bris. Po zaczętej sessyi o głosy trudności zachodziły, w których zamieszaniu Poniatowski, stolnik l, dopomniał się głosem mocnym, aby Bryhl [5]) jako cudzoziemiec umknął się z poselskiego miejsca, a ten był posłem z warszawskiej ziemi. Na ten odgłos porwano się do szabel i w tej scyssyi solwowano sessyą bez najmniejszej kropli krwi rozlania, bo zaraz moderowano passye. Po tej tragedyi, nigdy nie praktykowanej *in officina legum* [6]), rozdzieliły się partye posłów na dwie, z których jedna najznaczniejsza familii Czartoryjskich była u mnie tego dnia przed wieczorem, wszyscy na koniach, Poniatowski, podkomorzy k [7]), pierwszy miał mowę do mnie, po nim x Adam Czartoryjski [8]), Poniatowski stolnik l, Rzewuski [9]) pisarz k,

---

[1]) „naodwrót". — [2]) t. j. saskiemu, Brühlowi. — [3]) „głuchym perswadowałem". — [4]) Adama, krajczego w k. — [5]) Fryderyk, starosta warszawski. — [6]) „w gmachu praw" — [7]) Kazimierz. — [8]) generał z p. — [9]) Franciszek, wojewodzic podolski.

Pociej, strażnik k, i inni; wszyscy zaś mówili w jednej materyi, żaląc się, że izba poselska pod szablami, na jedno imię Bryla podniesionymi, że wolny głos cierpi, ect. Jam podziękował za tę wizytę i deklarowałem *majestati* donieść o tej krzywdzie publicznej.

6. VIII-bris. W izbie poselskiej sessya w zakłóceniach *itidem* [1]) solwowana. Tegoż dnia pojechaliśmy wraz z hetmanem w k do króla na audyencyą z doniesieniem o nigdy nie praktykowanej wiolencyi w izbie poselskiej, żądając, aby król zalecił marszałkom wielkim obojga narodów, aby ci inkwirowali *authores sceleris* [2]) i ubezpieczyli rady posłów i aby hetmanowie wielcy assystencyi dodali bezpieczeństwu publicznemu, ile że *sub armis* [3]) cała izba poselska napełnia się. Jam o to mówił wszystko, marszałek w k [4]) doniósł, że author szabli dobycia jest pewny litwin z assystencyi x Radziwiła miecznika l [5]), nazwany Sylwestrowicz. Audyencya ta na niczym zeszła, jak prędko wydawać się zaczęła praktyka Dworu w tej wiolencyi. Ani sposoby moderacyi chciano przyjmować. Tej nocy spraktykowany manifest, i poseł, wraz stolnik ciechanowski, zwany Szumakowski na zerwanie sejmu. *Notandum*, że na tej audyencyi z hetmanem w k u króla umówiliśmy byli z sobą, aby królowi reprezentować potrzebę wielką sejmu nie tylko z przyczyny monety i aukcyi sił, ale też i własnego interessu królewskiego dla negocyowania z Dworem peterburskim interessu kurlandzkiego *favore* x-cia Karola, syna królewskiego; i sejmu tego dojście łatwe proponować mieliśmy, aby tylko król nas upewnił, że pieczęć mniejszą *cedet* [6]) Zamojskiemu, wojewodzie inowrocławskiemu. Ale dworskie ministerium przeniknąwszy podobno nasze myśli, wraz z nami weszli do króla i król inną materyą zaczął, ale do skutku nie przywiódł, względem kary na Sylwestrowicza, aby przez to nie wydała się fakcya dworska.

7. VIII-bris jest urodzenia królewskiego; u mnie obiad wielki dla wszystkich senatorów i ministrów cudzoziemskich. Sejm zerwany tego dnia przez manifestanta wyżej wyrażonego.

16. Audyencyą miałem u króla, na której *conclusum* [7]), abym u siebie miał konferencyą z senatorami i ministrami, i król mi oddał punkta *desideriorum: 1-mo* czyli ma bydź *senatus consilium; 2-do* czy na radzie senatu ma bydź proponowana materya kurlandzka, czyli też tylko przez memoryał; *3-tio* co za propozycye wyniknąć mają do rady senatu.

18. VIII-bris. Ta konferencya po południu o 4 godzinie była

---

[1]) „również". — [2]) „sprawców zbrodni". — [3]) „pod bronią". — [4]) Bieliński Franciszek. — [5]) Karola. — [6]) „ustąpi". — [7]) „uchwalono".

u mnie; na niej 48 senatorów było przytomnych, a 5 ich chorowali. Rozdwojone były sentymenta. Jam z xx Czartoryjskimi przemówił się z racyi, że tej konferencyi przeciwni byli, ale, mymi racyami skonwinkowani, zezwolili. *NB.* Ta moja animozya przeciw familii dała poznać Dworowi, żem cale nie był przywiązany do Czartoryjskich, i owszem, jak Dworowi, tak i im prawdę reprezentowałem. Od tąd byłem z Dworem i z familią dobrze...

20. VIII-bris. Audyencyą miałem u króla...; król mi wyraził oświadczenie, że bardzo kontent ze mnie z przyczyny, że prawdę mówiłem xx Czartoryjskim, broniąc powagi prymasowskiej w utrzymaniu konferencyi, i dodał mi te słowa: broń prymasie mojej powagi królewskiej, ja przyrzekam, że prymasowskiej powagi zawsze bronić będę.

25. VIII-bris. Rada senatu zaczęła się w zamku przezemnie i przez biskupów *ad* 30, kontynuowana przez wojewodów, kasztelanów i ministrów. Wolno mowy obaczyć po części drukowane, ale to pewna, że wiele mów było gorszących *publicum* [1]), które zwadą, nie radą, mogły nazwać się, i w bref prawu..., najprzykrzejsza zaś była krytyka mowy Zamojskiego [2]), godnego senatora, ale tę krytykę refutował x Czartoryjski, kanclerz w l. Ale i to pewna, że niech nas PBóg broni od podobnych rad senatu, bo takie nie są przykładem, ale zgorszeniem *in illo alto* [3]) *subselio...*

17 [4]). Z kanclerzem l traktowałem o tychże sposobach do jedności, ale zmiarkowałem dylacyą jego do przybycia Keyzerlinga...

19. W tych dniach przybył wojewoda kijowski [5]) i ułożoną rekoncyliacyą między córką jego a cześnikiem k, synem Bryla, do skutku u siebie przywiodłem przy bytności hetmanów k obudwóch, przy grafie Brylu i marszałku w k. Jakoż wkrótce pobiegł cześnik po żonę, przywiózł, i pięknie z nią żyje.

1763. 19 [6]). X wda ruski był u mnie *incognito* z oświadczeniem planu swego jakowegoś względem poprawy nieustannych bez prawiów; i kiedym go reflektował niebespieczeństwem konsekwencyi, ruiny kraju

---

[1]) „publiczność“. — [2]) Andrzeja, w-dy inowrocławskiego. — [3]) „w téj wysokiéj“. — [4]) listopada.— [5]) Franciszek Salezy Potocki.— [6]) lutego, z Warszawy. Łubieński czekał w Warszawie przyjazdu Kayzerlinga, który przybył 2 grud. 1762 r., lecz pod pozorem słabości wymówił się od wizyty; wyjechał tedy Łubieński 3 grud. do swéj rezydencyi w Skierniewicach, zostawiając porozumienie się z posłem *do dalszej korespondencyi utajonej*; do Warszawy wrócił 18 lut. na radę senatu, zwołaną przez króla z powodu sprawy kurlandzkiéj i zamierzonego powrotu króla do Drezna po zawartym pokoju.

zamieszania nieskończonego, odpowiedział, że co się stanie, wszystko stanie się łatwo i bez znacznej szkody i trudności [1]. M Aloy [2]) doniósł mi, że król dziś osłabiał, ale ku wieczorowi ozdrowiał i cale zdrów po posiłku potraw mocniejszych. Tenże otworzył mi tajemny projekt, *in casum fatorum* króla, do korony x-ia dom Filipa [3]), którego Hiszpania, Francya i Wideń mogą promowować, o co negocyacye sekretne u tych dworów agitują się...

21. Biskup krakowski [4]) dopomina się, aby mu moja warta biła w bębny; ale *nescit quid petit* [5]): biskup nie hetman, *novitas summa* [6]), nie bywało tego, i cała Warszawa śmieje się z tej pretensyi...

27. X kanclerz w l był u mnie, któremu oświadczyłem nadzieję jedności, byle mi *desideria* podał, coby żądała familia jego od króla. Odpowiedział, że nie żądamy czego innego, tylko aby prawa król i Dwór obserwował, aby co wypadło z obrębów praw, przywrócone było, i aby każdy minister swoję powinność czynił. Dodał i to, że cale nie mamy z kim co mówić, ani komu wierzyć, król bez rady, bez głowy, samymi bajkami rządzi się; co wszystko jest prawda, bo i ja we wszystkim doznaję wiele niedogodności i odmian. Dodał i to x kanclerz, że plantę pewną mają do exekucyi przywodzić, ale o tej *mysterium* [7]) zachowują, upewniając, że żadna potencya do tej planty nie wmiesza się. Z Dworem nie chcą żadnej jedności, Bironia utrzymują przy x-wie kurlandzkim...

18. Marty rano byli u mnie *cum resultato* [8]) marszałek z hetmanem p i z innymi wielą, gdzie publicznie powiedziałem, że krzywda prawu dzieje się *ex hoc* [9]) *resultato* i że salwę muszę dodać przy podpisie, o co mocny rozgowor i Dwór zaląkł się. I kiedy mi powiedziano, że z tąd król może cięższej zapaść na zdrowiu, deklarowałem podpisać bez salwy, wyraziwszy ustnie, że wolę *cum multis errare* [10]), jak *soli sapere* [11]), i to dodawszy, że przed sejmem *votum* moje mnie wyświadczy, miane na radzie tej, gdzie ja zawsze *ad trinos ordines* referowałem ten interes [12]), ani też to *resultatum* ma w sobie *vim aliquam*

---

[1]) król był chory; familia gotowała przeciw dworowi konfederacyę generalną. — [2]) ajent saski, kreatura ks. Karola. — [3]) ks. Parmy. — [4]) Sołtyk. — [5]) „nie wie, czego żąda". — [6]) „niesłychana nowość". — [7]) „tajemnicę". — [8]) „z uchwałą", t. j. z rady senatu odbytéj 7 — 15 marca. — [9]) „z téj". Chodzi tu o ustęp drugi uchwały senackiéj, biorący w obronę księcia Karola. Łubieński był w kłopocie, gdyż na tym punkcie był zobowiązał się familii i posłowi, por. doniesienie Kayzerlinga, 23 marca, w Sborniku petersburskim, XLVIII, 407; a jednak w ostatniéj chwili poszedł z Dworem. — [10]) „z wieloma błądzić". — [11]) „samemu miéć rozum". — [12]) kurlandzki. Istotnie w przemowie, otwierającéj sesyę, 7-go marca, był domagał się Łubieński, jeszcze nastrojony od familii, zwołania sejmu ekstraordynaryjnego w sprawie kurlandzkiéj, zgodnie z literą prawa.

legis [1]). Przed czwartą byłem na pożegnaniu u króla; nie bawiłem słabego na nogi; doniosłem o śmierci wojewody kaliskiego i zaleciłem zasłużonych. W puł do piąty *resultatum* czytane podpisałem w przytomności króla. 10 senatorów nie podpisali. Jam podpisał z przyczyn: *1-mo* że *favore* x-ia katolika; *2-do* obawiając się, abym nie przyśpieszył królowi cięższej choroby, ile w tej materyi król mocno aprendujący był; *3-tio* że to *resultatum* nie ma *nullam vim legis; 4-to* że nie chciałem sprzeciwić się ministrom *pacis et belli necnon pluralitati* [2]); *5-to* żem poprawił to *resultatum* tak dobrze, że *sine* [3]) *tribus ordinibus* nie może mieć skutku, bo go można tak tłumaczyć. Chciałem ja przy podpisie przydać: *lege firma manente* [4]), ale, kiedy mocno proszono, zostałem przy samym podpisie. *Interim* zabiegłem skrupułom innym sposobem [5]), żebym u przeciwnych nie był cenzurowany na po tym...

13 [6]). Hetman pisze, że przybędzie w krótce. Bryl pisze, że król kontent *ex zelo meo* [7]) około ojczyzny, Schmitt [8]) zaś ma listy, że Bryl odstąpiony od doktorów i że x Karol podobno będzie przybrany do rządu z królem, że w Saxonii zamieszanie wewnętrzne, że tam sejm zaczęty, że piniędzy cale nie masz, rządu żadnego, i że marszałek Mniszek żadnych rezolucyi nie odbiera od króla *in desiderys*. X Karol zaś donosi, że co on czyni, król kontent, i z tąd *speratur intimior* [9]) do rady królowi dla dobra ojczyzny naszej, jeżeli tak jest. Umówiliśmy się z Mokronowskim [10]), aby M Aloy zebrał punkta *ad tractanda* z Keyzerlingiem. A tym czasem Keyzerling deklarował wysłać kuryera do wojska..., aby się zatrzymało i do Wilna nie zbliżało się. U mnie obiady z muzyką dla wszystkich przytomnych...

16. Aug. Poseł Keyzerling był u mnie o 10. z raną; konferencya z nim długa, przy obecności Mokronowskiego i JX Audytora [11]). Rezolucya taka: 1. że wojska... umkną się do swego kraju; 2. trybunał litewski niech sądzi, byle Radziwił nie rządził nim [12]); 3. trybunał piotrkowski, aby bez żadnych assystencyi wolny się zaczął podług

[1]) „jakąkolwiek moc prawną". — [2]) „pokoju i wojny ani większości". — [3]) „bez". — [4]) „z zachowaniem mocy prawa". — [5]) ustęp drugi uchwały senackiéj właściwie przemawia od osoby królewskiéj; dwór chciał manifestu na rzecz ks. Karola w imieniu senatu, czemu sprzeciwił się Łubieński. — [6]) sierpnia. Łubieński 20 marca wyjechał do Skierniewiec; 22 kwietnia przybył do Warszawy dla pożegnania się z królem, odjeżdżającym do Drezna, i 27 wrócił do Skierniewic dla spędzenia tam lata; 8 sierpnia znów stanął w Warszawie, przywołany wiadomością o marszu Sołtykowa. — [7]) „z gorliwości mojéj". — [8]) rezydent saski. — [9]) „spodziewa się być zaufańszym". — [10]) Jędrzejem, generałem, strażnikiem p k. — [11]) Jędrzeja Młodziejowskiego. — [12]) trybunał wileński otwarty 21 kwietnia pod laską Karola Radziwiłła.

prawa; 4. poprawa praw do sejmu niech zostanie; 5. Kurlandya także do sejmu; 6. interes Brylow także do sejmu. Sam zaś poseł chce czynić imieniem familii xx Czartoryjskich, jeżeli nie przybędą. Wojewoda podlaski [1]) ma list od marszałka Mniszka, jako jest mocno przeciwny tej radzie naszej warszawskiej. Ale x Karol upewnia, że król kontent...

10. VII-bris [2]). Zastałem wiadomość ciekawą i pewną, bo ztwierdzoną przez pobożnych kapłanów i wielu panów tam przytomnych. To jest: że 4. VII-bris w Uniejowie nad kollegiatą i nad miastem pokazała się sfera albo cyrkuł na niebie; słońce było chmurą zakryte; sfera ta była koloru tęczy, od pułnocnej strony wychodząca *in modum* słońca, która, zbliżywszy się nad kościół, trzy okrągłe cyrkuły uformowała nad kościołem z kolorów tęczy od pułnocy i zachodu. Przeciw tym cyrkułom, od puł wschodu i od puł południa jedna kolumna czerwonego koloru, a od w puł południa i od zachodu druga kolumna żółtego koloru uformowała się przeciw niej, i powoli obydwie znikły; sfera zaś w trzech cyrkułach trwała od ósmej godziny z rana aż do jedenastej przed południem. *NB* nastąmpiła śmierć królewska, *interregnum* i konfederacya.

de 8. in 9. VIII-bris. Kuryer z Drezna przybiegł Dzierzbicki, paź x-ia Karola, do wojewody kijowskiego z listem donoszącym o śmierci królewskiej, jak nagłej 5. VIII-bris nastąmpionej. O tym rada zaraz była między wojewodami trzema poznańskim, kaliskim i kijowskim [3]) sekretna, i z między siebie czymprędzej pocztą wyprawili do mnie wojewodę kaliskiego z starostą nakielskim [4]). Ci stanęli u mnie *de 9. in 10.* z Niedzieli na Poniedziałek, w puł do trzeciej z rana, obudzieli i zasmucili mnie mocno. Ale i ja w tym punkcie listy podpisałem i przez kuryera wysłać kazałem do wojewody kijowskiego, do prezydenta trybunału [5]) i do ziemstwa sieradzkiego [6]), aby nie zasiadali w kościele do przysięgi, aby rozjechali się powoli, ani trybunału zaczynali, i uniknęli konsekwencyi tumultowych. Jakoż z łaski Boskiej co żywo rozjeżdżać się poczęli i rozjechali.

10. VIII-bris Keyzerling przysłał także do mnie rezydenta Ryszewskiego z Warszawy z tąż nowiną. Jam zaraz tego samego dnia wyjazd swój do Warszawy determinował, nietylko dla uniknienia przejazdu panów z Piotrkowa, ale i dla spokojności utrzymania w War-

---

[1]) Bernard Gozdzki. — [2]) ze Skierniewic, dokąd wrócił Łubieński 9 września.— [3]) Jabłonowskim, Twardowskim, Potockim. — [4]) Rogalińskim. - [5]) ks. Cieńskiego, kanonika gnieźnieńskiego. Reasumpcya trybunału wyznaczona była na 10 paźdz. — [6]) do sędziego ziem. sieradz., Zaremby.

szawie. Na noc do Guzowa zajechałem i tam kuryera zastałem z listami od Elektora saskiego [1]) i od x-ia Karola z doniesieniem mi śmierci królewskiej. Przez las do Miedniewic jadąc, nieustanną tęczę przed karetą widziałem, w czystym czasie i szerzącą się po lesie, dobre *omen* [2]) spokojnej elekcyi. Ta tęcza na 4 tęcze rozerwana była; patrzyli na to ja, JX Audytor i p. doktór, jadący ze mną, i służni ludzie.]

12 [3]). Po mszy św. odprawionej rano, którą codziennie odprawiać zwykłem podczas *interregnum*, był u mnie Keyzerling .... o 10. z rana. Zalecał bardzo imieniem Dworu swego: *1-mo* Piasta do korony.. ; *2-do* że elektor niedługowieczny; *3-tio* że saski dom zawsze faworytami się rządzi; *4-to* miał on prawda list od elektora saskiego z konkurencyą o koronę i pokazał mi go, ale jako patryota polski nie życzył; *5-to* upewnił mnie, że jedno zawsze trzymać będzie Rossya z królem pruskim *favore* Piasta; *6-to* ewakuacyą obiecał... od magazynów pruskich [4]), ale pierwej prosił o memoryał na to, i kazałem go pisać [5]). Dotchnął także o stolniku l, ale zdaleka, tylko chwaląc przymioty jego. O tym wszystkim znosić się z nim obiecałem podług okoliczności czasu.

15. VIII-bris... W dyskussyach wielu proponują exkluzyą Piasta do korony... Rezydent angielski [6]) wymówił się przeciw elektorowi saskiemu, że sama [7]) rządzi, co jest w bref prawu polskiemu; jakoż wielu o tym rezonują, oraz i Keyzerling, który najwięcej stolnika l przekłada. Dałem responsa polityczne elektorowi saskiemu i samej. Pułkownik Jakubowski [8]) przybył; z nim najwięcej *de politicis* [9]) mówiłem, bo człowiek arcyrozumny i penetrujący. Piszą z Gdańska, że tam nie ustanni kuryerowie z Peterburga do Berlina *et e converso* [10]); znoszą się te Dwory *favore* Piasta. X Karol pretenduje przybyć do Warszawy *favore* elektora, ale nie dozwalam i perswaduję, aby o tym nie myślał. Podskarbi w k [11]) ofiaruje mi wina i drzewa, ale *non credo* [12]).

21. VIII-bris. Konkurs panów na pokojach u mnie. Do tąd Dwór żaden cudzoziemski nie odezwał się z myślą swoją względem

---

[1]) Fryderyka-Chrystyana.—[2]) ,,wróżba".—[3]) z Warszawy, dokąd przybył Łubieński ze Skierniewic 11 paźdz.— [4]) w Grudziądzu, pozostałych z wojny, pilnowanych przez oddział gen. Chomutowa. — [5]) w tém Promemoria dla Keyzerlinga, 14 listop., Łubieński na razie odzywa się dość żywo: *precibus palatinatuum Prussiae et munere primatiali motus... cum enim... ratio legum patriae postulat, ne exteri, eo magis militiae nomen dantes, inter fines illius interregni tempore versentur*, i t. d.;—późniéj ochłódł. — [6]) Wroughton. — [7]) elektorowa Marya-Antonina. — [8]) agent Branickiego; téż na żołdzie francuskim. — [9]) ,,o sprawach politycznych".— [10]) ,,i odwrotnie".— [11]) Teodor Wessel. — [12]) ,,nie wierzę".

konkurencyi do korony... Rozmowy dziś różne o królu Stanisławie [1]), ale bezskuteczne, bo i stary, i pułnocne potencye przeciwne.

23. VIII-bris. Kazanie x Lachowskiego piękne. Obiad wielki u mnie. Potoccy hetmana [2]) częstują koroną, *interim* zmierzać się widzą na elektora. M Benoit [3]) deklarował myśl pana swego, że nie inaczej tylko Piasta zaleca równo z Keyzerlingiem.

3. IX-bris. Pokoje ludne i obiad wielki u mnie. Dziś cała chorągiew gwardyi na wartę przyciągnęła z muzyką i zwyczajem jak do króla. X wda ruski z x kanclerzem l umówili się ze mną o czas sejmikom i sejmowi *convocationis* [4]); ale ja chcę ze wszystkimi się znieść o ten czas, żeby po tym nie żalili się na precypitancyą albo skrócenie przeciw mnie; bo na tym rzecz zawisła. A tym czasem przed radą senatu chcę wszystkich pojednać i cale pogodzić...

4. IX-bris. Pokoje ludne i obiad wielki u mnie. X kanclerz w l mówił mi o legacyą do Petersburga *favore* Ogińskiego, pisarza l, alem już determinował się Lelowskiego [5]), z czego kontent Keyzerling i x wda ruski...

6. IX-bris. Obiad wielki, wszyscy byli na nim najprzeciwniejsi, i pokoje przez cały dzień napełnione. Keyzerling wraz ze mną i przed i po obiedzie godziliśmy, jednaliśmy wszystkich, i przeciesz ułożyliśmy konfidencyą, przyjaźń i jedność, jak zupełną, daj Boże, i w sercach. Tylko jeden marszałek Mniszek nie był, bo jeszcze jest w drodze. Sejmiki muszą bydź odłożone z przyczyny zgód po województwach poalterowanych przed śmiercią królewską, osobliwie w Litwie, w Prussach i na Rusi, do czego wszystkie głowy pojednane obiecały *concurrere* [6]). Ordynans, aby Sasi [7]) umykali z Polski. Chambelan Nostitz od elektora z listami przybył.

10. IX-bris. Zjazd wielki u mnie, senat cały. Audyencyą dałem publiczną posłowi wielkiemu rossyjskiemu Keyzerlingowi pod baldachimem; dałem mu prawą, a sobie lewą rękę; senatorowie po bokach w krzesłach siedzieli. Mowę poseł miał po łacinie piękną, po tym list mi oddał od imperatorowej *cum titulo competenti celsissimi primatis* [8]), czego nigdy nie bywało. Obiad wielki dałem z zdrowiem imperatowej i rzpltej. X wda ruski wyraził mi wielkie ukontentowanie z porządków tak pięknych *interregni* i zjednoczonych, osobliwie

---

[1]) Leszczyńskim. — [2]) Branickiego. — [3]) rezydent pruski. — [4]) „konwokacyjnemu". — [5]) Kaźmierza Łubieńskiego, s-tę lelowskiego; krewny prymasa, z linii sandomierskiéj. — [6]) „przyczynić się". — [7]) pułki saskie konsystujące w Polsce pod komendą gen. Renarda: jednak dopiéro 17 listopada wyszły z Warszawy. — [8]) „z tytułem odpowiednim Jego Wysokości prymasa".

z rady senatu [1]) tak zgodnej, jakiej nigdy nie było. Taż sama rozmowa moja z hetmanem. Rewers dany od grafa Keyzerlinga względem tytułu..., podobnyż *requiritur* [2]) od ministra pruskiego, z approbacyami tychże Dworów. Partya *multiplicari* [3]) zaczyna się *favore* elektora do korony.

13. IX-bris. Biskup kujawski [4]) dał obiad w Ujazdowie. Tamże listy od imperatorowej do mnie i do wszystkich senatorów, przeciwne elektorowi saskiemu, co wielu allarmowało, że przed czasem. Rezydent francuski [5]) ogłosił, że *fortiora* Peterburg gotuje za 12 niedziel, co fałszywie *retulit* [6]), animując duchy... Marszałek n k Mniszek z żoną przybył w nocy i doniósł mi zaraz o sobie; inni senatorowie przybyli także; *fama crescit* [7]) o stolniku l do korony.

14. Pokoje liczne u mnie i obiad wielki. Rezydent francuski w cyffrach ma od ministrów francuskich w Peterburgu, że tam 40,000 wojska w gotowości... W czym byli u mnie hetman i wda kijowski, pytając się, co z tym robić; odpowiedziałem, że francuzi często melą się na swoich cyffrach. *Interim* expedycyą kazałem do Porty gotować, a hetman instrukcyą dla JP Stankiewicza, rezydującego u Porty. Ułanów saskich jeden pułk bierze hetman w k, drugi wda kijowski, trzeci podskarbi w k. Przybył biskup wileński [8]) i hetman w l [9]) i p [10]); na jutro proszeni do mnie na obiad.

18. Pokoje ludne i obiad wielki. Z x kanclerzem l rozmowa względem Ogińskiego wyjazdu do Peterburga bez konsensu mego według prawa, o co hetman mocno *zelat,* — nie z tej przyczyny *hic zelus,* tylko że korona mu w głowie przez sposób posła duńskiego [11]), który jest mocno w kredycie u carowy. Także rozmowa o laskę do konwokacyi i elekcyi, ale jeszcze rzecz nie determinowana zda się bydź. Pisałem do Rzewuskiego hetmana p k, aby Radziwiła wojewodę wileńskiego utrzymywał w spokojności, ile że córkę mu daje za mąż... M de Sacken, ablegat od elektora saskiego dziś wyjechał do Peterburga, najbardziej dla wyśladowania czynów Ogińskiego. Podpisałem dziś assygnacyą do skarbu dla dworzan krolewskich, przy pogrzebie będących, każdemu po 1,000 tynfów z skarbów obudwóch.

22. Pokoje jeszcze liczne i obiad wielki. Miasta pruskie oddały punkta do zgody z wdą pomorskim [12]); o ten interes zniosłem się z Keyzerlingiem, a najbardziej, aby on ordynans wydał do ustąmpie-

---

[1]) t. zw. konwokacyjnéj, odbytéj 6 — 8 listop. — [2]) „wymagany jest“. — [3]) „mnożyć się“. — [4]) Antoni Ostrowski. — [5]) Hénnin. — [6]) „doniósł“. — [7]) „rośnie odgłos“. — [8]) Ignacy Massalski. — [9]) Michał Massalski, kasztelan wileński.— [10]) Aleksander Sapieha, w-da połocki. — [11]) Ostena. — [12]) Pawłem Mostowskim.

nia... z Pruss; ale miarkuję, że nie wynidą, pokąd Czapscy [1]) nie uspokoją się cale z wdą pomorskim, ile że i oni armują i miasta. Czytałem kopią listu carowy do elektora [2]), aby on sobie dał pokój, a zdrowie szanował przy rządzie Saxonii, nie do korony. Dziś assygnacye do skarbów podpisałem dla ablegatów. Rzymski, neapolitański i wenecki, jeden [3]) złott. 40000. Cesarski [4]) 25000. Francuski [5]) 36000. Moskiewski 54000 [6]). Szwedzki i duński [7]) 40000. Berliński [8]) 21000. Saski [9]) 25000. Turecki [10]) 18000. Holenderski, angielski, portugalski, hiszpański i turyński jeden 45000 [11]).

27. IX-bris. Na kazaniu x Lachowskiego byłem. Po tym obiad wielki u mnie dla Keyzerlinga, familii xiążąt i wielu senatorów i ministrów cudzoziemskich, oraz i najprzeciwniejszych przed tym panów, a to dla sprzyjaźnienia ich mocniejszego z sobą. Keyzerling pokazał mi list własną ręką carowy pisany, cale przeciwny elektora saskiego konkurencyi do korony, Piast tylko mocno zalecony a najbardziej stolnik l do korony, jako godny i młody. Pierwszy list od niej mógłby bydź za deklaracyą publiczną poczytany, ale drugi [12]) jej własną ręką, *cum mysterijs* [13]) wyrażony, upewnia i o tym, że król pruski jednego z nią zdania, ale i przestrzega, że dwór wideński i francuski

---

[1]) w-da malborski, s-ta knyszyński, kasztelan i podkomorzy chełmińscy. Spór między Mostowskim, stronnikiem familii, a prowincyą pruską i Czapskimi, stąd brał początek, że Mostowski, nie będąc indygeną pruskim, a uzyskawszy od Augusta III-go po Narzymskim przywilej na województwo pomorskie, odbył samowolnie wjazd, ustanowił urzędników grodowych i t. d., nie czekając generału, który oddawna nie dochodził, gdyż i Narzymski nie miał indygenatu. Manifestowali się przeciw niemu Czapscy; Mostowski przeciw nim dekret trybunalski w Piotrkowie uzyskał; rzecz została w zawieszeniu skutkiem reassumpcyi trybunału niedoszłej z powodu zgonu króla. — [2]) Katarzyna do elektora, 22 paźdz., u Beer'a, II, 326. — [3]) ks. Łubieński, dziekan gnieźn. — [4]) t. j. do Wiednia; Ossoliński, s-ta sandom. — [5]) Bieliński, s-ta czerski. — [6]) Kaźmierz Łubieński. Jednak w *Konnotacyi expens na poselstwo futorum regis*, 14 listop., przeznaczono dla niego tylko 36000 złp.; zaś dopiero sam prymas asygnacyą do skarbu kor., d. d. 16 listop.: *ratione elevati pretij rerum w czasach teraźniejszych i drogości w Peterburgu tam quoad victum quam quoad amictum*, kazał wypłacić mu na drogę dodatkowo 18000 złp. — [7]) Ostrorog, stolnik czerski. — [8]) Gadomski, podkomorzy sochacz. — [9]) Potocki, s-ta smotrzycki. — [10]) pułk. Stankiewicz. — [11]) Poniński, s-ta ostrzki; jednak miał sobie dołożone jeszcze 20000, za asygnacyą prymasowską do skarbu. d. d. 30 listop.: *ex quo będzie i u dworu sardyńskiego i interess rzpltej o summy neapolitańskie promować ma zlecenie;* wziął tedy ogółem 65000 złp.; mimo to zdążył jeszcze skompromitować Rzpltę, bo od dworu hiszpańskiego naprzód wydostał podarunki poselskie, potém się obraził o tytuł, i wyjechał z Madrytu — z podarunkami. — [12]) są to dwa listy Katarzyny do Keyzerlinga, 3 i 5 listopada, w Sborn. LI, 52,64 sq. — [13]) „poufnie“.

mocno na elektora negocyują. Wyraził i to poseł, że carowa żadnej exkluzyi nie czyni, tylko że Piasta chce mieć przyjacielem dla harmonii z Moskwą; przy tym żąda responsu na list Bironia... [1]).

9. X-bris... X Karol napiera się przybyć do Warszawy i sama [2]) na dwa tygodnie, ale ja cale niedozwalam z wielu przyczyn do scyssyi. *Fertur* [3]), że elektor chce porządnie Turków wzruszyć przeciw Moskwie, ale to jest projekt francuski, jako i innych wiele, ktorymi Francya chce zagmatwać rady nasze, kiedy ani Wideń ani Francya piniędzy nie mają po tej ostatniej wojnie generalnej. Z marszałkowej n k [4]) Wideń cale niekontent, jako rezydent cesarski powiada. Podskarbi w k żegnał mnie i obiecał mi wkrótce wyliczyć 50000 *in vim gratitudinis* [5]) od rzpltej.

10. X-bris. X kanclerz w l o pruski generał mówił ze mną. Marszałek n k żalił mi się na przykrą korrespondencyą z biskupem krakowskim; *retulit*, że x Ferdynand brunświcki miał katolikiem zostać i że sekretne miewa konferencye z królem pruskim; *supponunt*, że do korony odezwać się może. Toż samo *supponunt* o x-ciu de Würtemberg, ale ja do tąd żadnych listów z nikąd nie mam... Zewsząd zaś nam z kraju *referunt*, że panowie nasi mocno rekrutują.

17. X-bris. Obiad. Keyzerling doniósł mi przez x kanclerza mego [6]), że już ma w ręku zgodę carowy z królem pruskim i że wraz będą te potencye promować elekcyą, aby była jako najspokojniejsza...

21. X-bris... Kuryer dziś z Drezna o śmierci elektora saskiego [7]), który na ospę, w czterech dniach chorując, umarł, o czym i x Karol pisze do mnie. Ta nowina fermentacyą wielką uczyniła między cudzoziemcami i wielą naszych duchów. Był u mnie x kanclerz l i hetman p l; cała rozmowa o tej śmierci. Przybył x Repnin z żoną... *Notandum*, że wiele bajek w tym czasie biega, bo też i powietrze złe, to i humory bydź takie muszą. Ja zaś cierpliwością się rządzę.

1764. 2-da Jan... Mocny już odgłos o kandydacyi do korony stolnika l, lubo inni tłumaczą *favore* x-cia wdy ruskiego, a Kurlan-

---

[1]) Biron, od kwietnia 1763 r. osadzony z powrotem w Mitawie, domagał się rekognicyi. — [2]) Franciszka Krasińska, wydana za ks. Karola. — [3]) „słychać". — [4]) Amelii z Brühlów Mniszchowej. — [5]) „tytułem wdzięczności". Osobno przyznała była prymasowi uchwała senacka z d. 7 i 8 listop. na wydatki 150 tys. złp., (por. Vol. leg., VII, f. 105) które mu wypłacono ze skarbu za jego kwitami, d. d. 17 kwietnia i 6 lipca. — [6]) Młodziejowskiego. — [7]) † 17 grud.

dyę dla stolnika l. Generał Goltz [1]) przybył i powiedział słowa króla pruskiego: że jedziesz do Polski, donieś o tym, aby spokojna była elekcya *favore* zaleconego, boby z tąd pewną wojnę mieli Polacy, gdyby rozdwojeni...

6. Fama crescit, jakoby x brunświcki z królem pruskim nieustanną w rozmowach miał myśl do korony, ale ta wieść bez fundamentu [2]). Był dziś u mnie stolnik l, *en gala*, w licznej assystencyi...

9. Jan. Obiad wielki; nuncyusz, posłowie i familia byli u mnie. Poseł francuski powiedział mi, że król pruski nie pewnie z Moskwą trzyma. Z x wdą ruskim o pruskich sejmikach mówiliśmy, że trzeba zgodzić Czapskich z wdą pomorskim; i o tymże hetman z Drezna ma rezolucyą, aby on o sobie zapomniał, to będzie miał wszystkie pomocy. Bryl, gen. artyleryi, pisał do Keyzerlinga, że chce bydź posłem, ale odebrał respons, aby tego nie czynił, jeżeli nie chce się zgubić. X-na kurlandzka przybyła tu. Pułkownik Jakubowski doniósł mi o fermentacyi między familią z racyi, aby Prussak nie odmienił, aby Turczyn nie fomentował, aby hetman nie brózdził, i kłótnie pruskie, aby *non excrescunt in flammam* [3]). X wda ruski mówił mi, że wda kijowski 60 ułanów posłał do województw kujawskich.

10. Jan. Do tąd słaby jestem. Jednak obiad z gościami. Rozmowa z Zboińskim [4]) o pruskie kłótnie, aby środek do zgody znaleść; ale ten dependuje od familii, aby wdę pomorskiego przymusili. Dla tej racyi kazałem powtórną wydać expedycyę na sejmiki pruskie i one odesłać w ręce biskupa warmińskiego [5]). X Repnin był u mnie i wydał się sekretnie przedemną, że... mocno rekomenduje do korony stolnika l; odpowiedziałem, że nie mogę assekurować o tym, co dependuje od zgody i jedności Obojga Narodów i cale od wolnej elekcyi. List od hetmana względem gwardyi, aby ta wyszła pilnować magazyny [6])... Stolnik l był u mnie, abym hetmanowi wyraził mocno, że gwardya nie może osłabiać bespieczeństwa Warszawy i nie może wyniść; i pisałem. Wda podlaski i Jakubowski wieczór byli u mnie. Pierwszy *variat* [7]) w swoich myślach.

---

[1]) poseł saski w Berlinie. — [2]) do tych wieści zapewne dał początek pobyt dłuższy księcia następcy brunświckiego w Potsdamie w listopadzie, por. Bonin, w Zeitschr. f. pr. Gesch. XIV, 299. — [3]) „nie buchnęły płomieniem". — [4]) Ignacym, kasztelanem płockim. — [5]) Grabowskiego. — [6]) w Grudziądzu. — [7]) „odmienia się".

12. Rezydent francuski z JP Monet, konsulem francuskim, był u mnie i *literas* [1]) *credentiales* od króla francuskiego do mnie oddał mi M Consul; upewniają, jako i M Aloy, jakoby król pruski nie pewien był przyjaciel carowy... Aloy powiada, że królewicz Xawery pewny kandydat do korony i kassę saską wkrótce tu obiecuje, ale i pewien jest przyjaźni króla pruskiego królewicz z racyi, że się ma żenić z królewną pruską.

13. Obiad domowy. Rezydent wideński *spargit*, że w Petersburgu mocna partya promowuje jednego z xiążąt Czartoryjskich w bref stolnikowi l, i że Ogiński nic nie zrobił w intencyach swoich przez Ostena i tam doniósł Keyzerling, że z przyczyny *credentialium* z Widnia ten dwór sobie zamknie drogę *ad rempublicam* przez prymasa sobie przyjaznego [2]). Takie to tu teraz wieści roszczą sobie cesarscy i francuscy, których ja zawsze polityką zbywam i zdam się wszystkiemu wierzyć, ale nie dowierzać, bo do tąd żadnego fundamentu od dworów swoich nie zakładają...

14. Jan... NB. Miałem list od x Akkoramboniego z przestrogą do mnie *ex mente* eremity jednego z Włoch, *ac si ex revelatione desuper* [3]), abym skutki teraźniejszego bezkrólewia oddał protekcyi *Immaculatissimae Virginis et S. Michaelis Archangeli* [4]), aby było spokojne. Jakoż zaraz wydrukować kazałem proces na archidyecezyę moją i wszystkich biskupów o to samo obowiązałem. Wda lubelski [5]) i generał artyleryi l [6]) obligowali mnie, abym Keyzerlingowi dopomniał się wyjścia... z Pruss; jakoż uczyniłem to przez JX kanclerza mego, ale życzyłem im, aby zgodę promowali pierwej między Prussakami. *Spargitur*, że królewicz Xawery żenić się ma z królewną pruską.

15. Jan. Obiad. Rezydentowie od dworów, i z nimi rozgowor *de politicis*, ale z ostrożnością i flegmą. Z x Konarskim *de pluralitate* [7]) konkludowałem, ale zawsze *salva religione et alys* [8]). Dziś muzyka.

---

[1]) „listy“; por. u Farges'a II, 244 sq. — [2]) w kredencyałach Swieten'a tytułowany był prymas tylko: *venerabilis et dilectus reverendissimus*, co go tak ubodło, że z tego powodu z początku odmawiał przyjęcia listów wierzytelnych od Swietena. — [3]) „i jakby z natchnienia z góry“. — [4]) „Przeczystej Dziewicy i Archanioła Michała“. — [5]) Antoni Lubomirski. — [6]) Eustachy Potocki. — [7]) „o głosowaniu większością“. — [8]) „bez krzywdy dla religii i innych rzeczy“. W tym czasie otrzymał prymas następujące pismo anonimowe (rkp): *JO Miłościwy X D. Z lat podeszłych i ze słabości już mojej... miarkując, ...że już podobno tempus meae resolutionis instat, to co rozumiem JOOJWW biskupom in simplicitate cordis jako szlachcic polski prawowierny rzymski katolik, pod oczy Pańskie ważę się z miłości ku Bogu i ojczyźnie podrzucić. X Piar Konarski wydał książkę tollendo liberum veto ziemianina a tylko plura-*

16. Jan. Obiad wielki z nuncyuszem i familią xiążąt, i stolnik l. Już stwierdzone wiadomości, że król pruski z carową wraz Piasta zalecają do korony i wkrótce deklaracya ma bydź od tych dworów oddana. Wieczór muzyka i rozmowa z Jakubowskim pułkownikiem i M Aloy. Gabinet saski bardzo cicho radzi i siedzi, bo ludzi im brakuje. Śniegi znaczne.

17. Jan. Względem urodzenia dnia stolnika l, x Repnin dał bal za pozwoleniem moim. Hetman w k pisze mi, że dał ordynans, aby 300 ludzi z gwardyi wyszli do pilnowania magazynów pruskich; co wielce rozgniewało familią całą, ale i posłów..., którzy oświadczyli, że przez

---

litatem votorum utrzymując, którego zakonnika tych książek edycya wszystkim libertynom wolnego i rozwięzłego sumienia bardzo się podobała. Gdyż tego sobie dawno życzą do poniżenia stanu duchownego, do wyniszczenia ich z intrat, do ogołocenia Domów Bożych z argenteryi, do zniesienia dziesięcin, do wybicia się z pod jurysdykcyi duchownej, a naostatek do odstąpienia Boga i wiary Jego, czego by ci libertynowie wszystkiego per pluralitatem votorum zapewne dokazali. Na pierwszym bowiem sejmie uchwaliliby najprzód aukcyą wojska, et per pluralitatem votorum ta by była udzielona z intrat dóbr duchowieństwa. Na drugim sejmie proponowaliby, że duchowni wielkie mają intraty et per pluralitatem votorum zgodziliby się na to, aby dobra duchownym poodbierać portionem tenuem pro commodo zostawiwszy. Dalej per consequens przyszliby podobno i do tego — bo już negują biskupom na sejmikach locum standi — że biskupi w senacie, deputaci duchowni w trybunale niepotrzebni; albowiem, jak już mówią teraz, że tylko fakcye czynią, i na to by zapewne mieli pluralitatem votorum. Słowem mówiąc, co widziemy w Anglii i Francyi Bogu, wierze, duchownym przeciwnego, to by się wszystko per pluralitatem votorum i u nas w Polszcze działo, jeżeli JOOJWW pasterze i biskupi nie zabieżycie zawczasu. Gorszyć się trzeba wszystkim poczciwym w Polszcze katolikom z tych książek x-a Konarskiego, w których odbiera wolność królowi i monarchom polskim, odbiera wolność senatowi, i tylko parlament jakiś niegodziwy formuje z izby poselskiej, aby per pluralitatem votorum ona wszystko decydowała jako we Francyi, chociażby też i najgodniejszego prałata na wygnanie posłać, tak jako się stało z świętym arcybiskupem teraz paryskim (Beaumont'em). *Narzeka ten republikant Piar na nieporządek w Polszcze, że się sejmy zrywają; a po staremu w tym nieporządku rzpltej ubogi konwent warszawski przyszedł do porządku, nad zakonne ubóstwo wspaniałego. Co mu to szkodzi, że w Polszcze nieporządek po staremu, w tym nieporządku i niby złym rządzie rzpltej chwała Boska po całej Polszcze nie ustaje, król spokojnie panuje, panowie intraty wielkie mają i swobodnie ich zażywają, my szlachta mamy swój kawałek chleba i dla siebie i dla udzielenia ubogim zakonnikom. Od x-a Konarskiego nic nie bierzemy, a on nam szlachcie bierze wolność, kiedy nam bierze liberum veto, duchownym bierze powinny stopień dostojeństw, Bogu bierze chwałę, a po tym kto wie, jeżeli per pluralitatem votorum nie odbierze i religii wiary. To nam często wszystkim szlachcie dziwno, żeście go sobie JOOJWW arcybiskupi, biskupi wzięli jak za pedagoga jakiego; a gdy was JOOJWW panowie Bóg wyniósł na tak wielki godności stopień, więcej wam udzielił rozumu do rządzenia kościołem i rzpltą, jak wszystkim piarom, którzy byli, są i będą do decyzyi dalszej Boskiej... Co wszystko sumiennemu rozumieniu pasterzom i dobrodziejom zostawiwszy, piszę się JO Pana, Pasterza i Dobrodzieja najniższym sługą i posłuszną owieczką Chrystusowej owczarni rzymsko-katolickiej.*

to samo... już z Prus nie wynidą. A toż pierwsza konsekwencya z niegodziwych rad przy hetmanie.

18. Jan. Z wdą podlaskim i innymi rozmowa około okoliczności czasu, którzy wszyscy nie widzą się przeczyć Piastowi zaleconemu od dwóch samsiadów mocnych. W pole wyjeżdżałem dla mocyi. Rezydent wideński [1]) o myślach spokojnych dworu swego doniósł mi i że dwór dał mi tytuł *Illustrissimi et Reverendissimi*, którego nigdy prymasowi nie dawał, ani nawet kardynałowi Radziejowskiemu; z tym tytułem poseł Ossoliński powraca. Generał [2]) Poniatowski brat stolnika l, z Widnia przybył i *retulit* mi, że dwór ten cale nie chce sprzeciwiać się wolnej elekcyi, ani kogo promować, tylko zaleca królewicza Xawerego do korony, jeżeliby cudzoziemiec miał być obrany.

*) *27. Jan.* Wyjechałem z biskupem kujawskim do Łomien na trzy dni dla odmiany powietrza, bo dni nieustannie pluskliwe *in X-bri et in Januario;* był z nami JX kanclerz mój i JX Krasiński i innych wielu domowych. Tam odebrałem expedycyą od JP Ossolińskiego, ablegata do Widnia i responsa od cesarza i cesarzowej [3]), jako królowy węgierskiej z przydanym mi tytułem *illustrissimi*, którego i kardynałom nie dają; oni dawnym prymasom dawali tylko *reverendissimi.*

de 30 Jan. Obiad wielki dałem nuncyuszowi, posłom wielkim, familii całej, senatorom i urzędnikom cudzoziemskim. Poseł francuski [4]) mówił ze mną, nie ma nic od dworu swego; względem zaś limity sejmu odpowiedziałem mu, że to dependuje *a pluralitate* sejmujących. M Aloy powiedział mi, że i drezdeński dwór życzy sobie tej limity, co

---

[1]) van Swieten. — [2]) austryacki, Jędrzéj. — *) Wsuwamy tu ciekawe pismo do prymasa od szlachty podolskiéj i bracławskiéj otrzymane w kancelaryi prymasowskiéj 22 stycznia (rkp): *JO Panie a naszej ojczyzny sprawiedliwy protektorze! Już to sejmiki i sejm są to rzeczy propter velle sui każdego pana, nie szlachta ich psują, ale prywaty pańskie złotem napychają... Teraz to sam Bóg poruczył Wielkomożności JWP, abyś te abusus kooperacyą swoją przez nowo następujące prawo ułatwić raczył, zaś wszystkich pretendentów do korony uspokoił, iż wszystkich by trzeba stopić w jeden cetnar. My szlachta czekamy rozkazów, na koń wsieść gotowi z należytą bronią. Prosiemy o to, aby żaden pan kozaków, chłopów nie hajdamaczył, bo to suo tempore będzie nie można zapobieżeć homontom* (homonom?); *jest nas dość chudych pachołków, będziemy służyć, jak sami panowie zechcą. Szlachty nowej niekreować, bo i tak nas jest dosyć chudych pachołków; nam wsparcie upadłej familii dać zbawienna rzecz jest, którą pogańscy Niemcy sponiewierali; to Ci Bóg da z sobą królowanie a my o to Go będziemy prosić, jako JOPana podnóżkowie, Szlachta uboga i mizerna województwa podolskiego i bracławskiego.* — [3]) Franciszka I i Maryi-Teresy. — [4]) Paulmy d'Argenson.

przyjaciele na sejmikach popierać mają, których spodziewa się trzech części. W Dreznie także miała zajść deklaracya maryażu x-cia Karola z Krasińską, i przeto wojewodzina lubelska [1]) dała w Ujazdowie kaffe z balem, gdzie publicznie już wyjechała xna Karolowa ekwipażem saskim.

2-da Febr. Nabożeństwo w kollegium [2]); obiad wielki. Wda bełzki [3]) poróżnił się z wdą kijowskim o Bryla, że mu nie chciał dozwolić być posłem z bełzkiego. NB. Deszcze nie ustanne. Rezydent cesarski doniósł o przybyciu na jutro posła w cesarskiego [4]), i że carowa przywróciła do łaski Czerniszowa [5]). Biliard, muzyka dla rozrywki.

11. Febr. Obiad z biskupem kujawskim i generałem Gadomskim, podkomorzym sochaczewskim, który wrócił z legacyi berlińskiej. List do mnie od króla pruskiego z tytułem *celsissimi principis primatis*, którego nigdy nie dawano. Równe także miałem zawsze tytuły *celsissimi* i od carowy. Tenże generał Gadomski wynurzył mi słowa króla pruskiego, że nigdy nie myślał źle, ani o awantażach przeciw rzpltej, że życzy spokojnej elekcyi, Piasta młodego i sposobniejszego do rządu jak cudzoziemca, nie radzi żadnej scyssyi od Saxonii i upewnia, że takowej musiałby sprzeciwić się całymi siłami; ktoby chciał tamować... dobre dla Polski myśli, musiałby posiłkami swymi one uskromić, ani dopuścić żadnej bitwy; zna Polaków, wie o wszystkich ich umysłach, będzie wiedział, jak ich impety poniżyć, aby nie wzruszali spokojności i Piasta obrali podług rady... młodego i rozumnego, żeby był szczęściem królestwa do tąd przez Sasów nie rządnego. Obligowałem, aby JP Gadomski oddał mi *in scripto* [6]) takową relacyę poselstwa swego... Generałowa Poniatowska [7]) przybyła z Widnia, której cesarz przy pożegnaniu wyraził *qu'elle reviendra princesse du sang.*

13 Febr. Hetman mi odpisał [8]), że wojska żadnego nie ruszył z ni kąd i mocno żali się na wymyślne wiadomości. W Środzie sejmiki dysceptują w podwójnych posłach i cale jedności są przeciwne [9]).

---

[1]) Zofia z Krasińskich Lubomirska, ciotka księżny Karolowéj. — [2]) św. Jana. — [3]) Ignacy Cetner. — [4]) Mercy'ego d'Argenteau. — [5]) Zachara, prezydenta kolegium wojny. — [6]) „na piśmie". — [7]) Teresa z Kińskich. — [8]) w odpowiedzi na list prymasa z d. 4 lutego, gdzie mu Łubieński, z polecenia familii, czynił wyrzuty z powodu jego zbrojenia się; por. też pismo Branickiego do prymasa, u Matuszewicza, IV, 176 sq. — [9]) sejmiki przedkonwokacyjne odbyły się 6—8 lutego. W Środzie doszło do starcia między Teodorem Czartoryskim, biskupem poznańskim, a wojewodą poznańskim, Jabłonowskim, o pierwszeństwo przy zagajeniu, skutkiem czego sejmik rozdwojony, obrani z obu stron podwójni posłowie na konwokacyę oraz podwójni sędziowie kapturowi.

Wda kijowski tu *speratur* [1]) prędko. Legacya generała Gadomskiego znacznie w oczy wszystkim bije.

de 20 Febr. Obiad wielki dla posłów wielkich, senatorów i ministrów; z posłem francuskim rozmowa mocna względem imaginacyi jego przeciw JX Młodziejowskiemu, kanclerzowi mojemu, z racyi, że nie dozwala drukować w gazetach wymyślnych od nich wiadomości [2]). Pułkownik Jakubowski wrócił tu; z nim *de politicis* zabawka.

22. Poseł cesarski był wieczór o 7. u mnie, upewnił o Widniu, Hiszpanii i Francyi *favore* Drezna, i że... Prussak odmieni myśli, i że wkrótce mocne deklaracye wydadzą *in publicum* [3]); jednym słowem, wszystko zostawują w nadziei, łudzą i z tąd rozdwajają duchy w nas; tak, jako tenże sam poseł złudził hetmana i mnie karesuje, ale ja wierzę jemu, ale nie dowierzam okolicznościom, rezerwuję wszystko do sejmu rzpltej i rad uniwersalnych.

27. Obiad wielki z nuncyuszem, posłami cudzoziemskimi i z familią x-żąt i Poniatowskich. Dziś x wda ruski [4]) zaczął kaptury sądzić. Rozmowa z x kanclerzem l o posłach inflandzkich i o sejmikach rozdwojonych. Poseł cesarski doniósł mi:... *3.* od Porty będzie prędka rezolucya wydania deklaracyi posłowi rossyjskiemu i pruskiemu [5]). *4.* że stolnik l wysłał kuryera do Peterburga o wiadomość pewną tej odmiany przyszłej. *5-to* że fermentacya ma bydź między familią, jako znaki pokazują się z miny stolnika l. O podobnych rzeczach i M Aloy doniósł mi, ale te wszystkie wieści z zepsutej aury i z jednej kuźnicy. Francya nie determinuje się bez Hiszpanii.

5. Marty. Nuncyusz i posłowie wielcy i wszyscy znaczni panowie u mnie na obiedzie. Cesarski poseł o Peterburgu zawsze jedno śpiewa i wruży, i wielce uwodzi duchy. Posłowie bracławscy przybyli, ale nie daję audyencyi, równie jako i wielkopolskim i innym, bo rozdwojone ich sejmiki. Skarga zewsząd mnoży się, że wojskowi ludzie rozdwoili sejmiki i sądom kapturowym assystują z racyi partyi hetmańskiej, która sobie robi na sejm; a tym czasem hetman nie uważa, że przeciw prawu wojskowych wzrusza, o co mocne listy do niego pisałem po wiele razy. Z Litwy wiadomość, że x wda wileński naszedł biskupa w Wilnie i nagadał mu wiele niegodziwości [6]), że przez moc

---

[1]) „spodziewany“.—[2]) Paulmy chciał ogłosić w pismach warszawskich doniesienia, otrzymane od Vergennes'a, posła francuskiego w Konstantynopolu, pomyślniej brzmiące dla kandydatury saskiéj. — [3]) „publicznie“. — [4]) obrany 6 lut. sędzią kapturowym w Warszawie.—[5]) Obreskowowi i Rexin'owi. — [6]) napaści Radziwiłła na Massalskiego, nocą 28 lut., ob. opis u Matuszewicza, IV, 199 sq.: tu kładziemy

sądy kapturowe ustanowił w bref sejmikowi, że posłów na sejm sam nominował, że naszedł kamienicę kasztelanowej mścisławskiej [1]), okna powystrzelał, że rozpędził *nobilitatem* [2]), obwach naszedł *et multa* [3]) *alia*.

7. *Marty*. Po popielcu byłem *invisibilis* [4]). Wieczór był u mnie wda kijowski z kasztelanem [5]) Potockim; między innymi rozmo-

---

z rkp. list w téj materyi Massalskiego do prymasa, 29 lutego: *Jako powagę powołania i urzędu mego utrzymywać, tak gdy się co z ujmą jej stanie publicznie się żalić, JOWX-cy Mi Dwi donieść mam za obowiązek i przyzwoitą powinność. Niesłychanym nigdzie przykładem stało się bardzo żwawe i nieznośne nastąpienie na dostojeństwo moje. Dnia albowiem wczorajszego JOXJM wda wileński, w zebranej kompanii do wszelkich zbrodni przyzwyczajonej i w większej liczbie prawem już przekonanej, z bronią i milicyą swoją do akcyi gotową, kiedy uczynione w tych dniach do przyjaźni między nami kroki, a bardziéj jeszcze publiczne bezpieczeństwo, tylą w osobie mojej przywilejami powiększone, niczego się mi bać nie kazały, już nocną porą na mój pałac równie niespodziewanie, jako gwałtownie najechał, ponieważ ten hazard zaczął od przymuszenia szyldwacha z zmierzonym do niego pistoletem, aby zamkniętą w spóźnionym czasie otworzył bramę, a tak wjechawszy na środek dziedzińca pałacu mego i uszykowawszy w nim i przy dwóch wieżnych bramach żołnierzy swoich, z tąż kompanią na wszystko resolwowaną wszedł do moich pokojów, na których—iż opuszczę podlej duszy w mowie okazane sentymenta—oświadczył się, że mnie Stanisławem a siebie uczyni Bolesławem, akkomodował przyzwoite temu zdaniu miny, prałatom, przy mnie będącym, sromotnym groził biciem, i nadto za występki exkomuniką skazanych a z sobą przyprowadzonych mnie ukazując, z tej duchownej kary tak szydził zuchwale, iż się tam wiele Rzymowi, więcej Ś. Wierze dostało. Z tego krótkiego rzeczy namknienia możesz się JOWX-ca MDobr domyślić, w jakim wczora zostawałem stanie i w jakim dziś jestem, gdy życia mego bronić tam muszę, gdzie mi kościół i ojczyzna największą dala władzę. Jakoż gdy to piszę, pałac mój przyjaciołami i żołnierzami komputowemi i nadwornemi dniem i nocą mnie pilnującemi jest napełniony, i ustawicznie armaty powtórnego strzegą najazdu, do którego już pokazał był ochotę i porywczość, lecz wstrzymany oświadczeniem ode mnie przez usta IMPa kanclerza Nowogrodzkiego* (Chreptowicza) *hazardem bronienia się do ostatka. Zadziwiony nad tak dzikim x-cia Jmi wdy postępkiem, racz WXca M Dobr dać mi radę, co mam czynić? i łaskawą w czynieniu pomoc. Niekładę żadnych nad tym ekscesem uwag; zgwałcone Boskie i ludzkie prawa mówią więcej nad to wszystko, coby się wyrazić mogło. Powszechny zatym wiary i całej ojczyzny ze mną interess oddaję zdaniu JOWXcejMi Dja, którego prymacyalne dostojeństwo obiema temi najdroższemi rzeczmi najpierwszym uczyniło stróżem, a to tym chętniej, im mi bardziej gorliwość Jego w takich okolicznościach jest znajoma. W tęsknym na rezolucyą JOWXej Mi Dja oczekiwaniu mam honor z należytym pozostawać poszanowaniem. P. S. Tego najazdu inszej nie znajduję przyczyny, jako na dniu onegdajszym dyskretne i sekretne między nami dwoma upomnienie xiążęcia o wszeteczne życie, którego gwałty w tej materyi pospolite, i wiele, i publicznych, dawnych i świeżych, tu nawet stałych najduje się kryminałów.* — Z powodu téj awantury pisał Łubieński 15 marca do Massalskiego z ubolewaniem, — ale ostrożnie; do Radziwiłła z wymówkami, — ale miękko.

[1]) Tyszkiewiczowéj. — [2]) „szlachtę“. — [3]) „wiele“. — [4]) „niewidzialny“. — [5]) słońskim, Felicyanem.

wami wda mi doniósł, że Lubomirski, podstoli k ma mi się ogłosić z konkurrencyą do korony.

8. Wda kijowski z x podstolim k byli u mnie, i podstoli otworzył myśl swoję do kandydacyi przy wielu bardzo gościach, i zalecony mocno od wdy kijowskiego. Odpowiedziałem, że doniosę *mentem* jego rzpltej, kiedy czas do tego otworzy się. O tym już i hetman wie [1]). Familia xiążąt zaś zadziwiona nad tym, jako x kanclerz otworzył mi się z tym; ale i kuryer o tym wyprawiony do Peterburga. Familia mnie obliguje, abym listy rozpisał do województw pruskich, aby *numerum adaequatum* [2]) posłów obrali na sejm... Poseł cesarski był u mnie i czytał mi kopię memoryału podanego od dworu wideńskiego do Porty względem elekcyi do korony polskiej, i że ma wkrótce wyniść deklaracya od Porty innym sensem, nie rossyjskim ani pruskim; doniósł mi *varia* [3]), i że Berlin nie jest cale tej myśli, co Peterburg, że Keyzerling nie pewnie donosi rzeczy od dworu swego. Wszystkie te są wiadomości francuskie na powietrzu, wierzyć im muszę, ale nie wierzę.

18. Po kazaniu obiad dałem ludny wedle zwyczaju. X kanclerz w l *retulit* mi, że król pruski pisał do stolnika l [4]), chwaląc jego talenta do korony i obiecując mu pomoc. *Item* [5]), że traktat carowy z Prussakiem w krótce będzie ogłoszony. Z Litwy różne kłótnie mi objaśnił. W pole wyjechałem. M Monet, consul francuski, był u mnie, wielce nieukontentowany z posła francuskiego. Potem muzyka wieczór dla rozrywki...

21. Stolnik l pokazał mi list od króla pruskiego, którym go upewnia i ubezpiecza do korony zdolnego. X kanclerz w l *retulit* mi, że hetman chce sejm rozdwoić, że chce wysłać do Berlina, że wojsko sprowadza na sejm, ...że nikt nie aprenduje groźb hetmańskich, a wszystko musi się dobrze stać i reforma w rządach musi nastąpić.

23. Słaby byłem *ex ardore interno* [6]) i *invisibilis;* tylko JP Ogrodzki [7]) był u mnie, liczyliśmy posłów przyjaciół familii pewnych 97. a innych 49., prócz rozdwojonych i pruskich, ale o tych dopiero później można mówić i decydować.

---

[1]) Branicki w listach do wdy kijowskiego i podstolego k, d. d. 4 marca, z Białegostoku, upewnia nowego kandydata o *przychylnych swych sentymentach.* — [2]) „liczbę stosowną". Ilość mandatów pruskich nie była prawnie ograniczoną; na generał, wyznaczony na 27 marca, zbierano się ze wszystkich stron kraju zjechać tak tłumnie, że przepowiadano obiór do trzystu posłów, mający przeważyć większość, zyskaną przez familię na sejmikach lutowych w Koronie i na Litwie. — [3]) „rozmaitości". — [4]) ten list ob. u Theine'a, IV[2], f. 27. — [5]) „również". — [6]) „dla gorączki wewnętrznéj". — [7]) starosta lubczański.

1-ma Aprilis. Po kazaniu obiad wielki u mnie. Zaćmienie trzech części słońca było. Rozmowa z różnymi, muzyka i Jakubowski był wieczór u mnie [1]).

13. Aprilis. Byłem rano *invisibilis.* Po południu zaś był u mnie hetman w k i z nim około 12 senatorów, urzędników k, wojskowych, i innych wielu. JX biskup kamieniecki [2]) imieniem wszystkich upraszał mnie, aby... ja wydałem uniwersały do województw z deklaracyą sejmu *convocationis* odłożenia na inny dalszy czas; *2-do* abym wydał wici na pospolite ruszenie; *3-tio* abym listy rozpisał do mocarstw, justyfikujące proceder ten rzpltej. Odpowiedziałem krótko na takowe punkta: *ad 1-mum*, że mi rzplta pozwoliła prawem po śmierci królów konwokacyi sejm składać, ale nie dozwoliła go na inny czas odkładać, ile kiedy już akkuratnie senatorowie i posłowie zjeżdżają się na tenże sejm, przeto musiemy czekać rezolucyi na to stanów; *ad 2-dum* też same stany resolwować mnie będą, czyli wici potrzebne, albo nie; *3-tio*, nie trzeba przez listy żalić się przed monarchami, ale tu są posłowie ich wielcy, można memoryały podać uskarżające się..., do czego wiele pomoże perswazya, byleśmy my sami nie dawali przyczyny do miecza, do którego pierwsi byliśmy porwać się przeciw prawu, dawszy assystencye wojskowe na sejmiki. *Interim* zostawiłem to jutrzejszej konferencyi, jeżeli będzie potrzebna, z posłami. Na to była mocna kontradykcya, i biskup kamieniecki porwał się do podpisywania listów już przygotowanych do monarchów. *Tandem* wda podlaski porwał się także ze stołka i powiedział mu, że on ostatni, a nie pierwszy do podpisu; wda zaś kijowski burknął przeciw wdzie podlaskiemu, że go to *non afficit* [3]), ale ten przykro odburknął, i rozeszła się cała owa konferencya do własnych domów.

15. Wda nowogrodzki [4]) od hetmana do mnie przyszedł z refleksyami *super* [5]) dezyderys partyi, ale do sejmu odłożyłem. Po tym był wda podlaski i innych wielu z doniesieniem, że senatorowie z hetmanem listy do monarchów podpisali, i że manifest przeciw mnie gotują, ale go generał Mokronowski mocnymi konwikcyami odradził i cale oddalił. Ja moją prostą drogą idę i myślę deklaracyą zupełną i szczerą objaśnić *publicum* [6]). Inni po tym byli u mnie.

21. Byłem u Reformatów na nabożeństwie. Przez cały dziś dzień odbierałem powinszowania *alleluja* zewsząd. Z x-ciem wdą ru-

---

[1]) tyle wszystkiego, co zapisuje prymas na świeżą wiadomość o zerwaniu generału w Grudziądzu. — [2]) Krasiński. — [3]) „nie obchodzi". — [4]) Jabłonowski. — [5]) „względem". — [6]) ob. sporządzony przez Młodziejowskiego komunikat o zajściu z dnia 13 kwietnia w „Kuryerze warszawskim" n-r 31 z 18 kwietnia.

skim mówiłem, czemu by stolnik l nie miał bydź u hetmana szwagra, ale miał racye, że bydź nie może. Stolnik l zawsze dał mi mocne racye, że bydź nie może, najczęściej z racyi jakiejsiś antypatyi naturalnej hetmana przeciw stolnikowi. X kanclerz w l już mi o konfederacyi litewskiej [1]) stwierdził, i że ta musi skutek dobry zrobić, co daj Boże! Resurrekcya dziś w kollegiacie była wieczór o dziewiątej godzinie przy biciu z armat z artylleryi k 100 razy.

3 May. Pokoje u mnie liczne. Dałem audyencyę posłom z kapturów sandomirskich. Obiad wielki był. Hetman w k był na pokojach, z nim mocno rozmawialiśmy o przeciwne prawu ordynanse, wydane do wojska bez rady senatu ani zniesienia się ze mną; wyłożyłem mu wojny konsekwencye z tąd, słabość sił, niegodziwość w bref prawu; wyłuszczyłem sejm już bliski, bez którego *stante hoc interregno* [2]) nie wolno nic czynić i ten sejm, jeżeli będzie zgodny, prędzej nas od wojny... wybawi, jak tak szczupłe wojsko; wymówiłem mu na początkach pozwolone przeciw prawu nowe rekruty *in regno*, którym on był powinien zabiec, i wiele innych przyczyn wyexplikowałem mu. Ale z tego wszystkiego sam upór opanował go, i cale chce sejm zepsuć, rozdzieliwszy go, i z tej najwięcej przyczyny biskup krakowski chce wraz ze mną *sentire* [3]) i wielu senatorów i posłów odstąpią hetmana. Ja jeszcze czynię, co mogę, traktuję z hetmanem przez wdów inowrocławskiego [4]) i podlaskiego. Hetman p k przybył, był u mnie, ale miarkuję, że partyzant mocny hetmański. Hetman w l był dziś u mnie; nieodstępnym mi obiecał się wraz z kolegą swoim [5]). X wda ruski nie chcenic z hetmanem traktować, widząc go wielce upornego, ani dowierzając słowu jego często odmiennemu; a wszystko to pochodzi z parcyalnych przyczyn, bo hetmanowi chce się cale korony, aby nie długo stary żyjący mógł prędko elektorowi saskiemu młodemu [6]) do tejże korony ścieżkę otworzyć; *et eo fine* i piniędzy z Saxonii spodziewa się, i z Widnia pomocy, którą mu obiecuje, bardziej łudzi, poseł cesarski.

6. May. Po kazaniu zastałem pokoje napełnione senatem, posłami i cudzoziemskimi ministrami. Audyencye dałem trzy posłom ruskim, halickim i płockim. Zjechali się wszyscy hetmani do mnie, i cała familia, i ledwie nie cały senat i posłowie, bo na pokojach taki ścisk był a najbardziej na dziedzińcu i w ulicach, że ledwie poseł pruski [7]) wcisnął się z karetą do pałacu a sam na pokoje. I ledwiem

---

[1]) akt konfederacki, 16 kwiet., w Vol. leg. VII, f. 113 sq. — [2]) „w czasie tego bezkrólewia". — [3]) „trzymać". — [4]) Andrzeja Zamoyskiego. — [5]) h p l Sapiehą.— [6]) małoletniemu Fryderykowi Augustowi, późniejszemu ks. warszawskiemu.— [7]) Schönaich - Carolath.

w tym ścisku mógł przejść na przeciw niemu i wprowadzić do pokoju pobocznego, gdzie cały senat był; uczynił do mnie krótki kompliment i list mi od króla pruskiego oddał *cum titulo celsissimi*. Jam odpowiedział i prezentowałem mu hetmanów i senatorów. Dałem mu obiad wielki na 120 osób. Po obiedzie znowu zjazd wielki u mnie i rozmowy o sejmu spokojność, aby *amovere* zatrudnienia. Hetman w k miał do tej konferencyi przybyć z swymi senatorami, ale cale wymówił się, że zgody żadnej nie chce; jakoż i wczoraj obojętną tylko zgodę uczynił x-ciu wdzie ruskiemu u pisarzowej Ogińskiej [1]), a to z przyczyny, że wda kijowski jeszcze nie był powrócił z dóbr swoich. Wieczorem generał Mokronowski był u mnie i doniósł *ex mente* hetmana, że manifest hetman już podpisał i z nim biskup kamieniecki z senatorami 20. i z posłami ich partyi podwójnych [2]), więcej mi wyjawił, że to rozłączenie tylko bydź ma cywilne, lubo *sub armis*. Że posłowie wszyscy, którzy się podpisali na manifest, nie pójdą do izby poselskiej, tylko dwóch dla zatrzymania sejmu z powodu zaszłego manifestu. Item, jeżeli marszałek starej laski [3]) umknie się, żeby to bez tumultu mogło bydź, wszak inny *ex turno* [4]) może laskę podnieść. Item, aby po podniesionej lasce zalimitować zaraz sejm *in ordine* do konfederacyi na Wtorek, a to, aby dać czas manifestantom do wyjazdu, aby *ante omnia* [5]) deklamacye i tumulty odwrócić przeciw partyzantom. Item, że hetman już ordynanse podpisał, aby wojsko k zemknęło się od Warszawy dla uniknienia zaczepek. Co jeżeli tak się uda, manifestanci w krótce przystąpią za medyacyą króla pruskiego. Dodał i to, że podczaszy koronny [6]) i halicki [7]) zostaną w izbie jako przyjaciele manifestantów, aby odwracali przeciwności wszelkie naprzeciw hetmańskim.

7. *May*. Jechałem do kollegiaty wraz z biskupem krakowskim, kujawskim i płockim [8]) w wielkiej assystencyi karet i konnych, z krzyżem i laską. Tam wotywa była *de spiritu S.* [9]) i kazanie mia piękne x Szaniawski, referendarz mój. Po wotywie poszliśmy gankami do izby senatorskiej, ale z wielkim naciskiem i wszędzie otoczeni wojskowymi mundurami dla ubezpieczenia się od zdrady. W senacie usiadszy, marszałek w k dał mi głos i przy uciszeniu się zagaiłem sejm i zdałem *activitatem* [10]) posłom do izby poselskiej, do kąd straszny nacisk uczynił się. Ale izba była zamknięta i dopiero dla posłów otworzona. Jam odjechał z biskupami do pałacu mego i z wielą se-

---

[1]) kanclerzanki l. — [2]) czyt. podwójnymi. — [3]) Adam Małachowski. — [4]) „z wyboru". — [5]) „przedewszystkiém". — [6]) Feliks Czacki, poseł lubelski. — [7]) Mateusz Bąkowski. — [8]) Hieronimem Szeptyckim. — [9]) „Ducha św.". — [10]) „czynność".

natorami, na obiad wielki, który dziś dałem *favore* dnia anniwersacyjnego konsekracyi mojej 7. *May* na arcybiskupstwo lwowskie. To prawda, że z zamku powracając, wszędzie i zamek i ulice były mocno ubezpieczone wojskowymi dla ubezpieczenia publicznego i dla odemknienia wszelkiej zdrady. Posłowie cudzoziemscy i familie były w pałacach uarmowane.

12. May. Po audyencyi posłów oświecimskich i po rannym obiedzie do senatu pojechałem, gdzie sessya trwała od pierwszej aż do dziewiątej w noc. *Per turnum* głosy były na materyi odebrania komendy hetmanowi. W senacie 30 senatorów było przeciw 6., a w rycerstwie 128 przeciw trzema. *Turnus* ten trwał 8. godzin z racyi komplementów do mnie czynionych; hetmanom obiema [1]) komenda odebrana a x-ciu wdzie ruskiemu oddana i zaraz po przeczytanym projekcie do konstytucyi x wda ruski przysiągł przedemną... Tej spokojności był autorem Keyzerling, która inaczej nie udałaby się była...

27... Wiadomość publiczna od ministrów rossyjskich [2]) i pruskiego od Porty: że Porta cale nie chce mieszać się do elekcyi polskiej i że m Vergennes, minister francuski, przestrzeżony jest także od Porty, aby więcej ich o to nie tentował. Co że weszło w gazety polskie [3]), poseł francuski o to nieukontentowanie pokazał i chciał na to odpisać, ale nie dozwoliłem gazet tym gmatwać, chyba żeby miał list oryginalny od Porty choćby też i przeciwny, może go publikować. Ale listu nie miał i nie pokazał.

1. Junij. Po samym obiedzie o 11 godzinie na osób 60, sessya od 1. do wpuł do 7. Projekt skarbowy podpisałem. Inne, w skarbowej komissyi czytane, do jutra odłożone, bo izba cała w rozgoworach tylko zabawna, o co zelowałem, prosiłem, i tylko kraść czas musiałem i po tym solwować sessyą w tychże materyach skarbu...

3. Junij... Dzisiajszej nocy widziałem stolnika l króla obranego, do koronacyi przezemnie prowadzonego, jakoby w kościele przed wielki ołtarz...

7 Junij. Zjazd u mnie znaczny rano, i z senatorów i posłów. Był i x wda ruski względem wyprawy do Porty [4]). W tym znacznym konkursie przyjechał poseł francuski z rezydentem francuskim i zaraz publicznie oświadczył się listem woli swego króla, że jest rewokowany, dodawszy, że z przyczyny rozdzielonej rzpltej. I gdym ja mu od-

---

[1]) Janowi Branickiemu i Wacławowi Rzewuskiemu. — [2]) Obreskowa i Lewaszowa. — [3]) ob. „Kuryer warszawski" n-r 42 z 26 maja. — [4]) pism prymasa do wielkiego wezyra d. d. 2 czerwca o odwołaniu Stankiewicza i 22 czerwca o odebraniu Branickiemu buławy.

powiedział, że teraz aktualnie jest *congregata* [1]) *respublica* podczas teraźniejszego sejmu, a x wda ruski przydał, że dwór francuski był źle informowany od ministra swego, poseł odpowiedział, że takowej rzpltej on nie może uznać. Jam na to naturalnie odpowiedział, że w tej cyrkumstancyi m marquis Pomiay [2]) nie ma tu nic do czynienia, i że ani ja ani rzplita nie uznaje go za posła, ale tylko za kawalera, i tak wychodzącemu a mocno zmieszanemu powiedziałem: *adieu, m le marquis;* on też odpowiedział: *adieu, m l'archevêque;* i już więcej honorów nie kazałem mu czynić na obwachu.

26. Junij..... X kanclerz w l po tym przybył, z nim rozmowa o powrocie cześnika l [3]) z Peterburga, o carowy przychylnej elekcyi *favore* stolnika... X kanclerz *retulit* mi, że m Mercy, poseł cesarski, prosił familii... aby rzplta królewiczom wyznaczyła jakowe starostwa, osobliwie x-iu Karolowi za Kurlandyę.

3. July... Listy od Porty upewniają, że wcyzyr [4]) ministrom rossyjskiemu i pruskiemu deklarował, że chce, aby Polak był królem obrany i gani hetmanowi i pisze, że za nierozumnych uznaje tych Polaków, którzy chcą cudzoziemca królem.

5. July. W Woli jadłem obiad z słabym Keyzerlingiem i z innymi, bo inni wszyscy jedli w Willanowie. Poseł Keyzerling ma bydź u mnie z posłem pruskim i familią z zaleceniem publicznym kandydata do thronu, ale aż po sejmikach *relationum* [5]). Wieczór przez JX kanclerza mego donieść kazałem p. Keyzerlingowi nie które uwagi względem kandydacyi.

9. July. Kazałem spieszyć się z wydrukowaniem konstytucyi [6]), bo zewsząd duchy przeciwne głoszą, jakoby prawa miały być cale przeciwne wolności. Z Widnia mam listy [7]), że tam kontenci są z czynów moich. Poseł [8]) tylko malkontent i wiatry puszcza o wyjeździe. NB. Otrzymałem list od Chlebowskiej, kasztelanowej kaliskiej wdowy, proszący mnie o komissyą uznania cudu osobliwego. A to obraz na kopersztyku Matki Boskiej i S Michała, z wilgoci przesuszany na płocie u jednego obywatela, wzleciał na powietrze i tak pułtory mile leciał na powietrzu, i spuścił się w Turskach blisko kościoła, na piasku; wzięty i zaniesiony do tegoż kościołka, tam wiele łask czyni ludziom offiarującym się. Ten cud stał się w Sobotę przed świąteczną; i zaraz kazałem komissyą wyznaczyć *ad verificandum...* [9]). Generał Sztofel... [10]) wszedł w 10000... w Ukrainę ku Rusi.

---

[1]) „zgromadzona". — [2]) czyt. Paulmy. — [3]) Gerwazego-Ludwika Oskierki. — [4]) Mustafa-pasza. — [5]) „relacyjnych". — [6]) sejmu konwokacyjnego. — [7]) od siostrzenicy prymasa, hr Salmour, z domu Łubieńskiej, ochmistrzyni dworu arcyksiążęcego. — [8]) Mercy. — [9]) „dla sprawdzenia". — [10]) generał-porucznik Chrystofor v. Sztofeln.

14. July. Francuzi kuryera odebrali, aby z tąd wszyscy wyjeżdżali z rezydentem Hennin do Widnia. Poseł wiedeński i rezydent także gotują się do wyjazdu z tąd. Biskup krakowski do Lubomli pojechał na radę z hetmanem w k. Z Rzymu donoszą, że dwór wiedeński z burbońskim necessytować chcą papieża, aby stolnika l, jeżeliby był królem polskim obrany, nie uznawał za króla, ale nic nie wskórali; kardynał Albani temu sprzeciwić się miał racyami mocnymi i nuncyusz już ma instrukcyą sekretną, aby mnie prymasa i jednomyślności narodu nie odstępował.

17. Niewielki zjazd był na pokojach. X kanclerz w l mówił ze mną o wyjeździe reszty Francuzów [1]). Tym lepiej, bo mniej będzie intryg; ordynans zaś ministra francuskiego [2]) głupstwu jego cały świat przypisze, takie jest zdanie wszystkich i Keyzerlinga... I to pewna jest, że król pruski wojsko gotowe trzyma w Sląsku przeciw Austryakom aż do *1-mos VIII-bris*, jeżeli myśleliby wmieszać się w intrygi polskie.

26. July. Zjazd mniejszy na pokojach, stół zwyczajny na 30 osób. Po obiedzie widziałem się w ogrodzie z Keyzerlingiem, ...który doniósł mi: ..... *3.* że wda kijowski pisał do x Daszkow [3]), deklarując się na elekcyę pod Warszawę. *4.* że poseł cesarski wyjeżdża skrycie z Warszawy. *5.* że Rzym deliberuje namówiony od cesarza i od Francyi, czyli ma pozwolić nuncyuszowi audyencyi i benedykcyi na elekcyę. *6.* że Francya mocno zaindyczona na mnie i na rzpltą. *7.* że po elekcyi naszego króla Prussy i carowa gwarantować zaraz będą tę elekcyę...

29.. Wieczór był nuncyusz u mnie, że Rzym approbuje moje czyny. X wda ruski był po tym, abym expedyował do Porty listy i p. Alexandrowicza [4]), ale tam jeszcze trudności zachodzą ze strony fakcyi francuskich...

3. Augusti. Zjazd u mnie znaczny, obiad na 100 osób *in gratiam* [5]) Augusta x-cia wdy ruskiego i orderu z muzyką i śpiewaczkami ...Nuncyusz także był i doniósł mi myśl Rzymu, że na elekcyą chce mieć audyencyą z błogosławieństwem od papieża, i że ma rozkaz uznać za króla tego, który jednomyślnie będzie obrany...

4. Audyencyą dałem posłom ziemi ruskiej i sochaczewskiej, i stół miałem na 30 osób. Stolnik l jadł u mnie i po tym konferowaliśmy o *pacta conventa*, które są do wypełnienia zdolne. Przyznał się,

---

[1]) Paulmy wyjechał był z Warszawy 9 czerwca; Hennin i Monet 16 lipca — [2]) Choiseul-Praslin'a. — [3]) generała Michała Iwanowicza —[4]) pułkownika, mianowanego rezydentem u Porty w miejsce Stankiewicza. — [5]) „na cześć“.

że jeżeli dla niego, że on nie chce żenić się z wielu przyczyn, że nie chce zagrodzić drogi braciom swoim *ad ministeria*, ile kiedy zdolni bydź mogą, że życzy indygenatu Salmourom i szlachectwa dla Szmita i Ryokurów [1]). Życzyłem mu, aby publicznie oświadczył swoję myśl do kandydacyi do korony z wielu przyczyn przy zaleceniu od samsiedzkich potencyi. Najcięższa rzecz jest, że Keyzerling coraz słabszy.

5-ta Augusti... Niektóre teraz uwagi są, aby duchy nie rozdwoiły się *favore* x wdy ruskiego i *favore* stolnika l, ale wda ruski cale o tym ani myśli... Z pułkownikiem Jakubowskim rozgowor o francuskich okolicznościach gniewu, ale *minus apprehenditur* [2]).

7. Zjazd wielki na pokoje. Posłowie obydwa rossyjscy i poseł pruski oraz rezydenci wszyscy od dworów angielski, duński [3]), moskiewski [4]), pruski, tudziesz wszyscy przytomni senatorowie i cała familia xiążąt Czartoryjskich i Poniatowskich i wszyscy panowie przytomni wraz zjechali się do mnie. Graf Keyzerling miał mowę do mnie imieniem carowy i króla pruskiego, zalecając na kandydata do korony Poniatowskiego, stolnika l. Odpowiedziałem z respektem dla tych dworów i deklarowałem donieść o tak mocnych rekomendacyach stanom rzpltej. Przyłożyli się do tej samej rekomendacyi x wda ruski i x kanclerz w l i wszyscy przytomni. Stolnik l dziękował pięknie za te wszystkie życzenia; wszyscy *ex equestri ordine* [5]) całowali jego ręce i on ich w usta całował. Wszyscy jedli u mnie u stołu na 40 osób. Cały ten dzień był zabawny o tej kandydacyi, którą kazałem drukować...

23... Nuncyusz był u mnie *cum brevi* [6]) od papieża, zachęcająca mnie do zgodnej elekcyi króla i do obstawania przy prawie przeciw dyssydentom...

25. Pokoje ludne, obiad na 80 osób. Wda kijowski był u mnie, wstrzymuje się do recessu [7]) i inni na niego zapatrują się. Po obiedzie byłem w zamku widzieć korony, ze skarbu krakowskiego przywiezione i inne klejnoty rzplej [8]) w senatorskiej izbie, gdzie liczny konkurs już był dam i państwa; a że biskup chełmiński [9]) nie znaleziony z kluczem, kazałem otworzyć ślusarzowi. Oglądaliśmy koronę od Ottona cesarza ze złota czystego, i drugą dla królowy, trzecią węgierską po Ludwiku, czwartą szwedzką arcypiękną po Zygmuncie III, piątą hommagialną, dwa berła i cztery łańcuchy arcypiękne. Korony potrzebują repara-

---

[1]) por. indygenaty Józefa-Gabaleona Salmour'a, Karola Schmidta, Piotra, Jędrzeja i Józefa Riaucour'ów, Vol. leg. VII f. 376 sq. — [2]) „mniéj się na to baczy". — [3]) Saint-Saphorin. — [4]) Rzyszewski. — [5]) „stanu rycerskiego". — [6]) „z pismem". — [7]) z manifestu 7 maja. — [8]) insygnia przywiezione 22 sierp. do Warszawy, w myśl uchwały sejmu konwokacyjnego o koronacyi w Warszawie, Vol. leg. VII, f. 102 sq. — [9]) Andrzéj Baier.

cyi; są i dwa światy [1]) okrągłe. Oddałem to wszystko do dyspozycyi skarbowej komissyi...

6. VII-bris. Po nabożeństwie rannym obiad był na 80 osób, a o pierwszej godzinie stanąłem w szopie. Z tąd do okopów przenieśliśmy się, i tam we śrzodku zacząłem śpiewać *Veni Creator.* Po skończonym hymnie wsiadłem do mego faetona, który w Widniu robiono za 960 dukatów, i tak z dwiema postylionami, pięknie przybranymi, i czteroma końmi pojechałem województwa objeżdżać, bom na koniu nie mógł jechać dla mocnej scyatyki w biodrach. Zacząłem od województwa poznańskiego objeżdżać, o co było urażone województwo krakowskie, ale musiało bydź wyperswadowane, bo nie stanęło od brzega z kąd porządek objeżdżania zaczynać się zwykł. Przed każdym województwem pytałem się, kogo chcą mieć króla. Odpowiedź była generalna od wszystkich, że chcą: *Stanisława Poniatowskiego, stolnika l,* i zaraz *vivat* [2]) krzyczano przy każdym województwie. Przez 4 godziny objechałem wszystkie województwa i zaraz od wszystkich odebrałem *vota* [3]) na piśmie i podpisy od wojewodów z rąk każdego. Marszałek sejmowy [4]) zawsze przy mnie na koniu jechał i wielu panów; kalwakada [5]) była bardzo ludna, i wszystkie województwa prezentowały się pod dyrekcyą wojewodów i kasztelanów, tak w Koronie jako i w Litwie. Powróciłem do pałacu o 6. godzinie wieczór, na jutro odłożywszy nominacyą. Uważałem podczas tych obrotów moich około województw, że cale nikt nie strzelił, że cudzoziemcy naokoło uwijali się po polach, nikt nie był napastowany, że żadnego pijanego nie widział nikt w tej tak gromadnej rzpltej, że nikt nie odezwał się z wolnym nie pozwalam; a nadewszystko, kiedym przywitał się z JP Gumolińskim, podkomorzym łęczyckim, i pytałem się go o co nowego, odpowiedział mi: że jak na przeszłej elekcyi nie widział *in campo electorali* [6]) żadnego trzeźwiego, tak tu nie mógł znaleść żadnego pijanego. Także to jest pewna, żem assystował x-ciu Prymasowi Potockiemu podczas przeszłej elekcyi, gdzie podczas objeżdżania województw same tylko huczki, strzelania, pozwalam i nie pozwalam dały się słyszeć; ale tu *facies* [7]) daleko insza była samej jednomyślności i trzeźwości i cichości. Wszędzie dałem się słyszeć, aby na jutro, kto zechce zażyć *liberum votum* podczas samej nominacyi, może wolności zażyć, i że wstrzymam się z nominacyą; z tym wszystkim *casus non datur* [8]).

---

[1]) t. j. jabłka. — [2]) „niech żyje“. — [3]) „głosy“. — [4]) Józef Sosnowski, pisarz w l. — [5]) czyt. kawalkada. — [6]) „na polu elekcyjnêm“. — [7]) „postać“. — [8]) „nie było tego wypadku“.

7. *VII-bris.* Zjazd był wielki u mnie, stół znaczny na 80 osób. O godzinie pierwszej do szopy pojechałem, a w ten sam czas i województwa przystempowały na około okopów. W szopie zabrałem głos, mówiłem przez puł godziny i żegnałem stany; wyznaczyłem do przyszłego króla 16 senatorów, a marszałek z rycerskiego stanu 36 z powinszowaniem nominacyi. Wyszedłem do okopów i we srzodku wzniosłem się na krzesło, zabrałem głos mocny, wyraziłem, że, stosując się do praw dawnych, exorbitancye jedne są uspokojone, a drugie do koronacyi odłożone, a za tym, kiedy jednomyślna zgoda wszystkich województw koronnych i litewskich zaszła już wczoraj, ja dziś z woli Najwyższej nominuję na króla i pana *Stanisława-Augusta* Poniatowskiego. Po trzy razy tę nominacyę ztwierdziłem przy uniwersalnej zgodzie; po tym ichmościom pp marszałkom wielkiemu [1]) i nadwornemu [2]) l, — bo koronnych nie było, — zleciłem, aby i oni promulgowali tę nominacyę u bram okopowych. Po tej promulgacyi zaśpiewałem *Te Deum laudamus*, które przez wszystkich śpiewane było, i artylerye rozstawione dały się ze wsząd słyszeć. Po tym wszystkim wziąłem z sobą x-cia wdę ruskiego, jako generalnego konfederacyi marszałka, i marszałka sejmowego do paradnej karety; przy niezliczonej assystencyi pojechaliśmy prosto do króla obranego do pałacu Poniatowskich. Tam przybywszy, król nas na sali przyjął i wprowadził mnie do pokoju bliskiego; tam winszowałem królowi imieniem całej ojczyzny jednomyślnych dla niego serc. Król mi pięknie odpowiedział, tak, jako i marszałkowi sejmowemu. Zaprosiłem króla na *Te Deum laudamus* do kościoła Ś. Jana; jakoż król miał wsieść do mojej karety, ale, że piękny dzień wyczyścił się po deszczu, król na koniu jachał w niezliczonej assystencyi, my zaś z x-ciem wdą ruskim poprzedziliśmy. Król był witany od kapituły przy drzwiach kościelnych, a x biskup poznański [3]) przy wielkim ołtarzu intonował *Te Deum laudamus*, a po benedykcyi królowi danej marszałek wykrzyknął: *vivat* król, po trzy razy, i za każdą razą cały lud krzyknął: *vivat* król. Z kościoła gankami króla zaprowadziliśmy już prosto do zamku, któremu starosta warszawski [4]) w ręce oddał klucze od tegoż zamku. Tym czasem z tego tumultu wymknąłem się i nieco słaby odjechałem do siebie. Całą noc ulice były napełnione ludem, osobliwie na ten nasz wjazd do kościoła. Król przysłał wieczór do mnie, o zdrowie pytając się moje, ale zdrowszy byłem i jutro na 10. obiecałem bydź u króla. Podczas tych funkcyi w polu, lubo wczoraj i dziś

---

[1]) Ignacemu Ogińskiemu. — [2]) Józefowi Sanguszce. — [3]) Teodor Czartoryski. — [4]) Fryderyk Brühl.

deszcz znaczny z rana padał, ale kiedym wyjechał do szopy tak na objeżdżanie województw, jako i na nominacyą króla, P Bóg zaraz dał pogodę piękną z podziwieniem całej Warszawy, a podczas samej nominacyi cztery tęcze dały się widzieć nad Warszawą, podobnież, jak kiedym po śmierci króla nieboszczyka wyjeżdżał do Warszawy na zaczęcie *interregni*, też tęcze dały mi się widzieć w lesie miedniewskim, na które zapatrywaliśmy się z JX Młodziejowskim, dzisiejszym podkanclerzym k i z p Dzidowskim, doktorem moim... [1]).

15. VII-bris... Prussacy znowu naszli Wielką Polskę, ludzi wybierają, o co Keyzerling, cokolwiek zdrowszy, pisał do Peterburga.

16. Król mocno *sensibilis* [2]) na najazd Prussaków, ale *vana sine viribus ira* [3]). Officer pruski w Łowiczu szukać chciał Niemców, ale nie kazałem pozwolić i odjechał...

4. VIII-bris. Mocno zachorowałem. Król zmieszany chorobą moją. *5-ta.* Rada doktorów około mnie, krew dwa razy puszczono, zawsze zła... *7-ma.* Spowiedź i *viaticum* [4]). Nuncyusz dał mi absolucyą i benedykcyą papieską *in viam aeternitatis* [5]); po tej coszkolwiek lepiej... *10-ma.* Lepiej zacząłem się mieć; król nie ustannie posyłał pytać się o zdrowie moje... *17-ma* w biliar zacząłem mocyą mieć; x kanclerz nawiedził mnie i wielu było od króla [6]).

22. VIII-bris. Król mnie nawiedził przy wielu państwach i doniósł mi wiele ciekawości: *1-mo* że król rzymski [7]) już nie weźmie królewny Kunegundy za żonę; *2-do* że król pruski obiecał przez x-cia łowczego [8]) satysfakcyą za najazd granic i za krzywdy i że odda zabranych ludzi; *3-tio* że konferencye zatrzymać trzeba z posłem rossyjskim, aż jak wyznaczony będzie nowy poseł [9]), a nie x Repnin, który

---

[1]) por. wyżej str. 59. — [2]) „dotknięty". — [3]) „próżny gniew bezsilny". — [4]) „wiatyk". — [5]) „na drogę wieczności". — [6]) z powodu wyzdrowienia prymasa następujący poemat marszałka dworu prymasowskiego, Michała-Antoniego Kossakowskiego, rozdawano na pokojach:

zbierzcie się, zbierzcie, wolności syny
wy plemie Lacha, cnoty potomkowie
każdy przed niebem niech pada,
„zdrów prymas" głośno powiada...
twoje to dzieło, obrót, i robota,
żeś nad-empirskie otworzywszy wrota,
króla wywiódł, jak wywodzi
słońce odźwierny, gdy wschodzi i t. d.

[7]) Józef II-gi. — [8]) w k, Władysława Czartoryskiego. — [9]) po Kayzerlingu zmarłym 30 września.

zbytnie żywy i nie znający interessów. Innych rzeczy wiele król ze mną nagadał, prawdziwie i szczerze ucieszony z zdrowia mego. Odjechał z kondycyą, żem go nie wyprowadzał z pokoju, dlaczego x-cia kanclerza l przy mnie zostawił i x-cia Repnina, aby mnie nie wypuszczali. X biskup krakowski był także u mnie, cale już kontent z króla i ze mną pięknie. Było i dam wiele u mnie.

25. IX-bris. Dzień koronacyi króla. O godzinie ósmej w lektyce przy znacznej assystencyi kazałem się zanieść do kollegiaty Ś. Jana, gdzie przez gmin ludzi przeszedłem do kościoła i przez warty wielkie, i przyszedszy przed wielki ołtarz zaraz wyprawiłem biskupów *et totum clerum* [1]) processyonalnie do zamku; sam zaś przygotowałem się pontyfikalnie do summy i zasiadłem w śrzodku przed wielkim ołtarzem czekając na króla. Przed królem szła wielka processya od zamku przez ulicę do kościoła, *clerus*, *nobilitas*, senat *cum ministerio*, po tym biskupi z metropolitą. ., a po nich biskupi, senatorowie. Król przyszedł wsparty od JX arcybiskupa lwowskiego [2]) z jednej, a z drugiej strony od biskupa krakowskiego, marszałkowie litewscy przed królem. Król przyklęknął przedemną i zaraz ceremonie koronacyi zacząłem. Słaby byłem prawda, alem zdrowo zakończył. Kazanie miał krótkie ale piękne JX Krasicki; króla Saulem a mnie Samuelem wyłuszczył. Z obiadu królewskiego wymówiłem się słabym zdrowiem po pracy; ale ani nuncyusz, ani ambassadorowie ruski i pruski nie byli dla etykiettów. Wieczór miasto i pałace były illuminowane, mój pałac był wspaniale illuminowany, król i panowie objeżdżali, przed moim pałacem król stał pułgodziny. Nuncyusz z posłami był w balkonie królewskim, — *suo damno* [3]), bo krótko po włosku był ubrany z zgorszeniem wszystkich państwa, bo miałby był pierwsze miejsce między biskupami na dole, gdyby był długo ustrojony.

1766. X-ber... [4]). Z tego sejmu [5]) wynikły różne domowe i zewnętrzne nieukontentowania, których unikając, jam pożegnał króla i powróciłem do Skierniewic... Powróciwszy do Skierniewic zastałem już skończoną kaplicę przy pałacu moim z gustem przednim wymalowaną i przyozdobioną, którą offiarowałem *Immaculatissimae Virgini Matri* [6]) *et St. Michaeli Archangelo in gratiarum actionem* [7]) za

---

[1]) „duchowieństwo“. — [2]) Sierakowskiego. — [3]) „z własną krzywdą“. — [4]) 19-go stycznia 1765 roku wyjechał Łubieński do Skierniewic; 21-go czerwca zjechał do Warszawy; 5-go lipca wrócił do Skierniewic; 1-go września znów stanął w stolicy, wezwany przez króla dla wzięcia udziału w pertraktacyach z Fryderykiem; 10 października wrócił do Skierniewic; 22 wrześ. 1766 r. zjechał do Warszawy na sejm. — [5]) warszawskiego, 1766. — [6]) „Matce“. — [7]) „z wdzięczności“.

protekcyą *felicis* [1]) *interregni. Videatur in epitaphio ab extra posito...* [2]).

1767. Februarius... Inne dwory do tąd w gabinetach medytują i alliancye knują, ale Anglia i Francya jeszcze długami wielkiemi są obciążone; z tym wszystkim negocyują, ale sekretnie. Przyszły marzec pokaże to, ile że kończący się luty zupełnie już z zimy zszedł i czasy ciepłe już panują. Dwór nasz zaś na wszystkie zapatruje się tylko, bo jesteśmy bez sił, to tylko ciekawie zapatrować się musimy. Jesteśmy pod opatrzunością Boską; to Bóg nas obroni. *Quis ut Deus?* [3]).

ed. Szymon Askenazy.



---

1) „szczęśliwego". — 2) „obacz na napisie zewnątrz położonym". por. wyżej str. 65. — 3) „kto, niżeli Bóg".

SZTAMBUCH

MATKI JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Sztambuchy wielokrotnie oddały przysługę literaturze; mam jednak na myśli albumy tych osób, które zajmowały stanowisko wybitne, albo przestawały z koryfeuszami piśmiennictwa. Niejeden piękny utwór wielkich poetów naszych znalazł pomieszczenie w sztambuchu, a wzbogacając poezyę, przyczynił się do wyjaśnienia wielu kwestyi biograficznych lub literackich. Album np. Ewuni Ankwiczówny zawiéra poezye Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i wielu innych znakomitości współczesnych.

Matka Juliusza Słowackiego, otaczana taką czcią synowską przez wielkiego poetę, któréj wpływ na jego twórczość był niezaprzeczony, jest postacią wybitną a niedostatecznie uwydatnioną jeszcze w literaturze. Brak materyałów, dotyczących zarówno jéj, jak i rodziny Słowackich, był tego główną może przyczyną. Dlatego sądzę, że nie bez interesu dla czytelników będzie opis jednéj z niewielu pozostałych po pani Bécu pamiątek. Jestto stary, zniszczony sztambuch, który matka poety miała ciągle pod ręką, który chowała może w szufladzie biurka swego lub kładła na biurku samém.

Znaczyła tam przez szereg lat pewien ślady swych opowiadań do poezyi współczesnéj i przechowała kilka nieznanych utworów młodzieńczych swojego syna.

Właściwie po matce Juliusza Słowackiego dwie pozostały książeczki pamiątkowe, będące niegdyś w posiadaniu pani Aleksandry Słowackiéj. Była to wdowa po Władysławie, bracie stryjecznym Juliusza, która przed kilkunastu laty czas pewien mieszkała w Warszawie.

Jedną z tych książeczek miała w swych rękach i opisała w sposób bardzo zajmujący pani Marya Konopnicka w artykule p. t.: „Wspomnienia o pani Słowackiéj-Bécu, matce Juliusza Słowackiego” („Świt”, № 105 z 1886 r.). Artykuł ten w niezbyt rozpowszechnionym tygodniku uszedł zapewne uwagi ogólnéj, a „książeczka”, o któréj mowa, po śmierci p. Aleksandry Słowackiéj przepadła bez wieści: dla pełności przeto artykułu, może nie będzie zbytecznêm choć pokrótce powtórzyć jéj opis.

Był to mały, w szesnastkę złożony zeszyt, z pożółkłego, grubego, miejscami uszkodzonego papiéru, którego brzegi pomalowane były niewprawnie na kolor czerwony. Pierwsza téj książeczki kartka miała u góry napis, położony ręką p. Bécu: „Oddać Wacławkowi” [1]). Na drugiéj, w pośrodku, dziecięcą snać ręką był wymalowany wazonik z kwiatami i zwieszającemi się trawami. U dołu téj kartki napis pani Bécu: „Książeczka zrobiona przez Julka, a zapisana przez matkę jego”.

Potém następowały różne urywki i zdania, prawie wszystkie pisane po francusku, z wyjątkiem kilku polskich, z pism Tańskiéj. Ważniejsze z nich przytoczyła p. Konopnicka, a z kartek téj książeczki przypuszcza, że matka Słowackiego usiłowała wówczas wyrobić w sobie pewną pogodną filozofię życia i rada otaczała się autorami, którzy tę filozofię wyznawali. Pobłażliwość, wyrozumiałość, przebaczanie uraz, dążenie do równowagi ducha i umysłu: oto, zdaniem poetki naszéj, ewangelia życia zapisana w téj książeczce. Nadto zasób książek, jakiemi się otaczała matka Słowackiego, był znacznie poważniejszy co do rodzaju od téj literatury powieściowéj, jaką uprawia przeciętna kobiéta naszéj doby. Pani Bécu hołdowała wprawdzie kierunkowi swojéj epoki i czytała głównie po francusku, ale między jéj autorami jest Weiss [2]), którego pism filozoficznych kobiéty u nas nie znają zupełnie, jest Rousseau, Humboldt, Bacon, Villemain, a na-

---

[1]) Syn p. Aleksandry Słowackiéj, ostatni potomek tego rodu i nazwiska. Z rany źle wyleczonéj zmarł przed trzydziestu laty.

[2]) „Principes philosophiques, politiques et moraux par le Colonel de Weiss, ancien Bailli de Moudon et membre de diverses Académies“. Mamy pod ręką wydanie 14-te téj książki, w Brukselli, 1838 r.

wet Hezyod i Horacyusz w przekładzie. Na pierwszy rzut oka uderzało nagięcie się umysłu do rzeczy poważniejszych i głębszych.

„Książeczka”, zrobiona widocznie za czasów wileńskich Julka, zapisywaną była w różnych odstępach czasu, jak o tém świadczył niejednostajny charakter pisma, a nawet sam wybór zdań, które pod koniec coraz głębszą a słodszą mądrość wynoszą ze szkoły życia, rozléwając jakieś pogodne światło, jakby zachodzącego słońca.

Na ostatniéj stronie był przypisek p. Aleksandry Słowackiéj téj treści: „Książeczka ta została mi daną dla syna mego, Wacława Słowackiego, ręką babki, Salomei Bécu, kiedy ten miał trzy lata wieku, w roku 1849, w Krzemieńcu”. U góry zaś kilka wierszy, przez matkę Słowackiego skréślonych: „Śmiało więc, młodzieńcze, na zaczętéj drodze, bo wielka jest przyszłość każdego, ktokolwiek, poczuwszy w sobie iskrę boskości, w jasne słońce ją rozdmucha”.

Ze słów tych pani Konopnicka przypuszcza, że książeczka była pierwiastkowo przeznaczona dla Słowackiego po jego pierwszych wystąpieniach poetyckich, które okazywały „poczucie iskry boskości”. Zdawały się bowiem mało być stosowne, jako dedykacya dla trzechletniéj dzieciny, któréj ani „młodzieńcem” jeszcze nazywać nie można było, ani téż „iskry boskości” w niéj przewidywać.

W końcu autorka stawia wniosek, że „książeczka, zrobiona przez Julka, a zapisana przez matkę jego”, była jakby skarbnicą myśli i uczuć, które pani Bécu zrazu przeznaczała dla jedynaka swego, a potém, w chwilach osiérocenia, ofiarowała ją matce pokrewnego sobie dziecięcia. Z tych pożółkłych kartek autorka usiłuje poznawać wpływy, jakim się otwiérało serce téj niewiasty, taką wyjątkową czcią synowską otaczanéj przez wielkiego poetę, i przytacza ważniejsze z nich wyjątki.

Powtórzmy z nich tylko niektóre:

...Przebaczyć nieprzyjaciołom — oto największy wysiłek moralności powszechnéj; oddawać dobrém za złe — oto najwyższa cnota chrześcianina. *Stern.*

...Jestem przestraszony, ilekroć widzę, że ktoś wyrządza krzywdę starcowi lub staréj, schorowanéj kobiécie. Alboż jest pewném, że starczy mu czasu do naprawienia złego? *Walter Scot.*

...Najpożądańszemi przymiotami człowieka są: dobroć, mądrość i odwaga, czyli w innych słowach: współczucie, roztropność i siła duszy. *Weiss.*

...Tyle jest nikczemnéj domieszki w najczystszym kruszcu naszych myśli, że byłoby rzeczą smutną rozbiérać zbyt szczegółowo pobudki nawet najlepszych naszych czynów. *Walter Scot.*

„Nie dowierzaj człowiekowi, który źle mówi o nieobecnym przyjacielu, albo go też obmawianego nie broni. *Horacyusz.*

Zupełnie innego rodzaju jest druga książeczka pani Bécu, będąca obecnie moją własnością, o któréj przychodzi mi tu pisać po raz pierwszy.

W listach do Odyńca pisanych z Wilna i Krzemieńca w r. 1826, 1827 i 1828-ym, pani Bécu wspomina o sztambuchu tym bardzo często, nazywając go swoją „ponsową książeczką", któréj karty starała się zapełniać przy sposobności. Dzięki uprzejmości pani Teresy z Odyńców Chomętowskiéj, która listy ojca swego przechowała starannie, łatwo na ich podstawie określić czas powstania tego sztambuchu i dodać garstkę objaśniających szczegółów.

Składa się on z kilkudziesięciu kartek pożółkłego od starości papiéru czerpanego, formatu zbliżonego do zwykłéj ósemki, oprawnych w skórę ponsową, z pozłacanemi niegdyś brzegami. Było tam stronic ponumerowanych 144, lecz brak jest kart kilku, może najcenniejszych. Pani Bécu wycinała sama karty z téj książeczki, posyłając je do zapełnienia Odyńcowi lub Korsakowi. Być więc może, iż zaginęły one, lub wydarła je czyjaś ręka nieopatrzna.

Nie jest to „książeczka zrobiona przez Julka, a zapisana przez matkę jego", zawierająca zdania i uwagi sławnych autorów wypisane z pewną myślą, lecz jest to zbiór kilkudziesięciu utworów współczesnych znanych i nieznanych poetów. Są tam poezye polskie i francuskie, oryginalne i tłómaczone, trochę wierszy okolicznościowych, piosnek i aforyzmów wpisanych ręką saméj pani Bécu lub różnych osób.

Takim jest sztambuch matki Słowackiego, który nam daje przykład jéj upodobań poetyckich i pozwala sądzić, że zajmowała ją bardzo ówczesna poezya, nietylko polska, lecz i obca.

Pochodzi on, jak i tamta książeczka, z wileńskich czasów Julka i stanowi niejako jéj uzupełnienie. W listopadzie 1826 roku pani Bécu, dziękując Odyńcowi za nadesłane jéj wiersze, donosi mu, że przepisze je sama do „nowéj ponsowéj książeczki", bo zielona już zapełniona i przyrzeka kilka początkowych kartek zostawić, by je zapełnił sam, gdy przyjedzie do Wilna. Jakoż na początkowych kartach albumu znajdujemy ręką p. Bécu wpisane wiersze Odyńca, rozpoczynające się od słów:

Rozwesel lice, cudzoziemcze młody!

Następnie, podobno ręką Juliusza, wpisany jest nadesłany przez Odyńca ustęp z „Odludków" Fredry:

„O ten, co swoje szczęście połączył z kobiétą“,

potém „Łzy” Odyńca i również przysłane przez niego tłómaczenie z Moore'a.

Dziwnym zbiegiem okoliczności sztambuch matki Słowackiego rozpoczyna się od poezyi Mickiewicza: od „Sonetu do Niemna”, wiersza „Do M.”, „Precz z moich oczu” i „Toastów”. Na dalszych kartach albumu znajdujemy nadto wiersz: „W imionniku K. R.”, rozpoczynający się od słów:

Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
Spotykamy się z sobą jak dwie różne łodzie....

daléj: „Ugolino”, wyjątek z „Boskiéj komedyi”, potém ręką pani Bécu wpisane wiersze: W Imionniku: „Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą”, „Niepewność”; Elegia do D. D.: „Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy”,—a wreszcie „Śmierć pułkownika” i „Wezwanie do Neapolu” [1]).

Poezye te przeplatane są wierszami Ignacego i Aleksandra Chodźków, Tomasza Zana, Morawskiego, Fredry, Felińskiego, Gosławskiego, Henryka Cieszkowskiego, Juliana Korsaka, Antoniego Goreckiego, Aleksandra Grozy, Lamartine'a, Beranger'a, przekładami z Goethego i Byrona i miernemi bardzo utworami nieznanych zupełnie autorów. Byli to dobrzy pani Bécu znajomi, którzy uwiecznili się w tym albumie. Na następnych kartach „ponsowéj książeczki” znajduje się téż przekład „Warszawianki” Delavigne'a i kilka innych poezyi, powstałych w 1829 i 1830 roku, wpisanych zatém do tego albumu już po wyjeździe Słowackiego z Krzemieńca do Warszawy.

Nie wiele jest tam wierszy, wprost zwróconych do właścicielki albumu. Czterowiersz „W Imienniku jednéj damy”, podznaczony literą K., jeżeli odnosi się do pani Bécu, to daje bardzo pochlebną jéj charakterystykę:

Co płeć Twą zdobić może, niesiesz w swéj osobie,
Kto szczęśliwy, szczęśliwszym staje się przy Tobie,
A ten, którego nieszczęść otaczają cienie,
Z ust twoich pije litość, z oczu zapomnienie.

Julian Korsak w dzień imienin pani Bécu (d. 17 listopada 1826 roku) przyniósł „śliczne wierszyki” do sztambucha. Kartka oddzielna, na któréj spisane były, zaginęła, lecz przechowały się one nato-

---

[1]) Wiadomość o tych utworach z odmiennym prawdopodobnie tekstem, przydać się może wydawcom krytycznéj edycyi dzieł Mickiewicza.

miast w liście do Odyńca. Znajdują się wydrukowane z drobnemi zmianami w „Poezyach J. Korsaka” (Petersburg, 1830, str. 97).

Oprócz tego, o jednym jeszcze, spisanym na karcie oddzielnéj, wierszu, którego nie ma w sztambuchu, wspomina pani Bécu w listach do Odyńca. Wspomina, lecz wiersza tego nie przytacza. Był to zaś sonet Petrarki w przekładzie Antoniego Goreckiego, tak „niestosowny” dla niéj. „Ale to nie szkodzi — pisze p. Bécu d. 12 marca 1827 r. — że ktoś po mojéj śmierci będzie rozumiał, że ja byłam zdolną natchnąć poetę takiemi uczuciami. Co Pan na to? Czy to nie wybornie, że Gorecki na mojéj karcie o mojéj miłości napisał! Jestem zupełnie w tym przypadku, jak ci starzy celibatorowie, których kobiéty młode biorą za towarzyszów, idąc na maskaradę lub inne publiczne zgromadzenie i będąc pewne, że nikt je o nic złego nie posądzi?...”

Nieznane są może drobne utwory: Ignacego Chodźki, i Henryka Cieszkowskiego. Chodźko wpisał:

Idąc raz pod święty Michał,
Czułem, że mnie ktoś popychał;
Więc gdy śpieszniéj stawiam nogę,
To znów ktoś zaprzecza drogę:
Cóż to? Strachy? Upiór? Mara?
Nie!! Zgadnijcież, co to było?...
Kupid pchnął mnie całą siłą,
Hymen groźne mówił: wara!

Ignacy Chodźko.

Następnie znajdujemy własną ręką Henryka Cieszkowskiego wpisany wiersz p. t.:

Łza.

Jest siostrą niewinności, któréj źródło w niebie,
Milcząca, najpotężniéj przemawia do ciebie,
Najpiękniejsza, gdy najmniéj okazać się rada,
Źródło swoje ma w sercu i do serca wpada:
Jéj balsam, zdolny ranę zagoić głęboką;
Traci gorycz cierpienie, gdy łzę wyda oko:
Niewinności największą tarczą jest na świecie.
Bóg, ująwszy dzielności i męstwa kobiecie,
A chcąc, ażeby w sile nam była zrównaną,
Dał jéj łzę—i świat przed nią upadł na kolano!
Nie trzeba boskich wdzięków, szczerze wyznać muszę,
By zniewolić mój umysł, by ująć mą duszę,
Nie trzeba—ja nie żądam boskiego uroku,
Dla mnie dosyć... dość jednéj łzy w błękitnêm oku!

Ach! dla niéj to oddałbym... Lecz kończyć się boję
Dla łzy, łzy być powinny — ich więc dałbym zdroje.

Nie bez wdzięku jest też triolet Tomasza Zana:

Strzedz razem serca i trzody,
To na pasterkę zawiele.
Boże! o ileż to szkody,
Strzegąc i serca i trzody:
Wilk się wkrada do zagrody,
Pasterz zewsząd zdrady ściele.
Strzedz razem serca i trzody,
To na pasterkę zawiele!...

Bez wszelkiéj wartości jest kilka wierszyków pani Felicyi Miechowiczowéj, lecz na wzmiankę zasługuje czterowiersz téjże autorki w imionniku Słowackiego:

Niech ci zorza nadziei błyszczy w dni poranku,
W południe niechaj szczęścia jaśnieją promienie,
Przy zachodzie niech słońce świeci bez przestanku.
A księżyc cnoty cieszy północy wspomnienie.'

O tym-to zapewne „dziecinnym sztambuchu", w którym Ludwik Szpitznagel wpisał wiersze „piękne przeczuciem i smutkiem":

Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w drogiéj przeszłości się stawił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął—jak przeszłość nie wróci...

wspomina w swym pamiętniku Słowacki.

Sztambuch pani Bécu ma dla nas wagę nie małą głównie przez to, że zawiera utwory poetyckie Juliusza Słowackiego. Są tam rzeczy znane i takie, których do téj pory nie ogłoszono jeszcze drukiem. Do znanych należy sonet, napisany w Wilnie 1826 roku, i cztery sonety z 1827-go roku. Te ostatnie, wpisane do albumu ręką Teofila Januszewskiego, pomieszczone są w zbiorze pism pośmiertnych poety między jego pierwszemi próbami literackiemi, gdy miał lat 17, 18 i 19: „Dumą Ukraińską" i poematem „Szanfary". Sonetu wszakże z 1826 roku nie ma ani tam, ani w żadném z wydań dotychczasowych. Poraz pierwszy wraz z wierszem „Matki do syna" ogłosił go w „Gazecie Codziennéj" z d. 28 sierpnia 1860 r., zmarły przed kilku laty w Żytomierzu, Jan Prusinowski. W liście z d. 26 maja 1891 r. objaśnił mnie, że materyały, z których opracował artykuł w wymienionéj gazecie, otrzymał od p. Aleksandry Słowackiéj, a wiersz „Matki do syna" i „Sonet" odnalazł między papiérami, pozostałemi po p. Bécu; wpisane one były do księgi zniszczonéj młodo-

cianą ręką autora. Nie była to więc w żadnym razie książeczka w safian oprawna, będąca przedmiotem obecnego opisu.

Przy tytule sonetu, o którym mowa, matka poety dopisała własnoręcznie: „R. 1826. Wilno."; ale w drugim odpisie, w téj saméj książeczce, znajduje się pod tym utworem, innén pismem, data tą samą ręką, z któréj i odpis wyszedł: „Wilno 20 Stycznia 1827", jako „sonet Julka S." Te dwa odpisy w jednéj i téj saméj książeczce nasuwają domniemanie, że wiersz ten uważano może za najlepszy z pomiędzy pierwocin poetyckich Słowackiego. Musiano o sonecie tym mówić i zajmować się nim wiele, skoro Jan Januszewski, wuj poety, ułożył z niego parodyę. W domniemaniu takiém utwierdza téż najzupełniéj ustęp z Pamiętnika w „Rozdziale X, od r. 1826 do 1827", w którym poeta o utworze tym powiada: „Téj zimy w nocy napisałem sonet, który między pannami uważany był jako najpiękniejsza poezya. Wypisuję go tu dla zachowania go na przyszłość" [1]).

Z „Gazety Codziennéj" sonet ten przedrukował w „Złotéj przędzy poetów i prozaików polskich" Stanisław Krzemiński (Warszawa, 1881); pozwolę sobie jednak powtórzyć go w tém miejscu z nieznaną „Parodyą" Januszewskiego:

Już północ, cień ponury pół świata okrywa,
A jeszcze serce zmysłom spoczynku nie daje;
Zewsząd mnie otaczają czarnych myśli zgraje
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrywa,

A choć na chwilę we śnie umysł mój spoczywa,
To serce, ulatując w wyobraźni kraje,
Goni za marą, któréj szczęście nie dostaje:
A dusza przez sen nawet drugiéj duszy wzywa.

Jest kwiat, co się otwiera pośród nocy cienia,
I spogląda na księżyc, i lube tchnie wonie,
Aż póki nie obaczy jutrzenki promienia.

Jest serce... co się kryjąc w zakrwawioném łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa wewnętrzne cierpienia.

A oto owa parodya:

Już północ, cień ponury pół świata okrywa,
Jeszcze nos pana Jana zasnąć mi nie daje:
Ciągle w dwie swoje rurki dmuchać nie przestaje;
Chrapanie po chrapaniu z niego się wyrywa.

---

[1]) „Przegląd Polski" z r. 1879, zeszyt lipcowy, str. 35. Mylnie przytacza p. Wacław Gasztowt w przedmowie do „Pamiętnika", jakoby sonet ten tamże po raz pierwszy ogłosił.

A gdy czasem na chwilę w chrapaniu spoczywa,
Piszczy wtedy i świszczy i ciągle się zdaje,
Że goni za tabaką, któréj mu nie staje,
I że nos przez sen nawet tabakierki wzywa.

Jest trąba, która wtedy tylko uszy drapie,
Gdy się zbiorą na musztrę mundurowe gapie,
A przez resztę dnia miłym cieszy się wywczasem.

Jest nos, co w nocy tylko niszczy, piszczy, chrapie,
W nocy ciągnie dyszkantem, tenorem i basem,
W dzień milczy—chyba kichnie lub piano zasapie.

Od sonetu ciekawszym jeszcze, bo nieznanym, jest wiersz, który Słowacki napisał w sztambuchu Ludwika Szpitznagla.

Z tym starszym od siebie kolegą z ławki szkolnéj, łączyły go, jak wiadomo, węzły ścisłéj bardzo, idealnéj przyjaźni. Poświęca mu téż Słowacki w „Godzinie myśli" ustęp rozpoczynający się od słów:

„Włosy miał jasne, kolor oczu lazurowy;
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.

Rzeczywiście, Szpitznagel, jak poświadcza Aleksander Chodźko, objawiał niezwykłe zdolności lingwistyczne, więc ojciec jego, Ferdynand, profesor uniwersytetu wileńskiego na wydziale lekarskim, wysłał go był do Petersburga, do szkoły żyjących języków wschodnich przy ministeryum spraw zagranicznych, gdzie syn zdobył wszystkie pierwsze nagrody. Następnie pozwolono mu wybrać sobie konsulat na Wschodzie, gdzieby mógł wydoskonalić się ostatecznie. Wybrał Egipt, gdyż po arabsku i po turecku mówił niegorzéj, niż po polsku. Wtedy to przyjechawszy na Litwę dla pożegnania się z rodziną, odwiedził także Snów, wieś Rdułtowskich w Nowogródzkiém, gdzie samobójstwem życie zakończył. Przyczyną tego tragicznego zgonu była miłość do młodziutkiéj córki téj rodziny. Rodzice nie odmówili jeszcze, tylko zauważyli, że on i ona za młodzi i że za kilka lat będzie się mógł upomnieć o tę pierwszą obietnicę. Tę radę Ludwik wziął za odmowę i przed samym wyjazdem ze Snowa strzelił do siebie w serce [1]).

Eustachy Januszkiewicz w notatkach udzielonych prof. Małeckiemu objaśnia znów, że przyczyną samobójstwa miała być okoliczność, iż w téjże pannie był rozkochany inny młody człowiek, a przyjaciel Ludwika.

O Szpitznaglu tym wspomina pani Bécu dość często w listach do

---

1) Z listu Aleksandra Chodźki do dyrektora „Biblioteki Polskiéj" w Paryżu; „Pamiętnik Towarzystwa Histor.-literackiego za r. 1868", str. 367 i n.

Odyńca. D. 22 stycznia (st. st.) 1827 r. donosi mu już o pobycie jego w Wilnie i mającym nastąpić niezadługo wyjeździe przez Warszawę i Tryest do Aleksandryi. O saméj zaś katastrofie, która zdarzyła się d. 26 lutego 1827 r., nie zaś rok przedtém, jakby sądzić można z „Pamiętnika" poety, wspomina w liście z d. 19 marca, przypisując ją zarazem miłości do Zofii Rdułtowskiéj i chorobie, któréj Ludwiś miał podlegać. Mówiono bowiem o nim, że już dawniéj usiłował kilkakrotnie pozbawić się życia, lecz zawsze któryś z kolegów podpatrzył go w porę i przeszkodził.

„Był to kwiat piękny, który nie wydał owocu" — powiada o nim w „Pamiętniku" Słowacki i dodaje, że napisał mu do sztambucha wiersze, które go zachwyciły. Przytacza tam wszakże tylko jedną zwrotkę, którą zapamiętał, zaczynającą się od słów:

„Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje".

Wiersz ten wpisany do sztambucha pani Bécu, charakterem bardzo zbliżonym do pisma Słowackiego i podznaczonym literami J. S., podaję tu w całości po raz pierwszy:

Do Ludwika Szpitznagla.

Ludwiku!... jak dwie gwiazdy podobne na niebie
Wiecznie nieznana siła oddala od siebie;
Tak i my na téj świata rozległéj przestrzeni
Choć myślą, sercem blizcy — losem rozłączeni.

Wkrótce, gdy ci na morzu jutrzenka zaświeci,
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni westchnienie,
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci.

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.

Pozwól więc, pozwól bujać swojéj wyobraźni,
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczeréj przyjaźni:
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,
Wiecznie nas przeznaczenie oddali od siebie.

Słowacki w „Pamiętniku" swoim podaje, „że początek roku (1826) był dla niego nadzwyczaj smutny. Okropny w tym czasie zdarzył się wypadek." Jest tu jednak pewna niedokładność lub pomyłka, gdyż z listów pani Bécu wiadomo, że śmierć Szpitznagla nastąpiła w r. 1827. Wiersz w sztambuchu napisany był za życia jego, przed

zamierzoną podróżą, gdy miał „usłyszéć w żaglach lekkie wiatru tchnienie". Tym sposobem można czas powstania tego utworu oznaczyć na początek lutego 1827 r., za bytności Szpitznagla w Wilnie i zaliczyć wiersz ten do wcale udatnych młodocianych utworów autora „Balladyny". Niedokładność zaś owa w dacie śmierci Szpitznagla wypływa, o ile się zdaje, z pomyłki w tytule rozdziału X-go „Pamiętnika": „od r. 1826 do 1827", co mogło téż znaczyć: od dalszego ciągu 1826 r., a „początek roku", o którym wspomina Słowacki, mógł się już odnosić do roku następnego, gdyż w rozdziale tym np. wspomina o podróży do Odesy, którą odbył dopiéro w 1827 r. A wzmianka o sonecie, który „téj zimy, w nocy, napisał", może się znów odnosić do któregokolwiek z zimowych miesięcy 1826 r. I gdyby przyszło wątpliwość tę rozstrzygnąć, byłbym zdania, że należy dać prędzéj wiarę świadectwu matki, która pod świéżém wrażeniem oznaczyła ten sonet datą 1826 r., aniżeli „Pamiętnikowi" poety, spisanemu w sześć lat potém w Paryżu. Jeżeli bowiem tak ważne w życiu swojém wydarzenie, jak śmierć drogiego przyjaciela i pierwszą podróż do Odesy podał z datą niedokładną, to czyż nie mogła zatrzéć się w pamięci rzecz stokroć mniejszéj wagi, jak oznaczenie czasu powstania sonetu? Zresztą w korespondencyi pani Bécu z Odyńcem, którą posiadamy od 30 sierpnia 1826 r., nie znajdujemy ani słówka o tym sonecie. Donosząc o każdym drobiazgu, o każdym utworze, o każdym niemal kroku swego syna, byłaby wzmiankowała i o tym sonecie, gdyby go był napisał w 1827 r., tak jak donosiła o utworach z tego czasu: Dumce i trzech sonetach. Musiała więc chyba być o nim wzmianka w poprzednich listach z tegoż roku, które nas nie doszły.

Oprócz powyższych prób młodzieńczego pióra znajduje się na 94 karcie albumu utwór francuski późniejszéj daty. Niestety, wydarto kartę poprzednią, tak, że na stronicy 94 znajdujemy tylko ciąg dalszy, a na następnéj dokończenie i podpis ręką matki: „Juliusz Słowacki". W tych pozostałych strofach odnaléść można myśli i wyrażenia téż same, co w poemaciku „Paryż", i dwa podobnéj treści odsyłacze.

Czas powstania tego utworu można oznaczyć na koniec 1831-go roku. W tym téż roku, w pierwszych dniach września, Słowacki przybył na stały pobyt do Paryża. Z początku stolica Francyi nie zrobiła na nim zbyt korzystnego wrażenia. Liczne w tym duchu wzmianki znajdujemy w ówczesnéj korespondencyi jego z matką. O polskim utworze téjże treści znajdujemy wzmiankę późniejszą w „Pamiętniku", dzie pod datą 22 lipca 1832 r. zapisuje poeta, że dawał Podczaszyń-

skiemu [1]), zamiast Ody, kilka strof o Paryżu. Z powyższych zatém okoliczności, jak również z porównania polskiego wiersza z ocalałym fragmentem francuskim, łatwo wyprowadzić wniosek, że Słowacki pierwotnie dla Francuzów napisał wiersz o „Paryżu” po francusku, a następnie w polskim tekscie zmienił układ strof oddzielnych i rozszerzył go znacznie. Wiersz polski nie jest przekładem z francuskiego, ani téż odwrotnie, lecz każdy z nich uważać można za utwór oryginalny. Słowacki, bo téż władał językiem francuskim doskonale; pięknym i oryginalnym jest on w jego powieści francuskiéj *Le roi de Ladawa*, o harmonijności zaś wiersza francuskiego czytelnik przekona się z fragmentu, który poniżéj przytaczamy, wraz z odpowiadającemi mu ustępami „Paryża”.

. . . .	Patrz znów w mgłę miejską — oto [wież ostatki,
En s'éveillant nous suit de ses regards [pensifs,	Gotyckim kunsztem ukształcona ściana [1]),
Et livre aux vents du soir son voile de [dentelle.	Rzekłbyś, że zmarła matka twojéj matki.
	W czarne brabanckie koronki ubrana,
	Z chmur się wychyla jak duch Osyana...
	. . . .
Parmi les monuments, que le brouillard [récèle	A kiedy posąg walił się z podstawy,
Un géant mort fixa en terre son canon	Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Et sa colonne en bronze au couchant s'il-[lumine	Każdy się okrył łachmanem téj sławy,
Elle est debout — sans tête — et bientôt [en ruine...	Każdemu było dosyć—nadto było...
	Marzą o dawnéj sławie nad mogiłą
Là nous verrons fleurir les lys et le [chardon [2])	I pod kolumną spiżu wszyscy posną [2]);

[1]) Michał Podczaszyński, redaktor „Pamiętnika emigracyi“.

[2]) „Kolumna Vendôme bronzowa“.— W liście do matki z d. 10 grudnia 1831 r. Słowacki donosi między innemi: „Lepiéjbym zrobił, pisząc Wam o kolumnie Vendôme: cała lana z armat, zdobytych przez Napoleona; pomnik na ślicznym placu, najpiękniejszy w całym świecie, ale brakuje mu głowy, to jest statuy Napoleona. Zobaczymy, jak pójdą rzeczy: może na niéj ta statua stanie, może, jak gdzie na starych ruinach, lilie porosną.„

[1]) Kościół katedralny Notre-Dame

[2]) Kolumna Vendôme.

[3]) Most Zgody albo Ludwika XVI z białemi posągami.

(W tekście polskim i francuskim są przypiski poety).

Qu'importe!... mon regard plonge encor [dans les nues
Sur les arches d'un pont se dressent des [statues [3]
Tels des spectres sortis de leurs tom- [beaux croulans
Aux portes des enfers où gémit l'infor- [tune
Sur les flots noirs du Styx restent de- [bout et blancs.

Choć cięcie kata głowę z niéj strąciło.
Choć na niéj może, jak na gruzach z wio [sną,
Chwasty z liliami Burbonów porosną.
. . . .
Ludzi nie dojrzysz... Lecz nad mgłami [fali
Stoją posągi (gdzie płynie Sekwana) [3]
Jakby się w Styksu łodzi zatrzymali,
I przed piekła bramami we mgłach stoją [biali...
. . . .

Enfin autour de moi la nuit tombe et [la lune
Des funèbres cypres argente les rameaux,
Et mon âme revient dormir sur les tom- [beaux.
Je vois d'autres objets aux teintes pales, [sombres...
Et je m'égare au loin, je rève sous les [ombres...
Du sapin murmurant dans nos tristes fo- [rêts,
Dans nos champs sabloneux où les som- [bres genêts
Roulent leurs vagues d'or. Oh! qui vou- [drait me suivre
Parmi ces verts bosquets etincelans de [givre,
Oú le vent fait neiger des cerisiers fleu- [ris
Ces fleurs, dont sur la terre il sème les [débris.
Et maintenant! tandis que les flots [de la vie
M'emportent sans retour au loin de ma [patrie,
J'oubliai, je le crains, au moment de [partir,
De la bien regarder pour m'en ressou- venir.

Zdala od miasta szukajmy napisów,

Gdzie wielki cmentarz zalega na górze [4]
O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów

Pobladłe w cieniu chowają się róże.

. . . .

Na końcowych kartach albumu znajdujemy jeszcze jako „Pa-

[3] Most, na którym stoją białe statuy wielkich ludzi.

[4] Cmentarz Père la Chaise.

miątkę z Bołtupia" ciekawą rozmowę towarzyską w rymowanych pytaniach i odpowiedziach francuskich.

Bołtupie od litewskiéj nazwy: bałta = biała i upie = rzeka, wieś w powiecie oszmiańskim, była oprócz Jaszun własnością Jędrzeja Śniadeckiego, którego téż tam pochowano. Dziś należy do téj saméj rodziny, gdyż do prawnuczek w prostéj linii uczonego męża: Maryi i Zofii Śniadeckich.

Rozmowę tę, a raczéj grę w „Sekretarza", wpisano snać potém do sztambucha na pamiątkę pobytu w Bołtupiu. Rodzina bowiem profesora Bécu żyła w ścisłéj bardzo przyjaźni z domem Jędrzeja Śniadeckiego i odwiedziny wzajemne, przedtém w Wilnie a potém na wsi, były częste.

W owéj grze wierszowanéj spotykamy téż imiona: Aleksandry i Hersylii, dwóch przybranych sióstr Słowackiego [1]; Ludwiki, Zofii (Michaliny Balińskiéj) i Józefa, bez wątpienia dzieci Jędrzeja, oraz pannę Anielę Wendorf, prawdopodobnie siostrę stryjeczną Ewy z Wendorfów Felińskiéj. Może najżywszy bierze w niéj udział Ludwika Śniadecka, dla któréj, jak wiadomo, Słowacki już w 17ym roku życia swojego zapłonął silném bardzo uczuciem.

Krótką, lecz dosadną jéj charakterystykę daje prof. Małecki.

Była tkliwą, czułą, ruchliwéj wyobraźni, wykształconą starannie, trochę nawet sawantką nie bez skłonności do poetycznych zachwytów i posuniętych czasami aż do ekscentryczności uniesień. Stąd téż jéj pytania w „Sekretarzu" i odpowiedzi nader trafne cechują oczywiście umysł bystry i wykształcony.

Oto niektóre, dla przykładu, wyjątki, boć trudno przypuścić, ażeby to być miały wypisy ze znanych autorów, co zresztą sprawdzić jest niepodobieństwem.

D. (emande). Louise. Entre plaisir et bonheur quelle est la différence?
R. (éponse) la même. Le premier laisse regret, le second laisse souffrance.
D. Louise. Des émotions laquelle fait tressaillir votre coeur,
Des illusions la quelle y éveille le bonheur?
R. Angélique. La vue de ce qu'on aime fait tressaillir notre coeur
L'illusion qu'il nous aime y éveille le bonheur.
D. Hersilie. Que faut il pour plaire aux femmes?
R. Louise. De l'esprit, du sentiment,
De la mélancolie quelquefois,

---

[1]) Aleksandra Bécu była pierwszą żoną Józefa Mianowskiego, późniejszego rektora Szkoły główněj warszawskiéj. Hersylia wyszła za Teofila Januszewskiego, wuja Słowackiego.

Des grâces, de l'enjouement,
Et le charme de notre choix.

albo:

Pour plaire il n'y a point de loi,
Car on aime souvent sans savoir pourquoi.

D. Alexandrine. D'une femme quel est le plus grand dévouement?
R. Louise. Abjurer ses voeux les plus chers
Pour suivre ses devoirs amers.
D. Hersilie. A quoi sacrifierez vous votre bonheur?
R. Louise. Du bonheur le pénible abandon
Ne peut être fait qu' à la raison,
Mais rarement elle nous recompense
De la perte de l'espérance.
D. Louise. Des orages quel est le plus affreux?
R. La même. Du coeur et de la raison le combat douloureux.
D. Hersilie. Pourquoi, s'il est doux d'être aimé,
Ce bonheur nous rend-t-il malheureux?
R. Louise. La fleur la plus charmante et la plus parfumée,
Quelquefois des poisons cache le plus venimeux.
D. Louise. Sur le chemin sombre de l'existence
Quelle lumière nous guide?
R. Alexandrine. La raison et l'expérience.
D. Hersilie. Pourquoi la raison si nécessaire à l'amour
L'abandonne-t-elle presque toujours?
R. Louise. L'amour est un enfant gâté qui n'ecoute personne,
Et comment voulez vous que cet enfant raisonne?
D. Quel état dans la vie demande la plus grande vertue?
R. Louise. Celui, qui en exigeant la patience
Nous ravit l'espérance.
D. Alexandrine. De la coquetterie quel est l'avantage?
R. Louise. Dans la coquetterie tout est désavantage,
Mais si quelque chose en donnait le désir,
Ce serait d'inspirer l'amour sans le sentir.
D. Alexandrine. Qu'est-ce qui nous blesse le plus?
R. Louise. L'amour propre des autres
Qui n'entend pas le notre.

W zabawie téj brał nawet udział i sam gospodarz domu, gdyż nie kto inny jest: „André S." Na zapytanie córki swéj Ludwiki:

Des biens de la terre lequel choisissez-vous?

odpowiedział Jędrzéj Śniadecki:

Celui d'être bien portant et toujours un peu fou.

Potém grę prowadzono po polsku, a kończy się ona w ten sposób:

Aniela. Piękność twoja niejednego czaruje,
Ludwika. Ja ci ich wszystkich daruję...

Na ostatniéj stronicy jest jeszcze zagadka francuska:

Quatre membres font tout mon bien,
Mon dernier est mon tout, et mon tout n'est rien.

a potém logogryf, wpisany ręką pani Bécu, i na tém kończy się sztambuch matki Słowackiego...

Lecz sądzę, że w opisie „zielonéj" książeczki pominięto rzecz bardzo cenną. Może jéj brakło już dawno, może ją przepisano w „ponsowym" sztambuchu, na jednéj z tych kart, które tak nieoględnie wydarto. Był to wiersz Adama Mickiewicza, wpisany najniezawodniéj do owego poprzedniego sztambucha, do „zielonéj" pani Bécu książeczki ręką poety przed samym wyjazdem swym z Wilna.

Wiersz ten znany z wydania zbiorowego pism Mickiewicza p. t.: „Do S. B.", w imionniku, lub téż: w imionniku Salomei Bécu, ogłosił po raz pierwszy Odyniec w noworoczniku „Melitele" z 1829 r.: „Do S. B. w Imionniku", położywszy na końcu datę: „1824 r. 24 października w Wilnie".

Od téj pory wiersz ten pod tym tytułem lub téż: „W imionniku S. B." i z tą samą datą, lub: „Wilno, 1824 r.", spotykamy w wydaniach zbiorowych pism Mickiewicza od 1832 do 1860 r. Dopiéro w wydaniu lwowskiém z 1885 r. dodano w przypisku: „Matki Juliusza Słowackiego".

Zmiany tekstu w wydaniach tych są bardzo nieznaczne; nie posiadając atoli autografu, trudno było orzec, który z tych tekstów jest autentycznym i czy należało za taki uważać tekst przez Odyńca podany.

Przed niedawnym dopiéro czasem, dowiedziawszy się o istnieniu autografu, postarałem się o odbicie fotograficzne, które pozwoli nam sprostować tekst dotychczasowy i dorzucić kilka do wiersza tego nieznanych szczegółów.

Oto kopia dosłowna z autografu:

Jaśniały chwile szczęśliwsze, niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi było łatwiéj o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.
Ryknęły burze, ciągłe leją słoty,
Trudno wynaléść na ojczystéj błoni,
Trudno wynaléść, gdzie kwiat błyskał złoty
Listka dla przyjaznéj dłoni.
Co wynalazłem, niech tobie poświęcę!
Racz wdzięcznie przyjąć chociażby z téj miary,

Że był [1] ten listek w przyjacielskiéj ręce,
Że to ostatnie są dary.

Adam Mickiewicz,

R. 1824. D. 22 w kilka godzin po odebraniu roskazu oddalenia [2]) z Litwy".

Przy porównaniu autografu z tekstem, podanym przez Odyńca, i Biegeleisena, w wydaniu lwowskiém dzieł Mickiewicza z 1893 r., znajdujemy, że w wierszu pierwszym zamiast:

Minęły chwile szczęśliwsze, niestety!

winno być:

J a ś n i a ł y chwile szczęśliwsze, niestety!

Zamiast:

Kiedy mi ł a t w i é j b y ł o o bukiety;

winno być:

Kiedy mi było łatwiéj o bukiety;

wreszcie w przedostatnim wierszu:

Że był ten listek w przyjacielskiéj ręce,

podano w „Meliteli" tak, jak w autografie, gdy tymczasem p. Biegeleisen przytacza:

Iż był ten listek w przyjacielskiéj ręce.

Też same waryanty, co w wydaniu p. Biegeleisena, znajdują się i w warszawskiém z 1888 r., gdzie nadto w ostatniéj zwrotce, najwidoczniéj przez pomyłkę, powiedziano niewłaściwie:

Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z téj w i a r y,

zamiast:

Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z téj m i a r y.

Po ustaleniu tekstu łatwo sprostować i datę.

Dzień 24 października, podany przez Odyńca, był dniem wyjazdu Mickiewicza z Wilna. Tegoż dnia poeta wraz z braćmi: Aleksandrem i Jerzym, zdał wszystkie sprawy majątkowe na brata Franciszka. Nie była to więc w żadnym razie chwila odpowiednia dla

---

[1]) Wyraz ten w autografie poprawiony.

[2]) Wyraz ten również w autografie poprawiony.

wpisywania wierszy do pamiątkowych sztambuchów. Mógł to uczynić przedtém i dlatego téż dopisek w autografie: „d. 22 (października) w kilka godzin i t. d." jest zupełnie zgodny z okolicznościami tego wydarzenia. Albowiem, wedle opowiadań Odyńca, d. 22 października kapitan kwartalny, Krukowski, wręczył Mickiewiczowi rozporządzenie władzy, ażeby pojutrze rano gotów był do wyjazdu do stolicy Cesarstwa [1]).

Leopold Méyet.



---

[1]) Na ową chwilę przypada téż i wiersz, wpisany do albumu Ludwiki Mackiewiczówny na prośbę jéj narzeczonego, Ignacego Chodźki, rozpoczynający się od słów: Nieznajoméj dalekiéj—nieznany daleki.

Nadto z tąż datą 22 Października znajdujemy w nowszych wydaniach czterowiersz, wpisany w sztambuchu Maryli, którego motto: „Nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo felice nella miseria" zupełnie odpowiadało nastrojowi danéj chwili i wewnętrznemu usposobieniu poety.

Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

Argon, nowy gaz w atmosferze. — Sposoby dobywania argonu i jego własności.— Nowa metoda otrzymywania acetylenu. — Acetylen w gazie oświetlającym. — Jak powstaje płomień. — Zastosowania acetylenu w technice i w chemii. — Postępy elektrotechniki.—Prądy zmienne. — Doświadczenia Tesli. — Lampy bez drutów.— Światło przyszłości.

Od czasów Scheelego, Priestleya i Lavoisiera chemicy najgorliwiéj zajmowali się badaniami nad składem powietrza, i zdawać się mogło, że nauka nic nowego w tym zakresie już nie zdobędzie. Stwierdzono niezliczoną moc razy, że powietrze składa się w $^1/_5$ części z tlenu, w $^4/_5$ z azotu i że do tych składników stale przybywa jeszcze dwutlenek węgla (t. zw. kwas węglany) i para wodna oraz zmienne, lecz zawsze bardzo drobne ilości związków azotu z tlenem, tudzież przypadkowe domieszki gazowe, zależne od miejsca, skąd brano powietrze do rozbioru. Lecz oto niespodzianie ogłoszono światu interesującą nowinę, iż wykryty został w atmosferze gaz nowy, dawniéj przez nikogo nie poznany, gaz, którego ilość wynosi do 1% ogólnéj objętości powietrza. Odkrycie to z początku mało budziło zaufania, choć przemawiali za niém dwaj pierwszorzędni uczeni. Dziś wszakże, kiedy złożono dowody istnienia nowego gazu tak przekonywające, że wszelkie wątpliwości zostały usunięte, kiedy gaz ten zebrano w dostatecznych ilościach i zbadano najważniejsze jego własności, wypada nam koniecznie zaregestrować ten nowy tryumf chemii i z nowo odkrytym faktem liczyć się poważnie. Lord Rayleigh i profesor Ramsay byli

tyle ostrożni i wstrzemięźliwi, że wówczas dopiéro podzielili się swém odkryciem z uczonym światem, kiedy mogli mu przedstawić swą pracę w wykończonéj formie, kiedy już nowo zdobyty przez nich fakt nie mógł wzbudzić sporów i polemiki, lecz tylko zapał i uznanie. Pouczającém jest niezmiernie, jaką drogą ci dwaj chemicy angielscy doszli do wykazania w atmosferze nowego gazu. Historya tego najnowszego odkrycia wyjaśnia również do pewnego stopnia, dlaczego tak długo trzeba było na nie czekać, dlaczego, pomimo tylokrotnych analiz powietrza, nikt dotychczas nie podejrzywał, że jest jeszcze jakaś nieznana nam materya gazowa w atmosferze.

Lord Rayleigh zajęty był czysto teoretycznemi badaniami nad gęstością, ciężarem właściwym rozmaitych gazów. Otóż uderzyła go ta okoliczność, że azot, brany wprost z atmosfery, gdzie znajduje się mechanicznie zmieszany z resztą składowych części powietrza, ma gęstość nieco większą od azotu, który wydzielamy ze związków chemicznych. Ażeby otrzymać azot z powietrza, postępujemy w ten sposób, że pozbawiamy powietrze wszystkich innych części składowych, a zbieramy tylko pozostałą resztę. Taką metodą posługujemy się dlatego, że azot stanowi ciało w wysokim stopniu chemicznie obojętne, t. j. z największą zaledwie trudnością dające się łączyć z innemi materyami i to z bardzo niewielu, gdy tymczasem inne części składowe powietrza można dość łatwo wiązać z wieloma rozmaitemi związkami chemicznemi. Tę zatém część powietrza, która pozostaje po wydzieleniu zeń tlenu, dwutlenku węgla, pary wodnéj oraz domieszek związków tlenu z azotem i t. p., a która odznacza się właściwą azotowi obojętnością chemiczną, uważano dotychczas za złożoną całkowicie tylko z azotu. I w téj właśnie części powietrza obok azotu wykryto małą zawartość nowego ciała gazowego, które swą obojętnością, biernością chemiczną przewyższa jeszcze azot.

Azot, przyrządzany ze związków chemicznych, np. przez rozkład azotanu amonu, miał stale gęstość mniejszą od azotu powietrznego. Można przeto było przypuszczać, że azot atmosferyczny jest zanieczyszczony domieszką jakiegoś ciała, którego ciężar właściwy większy jest od ciężaru właściwego azotu. I przypuszczenie to istotnie okazało się słusznem.

Oddawna bardzo wiadomo już, że pod wpływem wyładowań elektrycznych tlen z azotem łączą się, wytwarzając kilka rozmaitych połączeń chemicznych. Ażeby wszakże całkowity azot, zawarty w danéj objętości powietrza, przeprowadzić w związek z tlenem, nie wystarcza ilość tlenu, w téjże objętości powietrza znajdująca się. Potrzeba przeto koniecznie w tym celu doprowadzić jeszcze z zewnątrz

czystyn tlen. Już Cavendish wszakże zwrócił uwagę na to, że choćby jaknajwiększych użyto ilości tlenu, zawsze pozostanie jakiś drobny ułamek azotu, który w żaden sposób z tlenem się nie połączy. Trudno byłoby zrozumiéć to osobliwe zachowanie się téj nieznacznéj, ostatniéj cząstki azotu, gdyby ona miała być istotnie niczém innéın jak znanym nam azotem powietrznym. Odkrycie obecne Rayleigha i Ramsaya wyjaśnia znakomicie zagadkę, napotkaną przez Cavendisha, a przez nikogo z następców jego nierozwiązaną, kto wié nawet, czy nie zapomnianą. Ta właśnie pozostała reszta, która z tlenem się nie łączy przy najsilniejszych nawet wyładowaniach elektrycznych, jest teraz dopiéro poznanym gazem, który ochrzczono mianem „argon" (skrócone z greckiego *an-ergon*—nieczynny).

Inny jest jeszcze sposób dobywania argonu z powietrza, polegający na tém, że z mieszaniny tego gazu z azotem ten ostatni wydzielony zostaje przez rozżarzony magnez. Magnez jest jednym z bardzo nielicznych pierwiastków, które w pewnych warunkach bezpośrednio dają się z azotem połączyć.

Rayleigh i Ramsay przyrządzili dostateczną ilość nowego gazu, ażeby zbadać jego własności chemiczne. Trudności niepomierne napotykano, chcąc uwolnić argon od ostatnich, najdrobniejszych śladów azotu. Gdy się wreszcie o zupełnéj czystości argonu przekonano przez zbadanie jego widma, można było przystąpić do określenia najważniejszych cech fizycznych. Istotnie okazało się, że gęstość argonu jest większa od gęstości azotu. Kiedy ciężar właściwy tego ostatniego w stosunku do wodoru wynosi 14, argon waży w stosunku do wodoru 20 razy więcéj. Opierając się na téj różnicy gęstości pomiędzy azotem i argonem, Rayleigh i Ramsay obmyślili piękną metodę, która co prawda nie pozwala wprost wydobywać argonu z powietrza, lecz jednakże ilość jego w powietrzu zwiększać. Znaném jest ogólnie odkrycie Grahama, że gazy dyfundują przez porowate błony z szybkością odwotnie proporcyonalną do swéj gęstości. Otóż można było wykazać, że gdy zmuszano powietrze do przepływania przez porowate rury z gliny, wówczas część powietrza nie wyssana z naczyń coraz więcéj obfitowała w argon. Inny sposób, również mogący służyć do tego, ażeby powietrze wzbogacić w argon, opiéra się na tém, że gaz ten w wodzie znacznie łatwiéj się rozpuszcza, aniżeli tlen i azot. Jeżeli więc np. z rozpuszczonego w wodzie deszczowéj powietrza wypompować to ostatnie i następnie wydobyć zeń argon, otrzyma się wydajność większą, niż gdyby wzięto powietrze bezpośrednio z atmosfery.

Profesor Olszewski w Krakowie skroplił argon pod ciśnieniem

50.6 atmosfer przy temperaturze — 121^0 i otrzymał ciecz bezbarwną, która przy—189.6^0 krzepnie w białe kryształy.

Najbardziéj przekonywających dowodów na to, że istotnie mamy tu do czynienia z gazem nowym, dotychczas nieznanym, dostarczył znany badacz angielski Crookes, który zajął się poszukiwaniami nad widmem argonu. To widmo różni się tak wyraźnie od widma innych pierwiastków i związków chemicznych, że nie ulega wątpliwości, iż odkryto w argonie nową zupełnie materyą chemiczną, tém więcéj ineteresującą, że wszelkie manipulacye chemiczne, jakim poddawano ją dotychczas, wydały same tylko rezultaty odjemne. Argon tak jest oporny na wszelkie działania innych pierwiastków i związków chemicznych, że nie zdołano go z niczém połączyć, choć próbowano tego w najrozmaitszych warunkach temperatury i ciśnienia, pod wpływem działań elektrycznych i t. d. I rozkład argonu na prostsze, elementarne części składowe również się nie powiódł, mamy przeto wszelkie prawdopodobieństwo, że nie jestto nowe ciało, lecz i nowy pierwiastek. A choć w przyjętym dość ogólnie układzie, systemie pierwiastków argon nie daje się wprost pomieścić, nie może to jednakże przemawiać przeciw jego elementarnéj naturze chemicznéj. Trudno bowiem twierdzić, że układ, t. zw. peryodyczny pierwiastków, którego twórcami głównymi są znakomici chemicy Mendelejew i Mayer, zwycięsko przeszedł wszystkie próby ogniowe. I przed odkryciem argonu można było wskazać i wskazywano istotnie niejeden punkt słaby w tém bądź co bądź piękném i pomysłowém uogólnieniu faktów chemicznych. I wciąż jeszcze układ ten uważać należy tylko za hypotetyczne, obrazowe uzmysłowienie zawiłych stosunków, wiążących ze sobą poszczególne pierwiastki, nie zaś za istotny fakt przyrodniczy. Argon — jeżeli w saméj rzeczy jest pierwiastkiem chemicznym — wnosi tylko jedną jeszcze anomalią do peryodycznego układu i zakłóca porządek, który pozornie tylko systematyzuje postaci materyi występujące w przyrodzie.

W innym jeszcze kierunku, bardziéj praktycznym, wypada nam zanotować nowe odkrycie chemiczne, którego należyte wyzyskanie sprowadzić może znakomity postęp w technice oświetlania gazowego.

Znany jest oddawna chemikom gaz złożony z węgla i wodoru, t. zw. acetylen, który w małych ilościach występuje jako część składowa gazu oświetlającego. Acetylen można otrzymać bezpośrednio ze składających go pierwiastków, lecz sposobem nader zawiłym i kosztownym. Trzeba mianowicie w tym celu pomiędzy biegunami czyli elektrodami z węgla, umieszczonemi w atmosferze wodoru, przepusz-

czać silny prąd elektryczny, wytwarzając t. zw. łuk Volty. Inny jeszcze, bodaj czy nie kosztowniejszy sposób przyrządzania acetylenu polega na tém, że z metalu wapnia i węgla w odpowiednio wysokiéj temperaturze wytwarza się połączenie, węglik wapnia, które pod wpływem wody ulega następującemu rozkładowi: wapień z owego połączenia przyciąga tlen zawarty w wodzie, z czego powstaje wapno (tlenek wapnia), węgiel zaś łączy się z wodorem wody i tworzy się acetylen. Gdy zważymy, że otrzymanie metalicznego wapnia, potrzebnego tu dla przyrządzenia węglika wapnia, należy do najtrudniejszych i najkosztowniejszych manipulacyi chemicznych, pojmiemy, że i tym sposobem nie można wytworzyć acetylenu dla celów technicznych. Z drugiéj wszakże strony rozumiano już oddawna, że gaz o własnościach takich, jakie posiada acetylen, mógłby ważne mieć zastosowania do oświetlania, gdyby tylko wykryto tani sposób przyrządzania go.

Płomień światła gazowego powstaje wskutek rozżarzenia mnóstwa drobniutkich cząstek węgla w atmosferze takich gazów, które same przez się spalają się bez jasnego płomienia. Wodór czysty, jak wiadomo, jest gazem palnym, lecz paląc się, nie daje świécącego płomienia, jeżeli sztucznie w płomieniu tym nie umieścimy jakiego ciała, dającego się rozżarzyć do jasności. Płomień świécy, nafty, gazu oświetlającego świéci jasno dlatego tylko, że rozkładające się przytém wymienione materyały oświetlające wytwarzają w wysokiéj temperaturze gazy płonące, w których skład wchodzi węgiel, rozżarzający się podczas tego rozkładu do jasności. Dopiéro w zewnętrznéj części płomienia tam, gdzie temperatura jest najwyższa, owe unoszące się we wnętrzu płomienia stałe cząstki węgla spalają się całkowicie, t. j. łączą z tlenem zawartym w powietrzu i dają dwutlenek węgla. Gdy skład masy oświetlającéj jest tego rodzaju, że podczas rozkładu wydziela się zbyt mała, niedostateczna ilość węgla, wówczas oczywiście jasność płomienia będzie nieznaczna, gdyż mało tylko stałych cząstek w nim się unosi. Gdy natomiast węgla zbyt dużo wydziela się w płomieniu, tak dużo, że tlen powietrzny, mający do płomienia dostęp, nie może dość szybko spalać całkowitéj masy węgla, natenczas nadmiar tego ostatniego unosi się bez zmiany, osiada w powietrzu i na otaczających przedmiotach — otrzymujemy płomień kopcący. Należyta jasność płomienia zależy przeto przedewszystkiém od odpowiedniego stosunku węgla, wydzielanego podczas rozkładu oświetlającego materyału, do tlenu, mającego dostęp do płomienia. Jasność płomienia zmienia się zatém wraz ze składem gazu oświetlającego. W zwykłym zaś gazie, używanym obecnie do oświetlania, przeważają ilościowo

materye zbyt mało zawierające węgla. Z węglowodorów (związków wodoru i węgla), wchodzących w skład gazu oświetlającego, acetylenu jest stosunkowo najmniéj, a acetylen właśnie najwięcéj z nich wszystkich zawiéra węgla w stosunku do wodoru. Sam acetylen, spalany w zwykłych lampach gazowych, daje płomień mocno kopcący. Gdy natomiast do zwykłego gazu oświetlającego dodać w odpowiedniéj ilości acetylenu, otrzymać można płomień bynajmniéj nie kopcący, a jednocześnie o znacznie większéj intensywności światła. Metody fabrykacyi gazu oświetlającego (t. zw. sucha destylacya węgla) nie dały się tak udoskonalić dotychczas, abyśmy mogli korzystnie dla efektu świetlnego otrzymać większą ilość acetylenu w wytworzonym produkcie. I oto chemikowi angielskiemu, J. L. Wilsonowi udaje się rozstrzygnąć to zadanie na innéj, niemniéj prostéj drodze, mianowicie przez wynalezienie metody, pozwalającéj w tani, ekonomiczny sposób wytwarzać tak drogi dotychczas acetylen.

Wilson zajęty był badaniem wpływu silnych prądów elektrycznych na mieszaniny rozmaitych ciał chemicznych. Pomiędzy innemi poddal on działaniu łuku Volty mieszaninę zwyczajnego, pospolitego wapna i węgla. Powstaje przytém ciekła masa, która po ostygnięciu krzepnie na twarde, mocno zbite bryły. Na razie Wilson nie widział żadnego pożytku z téj masy i wyrzucał ją jako bezwartościową. Przypadek wszakże zrządził, że bryła jedna znalazła się w zetknięciu z wodą, a wskutek tego poczęło się gwałtowne wydzielanie gazu, którego bliższe zbadanie okazało, że jestto czysty acetylen. Wapno z węglem oczywiście więc dało w wysokiéj temperaturze ten sam węglik wapnia, który dotychczas znany był tylko jako wytwór chemiczny czystego metalicznego wapnia i węgla. Możność otrzymania tak cennego gazu, jakim jest acetylen, z tak pospolitych i tanich materyałów, jak węgiel i wapno, pobudziła Wilsona do badań nad zużytkowaniem acetylenu do celów oświetlenia.

Co się tyczy przedewszystkiém siły światła, to należy pamiętać, że spalany w odpowiednich palnikach, małym i cienkim płomieniem, acetylen posiada wartość 15 razy większą od zwykłego naszego gazu oświetlającego. Innemi słowy, dla otrzymania jednakowéj intensywności światła potrzeba 15 razy mniejszéj ilości acetylenu, aniżeli gazu oświetlającego. Lecz, jak już wspomnieliśmy, w lampach obecnie używanych mamy zbyt niedostateczny dopływ powietrza, ażeby módz dobrze spalać acetylen, a dzięki temu otrzymujemy tu płomień kopcący. Doskonałe natomiast rezultaty otrzymano już przy mieszaniu acetylenu z powietrzem i paleniu takiéj mieszaniny, a również przy mieszaniu acetylenu ze zwykłym, obecnie używanym do oświetlania ga-

zem. Najlepszemi okazały się mieszaniny 4 części powietrza z 5 częściami acetylenu. Przy mieszaniu wszakże powietrza z acetylenem pamiętać trzeba, że łatwo jest otrzymać mieszaniny wybuchowe.

Niezmierną dla celów praktycznych dogodność przedstawia acetylen z tego względu, że daje się łatwo zagęścić na ciecz. Do skroplenia acetylenu potrzeba przy temperaturze 0^0 użyć ciśnienia $21^1/_2$ atmosfery. W tym stanie łatwo jest go przechowywać w butelkach stalowych, z których przy pomocy odpowiednio urządzonego kranu można upuszczać tyle gazu, ile właśnie w danéj chwili potrzeba. Mamy tu więc gaz oświetlający, skupiony w przenośném naczyniu i pozyskujemy możność korzystania z tego gazu, bez pośrednictwa rur, łączących z miejscem jego wytwarzania. Możnaby równie pomyśléć o zbiorniku, w którym znajdowałaby się bryła węglika wapnia i do którego przypływałaby woda. Odpowiednio regulując dopływ wody, moglibyśmy otrzymywać słabszy, lub obfitszy strumień palnego acetylenu.

Jak wynalazek Wilsona da się wyzyskać dla celów oświetlenia, trudno to jeszcze w téj chwili dokładnie powiedziéć. Bądź co bądź widać z powyższego, że należy tylko przezwyciężyć pewne trudności techniczne, aby pozyskać nowe, bardzo wydatne źródło światła, które bezwątpienia współzawodniczyć będzie mogło z dzisiejszemi metodami oświetlania. Nie na tém wszakże koniec. Nowa metoda przyrządzania acetylenu, najprostszego — rzec można — połączenia węgla z wodorem, otwiéra widoki bardzo rozległe dla pracy chemika-syntetyka. Acetylen bowiem należy do ciał, nader energicznie wstępujących w rozmaite reakcye chemiczne. W najróżnorodniejszy sposób przeobrazić go jesteśmy w stanie w najrozliczniejsze inne ciała chemiczne. Można zeń bezpośrednio otrzymać benzol, naftalinę, a z tych ostatnich znów olbrzymi szereg najcenniejszych substancyi, przyrządzanych obecnie z produktów destylacyi węgla, jak np. niezliczoną moc najpiękniejszych barwników t. zw. smołowych. Zna też chemik sposoby przyłączania wodoru do acetylenu, dzięki czemu otrzymuje t. zw. etylen, który z kolei łatwo jest przeprowadzić w alkohol i eter. Obfite bogactwo związków węglowych powstaje zatém przed oczyma chemika drogą najprostszéj, naturalnéj budowy przez syntezę, która za punkt wyjścia obiéra najprostszy związek węglowy—acetylen, przyrządzany w sposób łatwy, tani, ogólnie dostępny.

A jednakże, pomimo wszelkich udoskonaloneń w dziedzinie techniki oświetlania gazowego, liczyć się trzeba poważnie z imponującemi prawdziwie postępami, jakie w zakresie oświetlania zdobywa sobie elektrotechnika. Współzawodnictwo światła elektrycznego z dotych-

czasowemi sposobami oświetlania staje się niemal z dnia na dzień tak zaostrzoném, a z drugiéj strony usiłowania „techników gazowych” w kierunku najekonomiczniejszego wyzyskania siły świetlnéj zawartéj w gazie tak racyonalnie i gorliwie są prowadzone, że niełatwo jest przewidzieć obecnie, jakim w najbliższéj przyszłości będzie wynik téj walki. Zapewne, specyficzne warunki miejscowe rozstrzygają w podobnych wypadkach najczęściéj i przeważają szalę to na tę, to na ową stronę. Lecz pamiętać znów wypada, że badania w dziedzinie elektryczności prawie bezustannie przynoszą nam nowe niespodzianki, jedne większe od drugich. Teoretyczne poszukiwania nad istotą elektryczności, nad jéj objawami w najrozmaitszych warunkach idą ręka w rękę z praktyczném zastosowaniem téj siły, która dziś już w najrozliczniejszych kierunkach znakomite oddaje nam usługi. Rozwój elektrotechniki jest tak szybki, tak zwycięsko pokonywa największe trudności, że zadania, które śmiesznemi niemal wydałyby się jeszcze 20 lat temu, podejmowane są dziś poważnie i z całém zaufaniem w ich urzeczywistnienie. Nową sferę takich zadań, wielkie nieuprawne pole najzawilszych na pozór zastosowań, mają przed sobą doświadczenia elektryczne Mikołaja Tesli, które w ostatnich czasach wprowadzają w zdumienie świat naukowy.

Tesla w doświadczeniach swych posługuje się nie zwykłemi prądami elektrycznemi, które płyną po przewodnikach w jednym zawsze kierunku, lecz t. zw. prądami zmiennemi, które w przewodnikach ustawicznie zmieniają swój kierunek, płynąc to w tę, to znów w przeciwną stronę. Kierunek ten zmienia się z mniejszą lub większą szybkością, lecz zawsze regularnie, w określoném tempie, tak iż powodują niejako drgania elektryczne, oscylacye elektryczności, płynącéj tam i z powrotem w przewodniku. Te zmienne prądy elektryczne posłuszne są naturalnie innym zupełnie prawom, aniżeli prądy płynące w jednym zawsze kierunku. Jeżeli wyobrazimy sobie, że w rurze zamkniętéj i wypełnionéj wodą znajduje się tłok, który z zewnątrz może być przesuwany w jednę i drugą stronę, i jeżeli przypuścimy, że tłok ten posuwa się tam i z powrotem z równomierną szybkością, będziemy w ruchu masy wodnéj mieli obraz przybliżony zmiennego prądu. Oczywiście ruch wody zależny jest od jéj bezwładności i potrzeba siły pewnéj, wstrząśnienia, posunięcia dla powstrzymania ruchu i również siły potrzeba dla skierowania ruchu w przeciwną stronę. Siła ta tém jest większa, im większą jest intensywność ruchu, czyli im szybciéj dochodzą drgania, osylacye. Prawa, rządzące prądami zmiennemi, tém więc bardziéj uchylają się od praw dotyczących zwykłych prądów, im prędzéj odbywają się w nich drgania, a własności, objawy, skutki

sprawiane przez te zmienne prądy mogą być bardzo różne. zależnie od szybkości tych drgań.

Elektrotechnika posługuje się w ostatnich. czasach prądami zmiennemi. Prądy stosowane obecnie do przenoszenia siły, wykonywają w sekundę 50 do 130 drgań, t. j. tyle razy podczas sekundy prąd zmienia swój kierunek. Znane są dziś ogólnie prawa, według których działają zmienne prądy o téj szybkości (częstości) drgań. Inaczéj wszakże ma się z prądami stosowanemi przez Teslę. Tutaj mamy do czynienia z prądami o 15,000 drganiach na sekundę. I nie są to bynajmniéj najszybsze drgania prądów zmiennych, jakie dotychczas osiągnięto. W wiekopomnych swych badaniach fizyk niemiecki Hertz dochodził do prądów o 5 milionach drgań na sekundę. Jeżeli w jakiémkolwiek miejscu przewodnik, po którym biegły podobnéj szybkości prądy zmienne, został przerwany, można było dowieść wówczas, że w otoczeniu rozchodziły się od przewodnika na wszystkie strony niewidzialne promienie, zachowujące się we wszystkich swych własnościach podobnie do promienia światła. Hertz, jak wiadomo, dowiódł, że prawa rządzące promieniami świetlnemi, dotyczą w zupełności i promieni elektrycznych i doszedł tym sposobem do jednego z najpiękniejszych uogólnień w badaniu praw przyrody. Te teoretyczne, największéj doniosłości tryumfy nauki nie mogły wszelako bezpośrednio praktycznie być spożytkowane, albowiem elektrotechnika posługuje się dotychczas energią elektryczną, przewodzoną po drutach, nie zaś promieniami elektrycznemi, swobodnie rozpraszającemi się w przestrzeni. W przenoszeniu siły za pomocą elektryczności, w wytwarzarzaniu światła elektrycznego, przewodniki mają pierwszorzędne znaczenie.

Mało wszakże wiadomo nam dotychczas o przenoszeniu się bardzo szybkich drgań elektrycznych w drutach. Tyle udało się jednak dowieść na pewno, że w tych warunkach energie elektryczne, niejako cząstki masowe elektryczności nie rozchodzą się już równomiernie we wnętrzu przewodnika, lecz dążą ku powierzchni i tém więcéj się na niéj skupiają, im liczba drgań jest większa. Doświadczenia Tesli istotnie dowodzą, że przy prądach o bardzo szybkiéj zmienności elektryczność płynie prawie wyłącznie na powierzchni przewodnika. Siła, z jaką zachodzi to płynięcie ku powierzchni, tak jest niekiedy znaczna, że z powierzchni przewodników spływa energia elektryczna i udziela się otoczeniu w sposób nawet dla oka widoczny: druty w ciemnym pokoju ukazują się niejako w świetlnéj elektrycznéj powłoce. Przerwanie przewodnika sprowadza za sobą gwałtowne strumienie elektryczne, spływające z wolnych końców drutów z taką siłą,

że otrzymać można potężne iskry i płomienie. Dążenie tego rodzaju prądu elektrycznego do rozlewania się po powierzchni przewodnika może tak bardzo wzrosnąć, że prąd w zupełności opuszcza przewodnik, jeżeli ten ostatni jest otoczony mocno rozrzedzonym gazem. Działanie takie spotęgować można nawet do takiego stopnia, że gaz rozrzedzony, zawarty w rurze szklanéj, poczyna świécić, gdy rurę trzymamy w pewném oddaleniu od przewodników, po których biegną szybko zmienne prądy elektryczne. Wiadomo, że rurki o rozmaitych kształtach, wypełnione rozrzedzoném powietrzem lub innemi gazami i u obudwu końców zaopatrzone w druciki (t. zw. rurki Geisslera) poczynają we wnętrzu swém świécić, gdy druciki te zostaną połączone z przewodnikami, po których biegnie prąd elektryczny. Doświadczenia Tesli usuwają konieczność łączenia bezpośredniego tych rurek z przewodnikami. Stosując szybko zmienne prądy, otrzymujemy światło elektryczne bez pomocy przewodników, bez używania drutów. Odpowiednia lampka elektryczna świéci sama, gdy ją ustawimy gdziekolwiek w przestrzeni, w któréj rozchodzą się wpływy od przewodników elektrycznych. Niewidzialna jakaś siła zapala taką lampę, w któréj nie ma ani cieczy oświetlającéj, ani gazu, ani drutów, łączących ją bezpośrednio ze zródłem elektryczności. To światło elektryczne, „światło przyszłości", jak je nazywa Tesla, pod wielu względami idealne przedstawia własności. Zwróćmy tu tylko uwagę na jedną ważną okoliczność, na to mianowicie, że przy wszystkich dotychczasowych sposobach oświetlania, znaczna część energii zużywanéj na wytwarzanie światła ginie z małym dla nas pożytkiem w postaci ciepła. W lampach gazowych zaledwie dwudziestą część energii wydobywamy w formie światła; dziewiętnaście dwudziestych rozprasza się jako ciepło. Wiadomo, że żarowe lampki elektryczne, obecnie używane, wytwarzają znacznie mniéj ciepła, niż płomienie gazowe; jeszcze mniéj ciepła produkują lampy łukowe. Pod względem technicznym przeto światło elektryczne jest wogóle ekonomiczniejsze od gazowego. Najidealniejszém światłem, jakie mamy dotychczas, jest światło robaczka świętojańskiego, gdyż prawie całkowita energia zostaje tu wyzyskana w postaci światła. Nowe światło Tesli zbliża się do tego ideału, bo prawie w zupełności jest wolne od ciepła.

Doświadczenia elektryczne, o których tu mowa, zbyt są nowe, ażeby mogły były już znaléść zastosowanie praktyczne. Kryją one jeszcze w sobie zapewne mnóstwo niespodzianek, bo niedostatecznie są zbadane dotychczas pod względem teoretycznym. Rzutki i niespokojny, a zadziwiająco wynalazczy umysł Tesli sięga tak daleko, że widzi już obecnie liczne pożytki ze zmiennych prądów o szybkich nie-

zmiernie drganiach i znacznych napięciach. Nikt, co prawda, powiedzieć nie może, że przepowiednie te prędzéj czy późniéj się nie ziszczą. Lecz tyle twierdzić można zawczasu, że urzeczywistnienie ich zależy [nadewszystko od doskonałego zrozumienia naukowego tych zjawisk, z któremi mamy tu do czynienia. Właśnie w elektrotechnice teoretyczna praca naukowa okazała się najniezawodniejszą, niezbędną kierowniczką wszelkich praktycznych zastosowań. Od błędów i rozczarowań ustrzedz nas może tylko najgłębsze poznanie tych zjawisk, które zamierzamy wyzyskać w życiu codziennem. Surowa empirya może często poddać myśl doskonałą lub wykryć nieznane zjawisko. Ale tylko naukowe poznanie pozwala z całą świadomością pożytków i strat korzystać z tego zjawiska. Słynny Werner Siemens opowiada w swych „Wspomnieniach z życia" nader pouczający epizod. Kiedy układano pierwsze kable telegraficzne podmorskie, wielu uważało za zupełnie zbyteczne te metody naukowe, które opracował Siemens do elektrycznych badań nad kablami. Zwłaszcza Anglicy rozprawiali dużo o niepraktyczności owych subtelnych metod i pomiarów, podejmowanych na okrętach przy układaniu kabli, i sądzili, że zupełnie wystarcza staranne wykonanie mechaniczne dla uniknięcia w następstwie przykrych niespodzianek. Postępowanie Siemensa nazywali nawet niektórzy humbugiem naukowym. Kiedy wszakże przy układaniu kabla pomiędzy Suezem i Adenem nagle okazał się wielki błąd, uniemożliwiający telegraficzne porozumiewanie się i zagrażający milionowemi stratami, zwrócono się po daremnych próbach do Siemensa, ażeby odkrył miejsce, w którém kabel jest popsuty. Siemens przeprowadził pomiary i obliczenia, następnie polecił wyjąć kabel w pewném oznaczoném ściśle miejscu i błąd został wykryty. Kabel naprawiono, zażegnano milionowe straty i honor humbuga naukowego został ocalony

Maksymilian Flaum.



KWESTYA KOBIÉCA

w świetle nowszych badań biologicznych.

I.

Odkąd kwestya równouprawnienia kobiét stała się ruchem społecznym, odkąd przybrała realne kształty walki czynnéj, w któréj jedna strona wyraźnie formułuje swoje żądania, druga zaś strona najmniejsze ustępstwa z trudnością tylko wydrzéć sobie daje,—odtąd dla obudwu obozów przeciwnych głównym motywem, wysuwanym na pierwszy plan, głównym dowodem słuszności jest twierdzenie, lub zaprzeczenie twierdzenia o podrzędności kobiéty wobec mężczyzny. Rzecz naturalna, że obie strony mogą się wykazać dość poważną liczbą uczonych, którzy, traktując kwestyę teoretycznie, przechylają szalę bądź to na korzyść, bądź na niekorzyść tego twierdzenia. Nie brakło nawet u obu stron fanatycznéj zaciekłości: Z jednéj strony zagorzałe emancypantki, a zwłaszcza odcień ich, zwany w Anglii pod nazwą *feministek*, które walkę o wyzwolenie kobiéty identyfikują wprost z walką rodu kobiécego z rodem męskim, zapędzają się do zuchwałego twierdzenia, że nie ma i nie powinno być żadnych różnic między mężczyzną a kobiétą i że kobiéta, skoro tylko wszystko będzie dla niéj dostępne, przez samą wprawę i rozwinięcie wrodzonych zdolności, potrafi nietylko wyrównać mężczyźnie, ale go przewyższyć we wszystkich dziedzinach pracy umysłowéj i fizycznéj; z drugiéj znów strony przeciwnicy równouprawnienia dochodzą często do przesady.

Od najdawniejszych czasów niektórzy filozofowie i uczeni twierdzili, że kobiéta jest niezupełnie rozwiniętym mężczyzną i opinia ta utrzymała się po dziśdzień. Darwinowska teorya doboru płciowego przyjmuje jeszcze jakąś „wyższość” płci męskiéj, jakieś „prawo dziedziczności” w granicach jednéj lub drugiéj płci. Wedle Spencera rozwój u kobiéty powstrzymywanym jest przez funkcyę rodzenia i karmienia dzieci. Czyli innemi słowy darwinowski mężczyzna jest kobiétą, która doszła do zupełnego rozwoju, a spencerowska kobiéta jest mężczyzną, którego rozwój został wstrzymany. Velpeau uważał samice za zdegenerowanie pierwotnéj męskości. Niektórzy uczeni, opiérając się na istnieniu pewnych rzekomo szczątkowych organów u mężczyzn i na problematycznych faktach tego rodzaju, jak np., że dziecko w czasie zupełnéj niemożliwości dostarczenia mu jakiéjkolwiek żywności potrafiło z piersi ojca wyssać mléko — dowodzą, że pierwotnie nie było zasadniczych różnic między płciami i że dopiéro z biegiem czasu płeć męska wyprzedziła znacznie w rozwoju płeć żeńską i zepchnęła ją do roli spełniania funkcyi fizyologicznych, rezerwując sobie misyę samodzielnéj pracy intelektualnéj około ciągłego postępu ludzkości.

W nowszych czasach stopniowe zaostrzanie się walki zwiększało także przesadność dowodzeń podrzędności kobiét. Włoski antropolog Sergi przypisuje kobiétom bardzo małą wrażliwość nerwową i dowodzi tego wielką wytrzymałością kobiét na bóle. Zdanie to potwierdza zmarły niedawno d-r Billroth, który właśnie z tego powodu wszystkie nowe metody operacyjne wypróbowywał na kobiétach. Do największéj ekscentryczności w tego rodzaju twierdzeniach dochodzi jednak Lombroso, który w dziele swém *La donna* odmawia kobiécie wszelkich dodatnich intelektualnych i moralnych własności, a nawet wszystkie już niezaprzeczenie dodatnie objawy u kobiét przerabia na dowody ich podrzędności. Mniejsza i rzadziéj u kobiéty występująca degeneracya odpowiada wedle Lombrosa mniejszéj zdolności do odmian — to zaś ma być pewną oznaką podrzędności. Rzadkość i monstrualność wrodzonéj natury zbrodniczéj u kobiéty ma być dowodem mniejszéj zdolności do silnych uczuć. Natomiast w każdéj normalnéj kobiécie tkwią wedle Lombrosa zarodki niemoralności; te przy niekorzystnych warunkach egzystencyi rozwijają się aż do „moralnego idyotyzmu”, którego typem jest „wrodzona prostytutka”.

W dość jaskrawéj sprzeczności z tém twierdzeniem, przytacza Lombroso również liczne dowody mniejszéj wrażliwości nerwowéj i płciowéj u kobiét i wywodzi z nich bardzo ważne następstwa dla psychologii kobiét, między innemi np. wrodzone ich okrucieństwo i ne-

ofobię, czyli wstręt do postępu. Twierdzenie ostatnie sformułował także Nordau w zdaniu, że kobiéta jest z natury nieprzyjaciółką postępu i najsilniejszą podporą reakcyi. Wszystkie te twierdzenia przy przedstawieniu fizyologicznych właściwości płci żeńskiéj znajdą odparcie, tu tylko na miejscu będzie przytoczenie zdania prof. Eulenburga, wyrażonego w krytyce dzieła Lombrosa. Wedle niego dotychczasowe badania téj kwestyi odbywały się na nadzwyczaj słabych podstawach doświadczalnych Pominąwszy już ogromne różnice indywidualne, to i stosunki czasowe, miejscowe, społeczne, wpływy klimatyczne i t. p. tak wielką odgrywają tu rolę, że wszelkie dotychczasowe starania wyciągania wniosków ogólnych ze stosunkowo małych szeregów liczbowych, zdobytych na również małych grupach badanych, żadnego prawie nie przyniosły owocu. Nadto i technika tych badań nie postąpiła jeszcze o tyle, aby ich rezultaty mogły być zestawione i różnice między niemi wyrównane. Zgodnie z tém francuski uczony Feuillet zarzuca, że w kwestyi stosunku obojéj płci i wyświetlania na téj podstawie problematów psychologicznych, moralnych i społecznych, zaniedbywano dotąd prawie zawsze uwzględniania przyczyn biologicznych. A jednak charakter człowieka otrzymuje koniecznie piętno jego organizmu, organizmowi zaś nadaje kierunek właśnie płeć osobnika. Feuillet w pracy swéj „Psychologia płciowa i jéj podstawy biologiczne" przedstawił próbę traktowania téj kwestyi ściśle tylko na podstawie badań biologicznych. Nowsze badania biologiczne umożliwiają dokładne scharakteryzowanie konstytucyi fizycznéj i duchowéj obojéj płci. Zwłaszcza w ostatnich dwóch latach nauka o utrzymaniu gatunku i o współudziale przytém każdéj płci, otrzymała kształty tak wyraźne, że odtąd już biologowie najważniejsze funkcye zapłodnienia uważać mogą, jako zupełnie znane. Rezultaty te mają nietylko nader ważne znaczenie fizyologiczne, ale nadto i filozoficzne. Jeżeli prawdą jest, że nauka moralności i socyologia powinny postępować śladem przyrody, nie na to tylko, aby rzeczywistość przyjmować i pojmować taką, jaką jest, ale i w tym celu, ażeby nie oddalić się w kierunku przeciwnym od ideału, mogącego być osiągniętym — wówczas nie można traktować obojętnie wielkich odkryć historyi naturalnéj, odnoszących się do genezy, charakterów i roli obojga płci w rozwoju życia ludzkiego. Różnice fizyczne i duchowe między mężczyzną a kobiétą mogą wzrastać lub zmniejszać się przez wychowanie, obyczaje i prawa, lecz zatarcie ich zupełne nastąpićby chyba mogło, gdyby rozwój ludzkości rozpoczął się nanowo, na całkiem nowych podstawach. To co zadecydowaném zostało u pierwotniaków — powiada fizyolog Geddes w dziele „O ewolucyi płciowéj" — nie może być zniesioném przez akt parlamentarny.

II.

Najnowsze odkrycia wykazały—wedle Feuillet'a — absolutną identyczność wartości pierwiastku męskiego i żeńskiego w sprawie utrzymania gatunku. Dowiedziono nawet, że embryon otrzymuje matematycznie równą porcyę substancyi macierzyńskiéj i ojcowskiéj, że dwa kapitały, składające się na początek życia, są pod każdym względem równoważne i uzupełniające się, co zarazem materyalnie tłómaczy fakt dziedziczności.

Gdy rozpoczęło się na ziemi życie organiczne, pierwotne twory rozmnażały się przez rozdzielanie; każda połowa rodzica stawała się potomkiem zupełnie równym rodzicowi. Był to niepodzielny tryumf dziedziczności. Znaną jest dziś ogólnie sztuczna reprodukcya przez szczepy i sadzonki, wykonywana bez ponownego łączenia się płciowego. W Anglii jest dość rozpowszechnioną wiérzba płacząca, ponieważ jednak nigdy tam nie zakwita, przeto każda pochodzić musi ze szczepienia, a zatém rozmnaża się metodą bezpłciową. U pierwotniaków rozmnażanie odbywa się prawie zapomocą przedarcia mechanicznego.

Pierwotna masa protoplazmy nabrzmiéwa zbytnio, przełamuje się i ratując się tym sposobem, równocześnie się rozmnaża. Dopóki rozmnażanie istot organicznych następowało tylko przez rozdzielanie się, postęp był wprost niemożliwym. Potomek był tylko cząstką rodzica i musiał oczywiście posiadać wszystkie jego właściwości. Dziś, gdy ogrodnik pragnie pewną odmianę rośliny utrzymać niezmienioną, nie posługuje się metodą rozmnażania zapomocą nasienia, która pomieszałaby charakter osobnika wybranego z cechami roślin zwyczajnych, lecz reprodukuje ją metodą bezpłciową przez szczepienie i otrzymuje tym sposobem egzemplarze zupełnie identyczne z rośliną, z któréj szczep został zdjęty. Gdyby litery alfabetu reprodukowały się przez podział — powiada Feuillet — wówczas *a* reprodukowałoby same *a*, *b* same *b*; lecz bez małżeństwa liter nie otrzymaliśmy nigdy Iliady lub Odysei. Każda z dwóch wielkich funkcyi życiowych, odżywianie i rozmnażanie wywołuje już w łonie zarodka żywego dwa rodzaje zmian wprost przeciwnych, z których jeden jest natury dośrodkowéj, drugi ośrodkowéj, jeden odpowiada nagromadzaniu, czyli dochodom, drugi wydatkom. Odżywianie składa się z jednéj strony z przyjmowania i asymilacyi, z drugiéj strony z wydatku i wydzielania, i wedle tego, który z tych prądów jest silniejszym, formuje się organizm bardziéj oszczędny lub bardziéj rozrzutny; w jednym przeważa kierunek wewnętrzny i rosnący, w drugim kieru-

nek zewnętrzny i malejący, który znajduje ujście w czynnościach mięśni i mózgu. Toż samo przy funkcyi reprodukcyi gatunku z jednéj strony potrzebném jest nagromadzenie materyałów, przeznaczonych do wzrostu drugiéj istoty, z drugiéj strony musi nastąpić oddzielenie téj istoty od siebie, a tém samém pewien wydatek z własnéj substancyi na korzyść drugiéj. Obie te funkcye, jakkolwiek zupełnie równoważne, mogą jednak znajdować się w rozmaitych proporcyach, i ta właśnie okoliczność, wedle najprawdopodobniejszéj hipotezy, spowodowała odróżnienie płci; przewaga kierunku dośrodkowego wyodrębniła płeć żeńską, przewaga odśrodkowego — płeć męską. Geddes przypuszcza, że skoro w komórce analogicznéj do komórek ameby, panująca z początku równowaga pomiędzy przybytkiem a ubytkiem zostanie zachwianą w ten sposób, że przez dłuższy czas zmiany natury asymilacyjnéj przeważają nad zmianami dysymilacyjnemi, wówczas w rezultacie następuje wzrost objętości komórki, a redukcya energii i ruchu czyli powiększenie energii potencyalnéj i zapasów odżywczych. Nieregularności konturów będą znikały stopniowo, komórka przyjmie kształt sferoidalny, stanie się podobną do jaja. Przeciwnie zaś, jeżli w komórce, będącéj z początku w równowadze zacznie przeważać kierunek odśrodkowy na dośrodkowym, uwalniająca się utajona energia ruchu znajdzie nazewnątrz wyraz w większéj ruchliwości, a zmniejszającéj się objętości; komórki najczynniejsze zaczną zmieniać kształt w ten sposób, aby módz najłatwiéj przemykać się przez płyn otaczający, wydłużą się w kształcie pręta, mającego z jednego końca jakby głowę, z drugiego spiczasty ogon.

Polaryzacya żeńska lub męska ma więc swój początek w przewadze dążności dośrodkowych lub odśrodkowych.

Po kilkakrotném wyodrębnianiu się komórek żeńskich i męskich — co w dalszym ciągu odbywa się bardzo szybko, żywioł żeński i męski stanowią każdy dla siebie jakby pół ziarna o odrębnéj polaryzacyi, z których każde musi być uzupełnione przez drugie, ażeby mogły się rozwijać. Jaje jest jedną z największych komórek, pierwiastek męski jest komórką najmniejszą. Jaje zawiéra w protoplazmie zapas żywności = żółtka dla embryonu, pierwiastek męski natomiast, podobnie jak monada lub wymoczek, jest nader ubogim w substancyę komórkową, posiada nadzwyczajną energię ruchu, a nadto ogromną wytrwałość, podobną również do wytrwałości monady, lub owych bakcylów, które dziś do rozpaczy doprowadzają medycynę. Znosi on największe zmiany temperatury, zachowuje swą płodność przez długie miesiące, a u niektórych zwierząt, np. u mrówek, nawet przez lata.

Ta wytrwałość pozwala mu w poszukiwaniu za jajem przebywać otoczenie, któreby dla jaja było szkodliwém, pozwala mu czekać wśród najniekorzystniejszych nieraz warunków, dopóki jaje nie dojrzeje. Celem tych poszukiwań, téj gonitwy za jajem jest pragnienie połączenia się z niém, jaje zaś, już dlatego, że jest większém i lepiéj karmioném, ma mniejszą inklinacyę do połączenia się z pierwiastkiem męskim. Do téj to czysto biologicznéj przyczyny odniéść należy objawy mniejszéj wrażliwości płciowéj u kobiét—nie zaś, jak to czyni Lombroso, do małéj sensytywności nerwowéj w ogóle.

Inicyatywa w dążeniu do połączenia wychodzi zatém od żywiołu męskiego i żadne usiłowania emancypacyjne nie potrafią nigdy wprowadzić zasadniczéj i trwałéj zmiany w tym kierunku.

Wymienione fakta określają już pewne różnice między charakterem męskim a żeńskim. Ruchliwość, przedsiębiorczość, awanturniczość charakteryzują żywioł męski i każą przypuszczać, że życie w nim przybrało kierunek zewnętrzny i nie ma na celu akumulacyi wewnętrznéj. To téż widzimy, że w wypadkach niedostatecznego odżywiania przeważa skłonność do produkowania jednostek płci męskiéj. Odżywianie jest jednym z najważniejszych czynników przy rozstrzyganiu o płci rodzących się istot. Płeć żeńska nie tylko więc, że nie jest powstrzymaniem rozwoju, lecz przeciwnie tworzy się wśród najkorzystniejszych warunków. Przyrodnicy, jak Young, Siebold, Giron i inni doświadczyli na rozmaitych gatunkach zwierząt, że im korzystniejsze są warunki odżywiania, tém większa jest liczba rodzących się samic. U rodu ludzkiego —jak dowodzi Buckle i Düring po epidemii lub po wojnie wzrasta liczba osobników płci męskiéj; liczba chłopców zawisła jest od urodzaju i od ceny zboża. W krajach ubogich rodzi się stanowczo więcéj chłopców, niż w krajach bogatych, a wreszcie przeważna ilość bliźniąt jest płci męskiéj, ponieważ one w łonie matki dzielić się muszą zapasami żywności.

Postępując do zwierząt wyższego rzędu znajdujemy na całéj drabinie rozwojowéj, że z małemi tylko wyjątkami samce są czynniejsze i ruchliwsze, samice bierniejsze, samce mają wyższą temperaturę ciała i zużywają się prędzéj, samice są zwykle tłuściejsze, mają temperaturę niższą i żyją dłużéj. Wallace w swém ważném dziele „O Darwinizmie" zbija zdanie Darwina i Spencera, którzy wszystkie te różnice między płciami, jakotéż i niektóre ozdoby, właściwe samcom, np. piękne pióra, jaskrawsze barwy, piękniejszy głos, przypisują doborowi płciowemu. Wallace natomiast sądzi, że wszystkie te właściwości są już cechami pierwotnemi, wypływającemi z większéj czynności i ruchliwości żywiołu męskiego, że są one niejako zewnętrznym wyrazem

temperamentu męskiego. Tak np. bogactwo kolorytu jest wyrazem szybkiego następstwa zmian chemicznych, właściwego osobnikom męskim.

III.

Po wyodrębnieniu się płci, każda z nich miała swą główną funkcyę. Płeć żeńska przedstawiała głównie utrzymanie gatunku i zachowanie niezmienności struktury typowéj.

Płci męskiéj właściwą była siła przeprowadzania zmian. Każda zmiana typu jest z początku indywidualną, jest oryginalnością lub ekscentrycznością osobnika wobec gatunku — jest ona oddaleniem się od typu, a zatém żywszym ruchem, przekształceniem się energii w nowe formy, czyli nowe czynności. Tam, gdzie przeważa czynność skierowana na zewnątrz, prawdopodobniejsze są przemiany molekuł — czyli to, co wedle fizyologów stanowi o zmianie organów lub funkcyi— niżeli u samic, zwykle biernych i lubiących spokój. W istocie doświadczenie dowodzi, że samcy są częściéj nowatorami i wynalazcami, czy to w zakresie życia fizycznego, wprowadzając wielką ilość odmian i form, czy téż moralnie wskutek wielkiéj rozmaitości myśli i uczuć. Stąd rezultat nader ważny dla ewolucyi gatunku. Oto samcom przypada rola wprowadzania do gatunku form nowych. Doświadczenia z gołębiami wykazują wedle Brooks'a, że samce, a nie samice, stanowią o nowych odmianach. Odmienne formy ukazują się prawie zawsze najpierw u samców i przez nich przekazywane są potomstwu. Dlatego hodowca nie pozwala samicy wybierać do woli, bo ona idąc za popędem konserwatywnym, właściwym sobie, wybrałaby osobnika najbardziéj do typu zbliżonego. Nie dobór płciowy zatém, jak twierdzi Darwin, ale sama konstytucya samca, wytwarza zmiany gatunku. Brooks powiada: „Komórkę męską uważać musimy za początek i przyczynę największéj ilości zmian, przez jakie przeszedł gatunek w swéj ewolucyi.” Przy transformacyi ras, samcowi więc należy się stanowisko przewodnie — samica postępuje jego śladem. Stąd nowe cechy różniące obie płci: żywioł żeński przedstawia w historyi gatunków zwierzęcych jedność, męski wielość, pierwszy przechowuje tradycyę specyficzną, drugi przedstawia innowacyę osobnikową. Lecz obie dążności zarówno potrzebne. „Nie ma bowiem postępu bez sił zachowawczych i sił modyfikacyjnych.”

Jakże płytkiém wydawać się musi wnioskowanie z téj właściwości biologicznéj, że kobiéta przeciwna jest wszelkiemu postępowi.

Można jéj co najwięcéj odmówić inicyatywy w tym kierunku. Lecz właśnie z większéj wrażliwości, impulsywności i podatności do suggestyi u kobiét wynika, że nie mogą się one oprzéć porywającemu prądowi — zwłaszcza ucieleśnionemu w silnych agitatorskich osobistościach. Kto był świadkiem naocznym jakiegokolwiek ruchu rewolucyjnego, przyzna, że kobiéty rewolucyjnym zapałem przewyższają mężczyzn. Okazało się to w rewolucyi francuskiéj, późniéj w walkach komuny r. 71,—a i dziś we wszelkich postępowych lub reformatorskich dążnościach, wdrożonych przez mężczyznę, kobiéty przedstawiają materyał nader podatny i użyteczny. Konserwatyzm, spotykany w istocie u przeciętnéj kobiéty burżoazyjnéj jest tylko końcowym rezultatem sztucznego stłumiania w kobiécie przez długie wieki popędu kształcenia się i umysłowego rozwoju—jestto sztucznie wytworzony niewolniczy rys w charakterystyce kobiéty.

Im wyżéj postępujemy w ewolucyi tworów organicznych, tém wyraźniéj występują różnice płciowe. U rodu ludzkiego różnice fizyologiczne będą zatém najwyraźniejsze.

Temperament oszczędnościowy, akumulacyjny objawia się u kobiéty okrągłością kształtów, mniejszą czynnością wymiany molekularnéj; stąd wynika znów mniejszy apetyt i mniejsza zdolność trawienia. Rozwój kształtów, u których przeważają linie owalne i okrągłe jest konsekwencyą konieczną temperamentu, którego dążnością i zadaniem jest karmienie gatunku. Rozwój ten, nadając kobiécie ostatni wyraz piękności odbiéra jéj równocześnie ruchliwość.

Czynności życia roślinnego i funkcye wnętrzności są również u kobiéty skierowane ku karmieniu rasy. Stosownie téż do temperamentu żeńskiego system nerwowy jest u kobiéty bardziéj rozwinięty w ganglionach, kierujących życiem roślinném i sensytywném, jest natomiast mniéj rozwinięty w ośrodkach, kierujących specyalnie pracą mięśni i mózgu.

Aby podołać wydatkom, jakie nakłada macierzyństwo, kobiéta musi zebrać zapasy sił życiowych. To téż kobiéta, skoro tylko dochodzi do wieku, w którym mogłaby być matką, podlega procesom, będącym w związku z przyszłém odżywianiem dziecka. Późniéj podczas brzemienności, rodzenia, karmienia—znów cały szereg ofiar fizyologicznych, które wymagają ogromnego zapasu sił.

Czy to stanowić ma niższość, lub wyższość kobiéty wobec mężczyzny? Nie, to może być tylko dowodem, że właściwa organizmowi żeńskiemu konieczność spełniania pewnych funkcyi fizyologicznych wymaga, aby natura ich była odmienną od natury męskiéj.

IV.

Przechodząc do różnic moralnych między płcią męską a żeńską, zastanawiając się nad cechami psychologicznemi charakteru męskiego a żeńskiego, przekonamy się, że zarówno u zwierząt, jak i u ludzi, nie zależą one od przypadkowego doboru płciowego, ale wywodzą się z saméj konstytucyi, z ogólnego kierunku organizmu. Dobór naturalny dodaje tylko mocy istniejącym już pierwotnie przyczynom fizyologicznym.

Czynność skierowana na zewnątrz i wytrzymałość fizyczna u samców idą w parze z odwagą psychiczną. (Spencer tłómaczy odwagę tém, że samce musiały walczyć o żywność i miłość, stąd najodważniejsze zwyciężały i przekazywały tę własność swojéj płci. Lecz dlaczego nie walczyły samice. Tu przyczyny szukać należy już w naturze saméj). I samice wprawdzie okazują nieraz nadzwyczajną odwagę, gdy idzie o obronę młodych. U kobiéty więc odwaga ma charakter macierzyński, obronny, skierowany na usługi gatunku, u samca odwaga jest zaczepna, skierowana na zewnątrz na usługi osobnika i jego niezależności.

Drugą cechą ruchliwości samców jest charakter wybuchliwy i niecierpliwy, który czyni ich podobnymi do bateryi naładowanéj elektrycznością. Czynność jest natury gwałtownéj, ale nie długo trwała, a przynajmniéj wymagająca przerw i wypoczynku. Samice natomiast są spokojne i cierpliwe. Darwin i Spencer chcą w rodzie ludzkim cierpliwość kobiécą tłómaczyć długim uciskiem ze strony mężczyzn. Przyczyna to zbyteczna. Niecierpliwość samców i cierpliwość samic leży we krwi i jest w łączności z funkcyami spełnianemi przez jedną i drugą płeć. Od samiczki ptasiéj, która przez wiele dni wygrzewa swe jaja, siedząc prawie nieruchomie, aż do kobiéty, która dźwiga dziecko w swém łonie i karmi je przez długie miesiące, cierpliwość i macierzyństwo są nieodłączne.

Temperament ekspansywny, ruchliwszy i bardziéj czynny, z natury rzeczy musi podlegać uczuciom gorącym i namiętnym, te téż są przeważnie właściwością samców.

Natomiast dążności zachowawcze i akumulacyjne muszą iść w parze z większą stałością i wiernością. Dość rozpowszechnione komunały o niestałości kobiecéj polegają na powierzchowném tylko spostrzeganiu. Głębsze badanie faktów przekonywa, że niestałość u kobiét ma miejsce tylko w tych wypadkach, które nie mają łączności

z naturalnemi dążnościami, właściwemi jéj płci, czyli w takich stosunkach, które nie pobudziły w niéj myśli i pragnienia macierzyństwa. We wszystkich zaś wypadkach, które są w harmonii z ich naturą płciową, kobiéty są stałe zarówno w uczuciach, jak i powziętych zamiarach.

Z tych samych zasadniczych cech płciowych, t. j. z konstytucyi przeważnie oszczędnościowéj u kobiét, a przeważnie ekspansywnéj u mężczyzn wywodzi się wrażliwość żywsza i zewnętrzna, czyli sangwiniczna u mężczyzn, wrażliwość bardziéj intensywna i wewnętrzna, czyli nerwowa u kobiét, a daléj w czynach większa dorywczość i eksplozywność — czyli objawy temperamentu cholerycznego u mężczyzn, natomiast powolność i spokój, czyli flegmatyczność lub limfatyczność w czynnościach kobiét. Reasumując, określić można temperament męski jako choleryczno-sangwiniczny, żeński zaś jako nerwowo-limfatyczny, mając przytém zawsze tylko na uwadze stosunek osobnika do interesów całego gatunku (Naturalnie indywiduum, jako takie, może miéć każdy temperament czysty lub mieszany).

Wskutek specyalnego znaczenia, jakie w organizmie kobiécym mają funkcye wnętrzności, przedstawiciel wnętrzności w systemie nerwowym, tak zwany wielki nerw sympatyczny jest znacznie rozwinięty, wiadomo zaś, że większa część wzruszeń wewnętrznych pochodzi z drgań, które wnętrzności wysyłają do nerwu sympatycznego. Stąd więc wielka sensytywność i wrażliwość kobiéty.

Jeżeli przez sensytywność tę rozumiemy wrażliwość na wszelkie wzruszenia wewnętrzne, to należy ją odróżnić od sensytywności na wrażenia zewnętrzne, czyli od percepcyi. Lombroso i Mantegazza pomieszali te dwa pojęcia sensytywności, a znalazłszy u kobiéty mniéj subtelną percepcyą, nie wahali się odmówić jéj wogóle sensytywności. Lecz już samo znaczenie miłości w życiu kobiéty może być dowodem jéj wielkiéj sensytywności—dla mężczyzny miłość jest radością życia, dla kobiéty jest ona najczęściéj życiem samém.

Kobiéty kochając, przywiązują się przeważnie do najfundamentalniejszych i najtrwalszych własności, czy to cielesnych, czy umysłowych u mężczyzny, t. j. do tego, co stanowi samą esencyą żywotności. Mniejszą wagę przywiązują do saméj piękności niż do siły fizycznéj i duchowéj, lub do zalet moralnych. Jestto znów poczucie interesów gatunku, które tłómaczy to poszanowanie dla siły cielesnéj u kobiét prostych, a dla sił intelektualnych i dla charakteru u kobiét ukształconych.

Skłonność i talent podobania się, właściwy kobiétom, Spencer tłómaczy tém, że z pomiędzy kobiét żyjących przez długie wieki na

łasce mężczyzn, te, które podobały się, miały większe szanse życia. Feuillet jednak i dla tej właściwości znajduje głębsze motywa. Kobiéta mocą swego przyrodzonego usposobienia nie szuka, lecz jest poszukiwaną, musi zatém podobać się, czyli zwrócić na siebie uwagę, chcąc być znalezioną. A nadto, kobiéta znowu w myśl swéj wrodzonéj troskliwości o dobro gatunku przez kult swéj piękności przekazuje ten dar cenny w dziedzictwie gatunkowi.

V.

Lecz jeżeli kobiéta przewyższa mężczyznę czułością i delikatnością uczuć, to pod względem inteligencyi, a przynajmniéj zużytkowania jéj, mężczyznie należy się pierwszeństwo.

Ponieważ zapas sił kobiécych przedewszystkiém służyć ma dla życia i utrzymania gatunku, więc to, co jako wydatek mięśniowy lub mózgowy skierowane jest ku podtrzymaniu życia indywidualnego, musi być u kobiéty mniéj rozwiniętém, to téż u niéj organa, zawarte w klatce piersiowéj, które zostają w łączności z pracą zewnętrzną i wewnętrzną, mają mniejsze rozmiary niż u mężczyzny. Co do mózgu, to jakkolwiek nowsi fizyologowie dowiedli, że tylko stosunek objętości i ciężaru mózgu do ciężaru i rozmiaru całego ciała może być decydujący, a z tego punktu widzenia stosunek ten wypada na korzyść kobiéty, to jednak mózg kobiécy mniéj jest zdolny do długich i intesywnych wysiłków intelektualnych. Nadto fizyologowie dowodzą, że funkcye, mające na celu odradzanie i karmienie gatunku, są w pewnym antagonizmie ze zbyt wielkiemi wysiłkami mózgu. Temperament męski sprzyja bardziéj ruchowi, a myślenie jest ruchem mózgowym. Rozwiązanie trudnego problematu jest pracą nie mniéj ciężką i nie mniéj uciążliwą, jak rozłupanie skały lub powalenie przeciwnika. Natężona uwaga wedle nowszych fizyologów wywołuje nawet wysiłek mięśni. Intensywna i ciągła uwaga wymaga zatém mózgu czynnego i ekspansywnego — jest bowiem funkcyą odśrodkową. Podobnie jak silniejsze ramię potrafi głębiéj i silniéj robić mieczem, tak téż fizycznie silniejszy i bardziéj do ruchu usposobiony mózg potrafi lepiéj przeprowadzić badania naukowe. Innemi słowy, cała dynamiczna część inteligencyi, wszystko, co w niéj zawisłe jest od ilości, przeważa u płci męskiéj, gdy natomiast wszystko, co w zadaniach intelektualnych wymaga zręczności, delikatności, finezyi, taktu, czyli, rzecby można, uczucia intelektualnego jest bardziéj przywilejem kobiéty.

Kobiéta zdolniejsza jest do wysnuwania idei szczegółowych, niż do uogólniania i abstrakcyi. Synteza bezpośrednia bardziéj jest dla niéj przystępna, niż rozkładająca analiza naukowa. Mężczyzna ma umysł bardziéj dedukcyjny, kobiéta bardziéj intuicyjny. Intuicya, to oko otwarte, które z łatwością widzi i obejmuje całość. Analiza natomiast prowadzi do różniczkowania.

Asocyacye myślowe u kobiéty odbywają się bardziéj w przestrzeni, aniżeli w czasie, w przestrzeni bowiem umysł obejmuje i zestawia wszystkie zjawiska równoczesne, kiedy asocyacye myślowe w czasie, właściwe umysłowi męskiemu, łączą ogniwa zjawisk, kolejno po sobie następujących.

Rozpatrując zaś zjawiska w czasie, myśli kobiéce łączą się raczéj za pomocą bezpośredniego sąsiedztwa lub stykania się, niżeli za pomocą przyczynowości; stykanie się, czyli powinowactwo myślowe jest bardziéj przedmiotem syntezy intuicyjnéj i wyobraźniowéj, przyczynowość zaś przedmiotem analizy wnioskującéj i racyonalnéj.

W zakresie saméj przyczynowości umysł kobiécy przystępniejszy będzie dla rezultatów prostych i bezpośrednich, niżeli dla wniosków pośrednich i bardziéj odległych.

Wyobraźnia u kobiéty bardziéj jest rozwinięta, niż u mężczyzny; mniejsza jest jéj czynność nazewnątrz; większa twórczość obrazów wewnętrznych.

Inteligencya wytrwała i przedsiębiorcza dąży do wytkniętego celu prosto i niewzruszenie, pomijając mniéj ważne szczegóły, nie zważając na przeszkody — to stanowi umysł systematyczny. Nauka zawdzięcza swe postępy zarówno wytrwałości i energii teoretycznéj, jak sile i ciągłości obserwacyi. Ta logika, doprowadzona do przesady, nie pozwalająca nic widzieć po za swym systemem, wiodąca często do absurdów, a mająca jednak w nauce wielką wartość, nie jest wcale rzeczą kobiéty. Umysł kobiécy natomiast zdolny jest do pochwycenia i odróżnienia najsubtelniejszych odcieni prawdy — na których skali modulacyjnéj nieraz najniepozorniejsze obniżenie lub podwyższenie tonu sprowadza zupełnie odmienny koloryt harmonijny.

Odrzucając utopie, kobiéta nie traci z oka strony pozytywnéj i praktycznéj rzeczy. W kwestyach, nie dotyczących własnéj osoby lub najbliższych sobie, sąd kobiécy jest często ostrożniejszy, subtelniejszy i rozsądniejszy, niż sąd mężczyzny. Nawet Schopenhauer — w sprzeczności ze swém twierdzeniem, że kobiéta zachowuje przez całe życie rozum swego 18-go roku, przyznaje, że w szczególnie trudnych i zawikłanych okolicznościach należy zasięgać zdania kobiét,

podobnie, jak to czynili Germanie, o których Tacyt wspomina, że przypisywali kobiétom siłę wieszczą.

Pod względem estetycznym ekscentryczność geniuszu, oryginalność potężna jest rzeczą rzadką w dziełach kobiét. Geniusz, to wysiłek, skierowany nazewnątrz, to zuchwała odwaga, która, obalając wszelkie przeszkody i tradycyę wiekową, rzuca się w przyszłość za zdobyczą nieznaną. Dlatego to w dziełach kobiét spotykamy częściéj wielkie talenta, subtelność spostrzegania i wykwintność gustu, niżeli geniusz twórczy, któryby stał się podstawą nowego kierunku, nowéj szkoły, czy to w sztuce, czy w nauce.

Natomiast Feuillet przyznaje kobiécie geniusz psychologiczny, jako naturalny wynik jéj natury intuicyjnéj i jéj delikatnego uczucia intelektualnego, a nadto w zupełném przeciwieństwie do lombrozowskiego idyotyzmu moralnego, Feuillet przypisuje kobiécie ogromną wyższość w dziedzinie moralnéj. Istnieje—powiada on —geniusz moralny, na który składają się miłość, tkliwość i zdolność do poświęceń — i w każdéj matce tkwi zarodek takiego geniuszu. Spencer twierdzi wprawdzie, że poświęcenie u kobiét, dochodzące nawet do bohatérstwa, odnosi się jednak zawsze do osób, a nie do idei — widzi on w tém znowu dowód intelektualnéj podrzędności, ponieważ jak powiada — ostatnim wyrazem postępu w ewolucyi ludzkości jest to, że rozumowanie abstrakcyjne i wrażliwość uczuciowa, zupełnie niezawisła od więzów osobistych, od sympatyi lub antypatyi indywidualnych, potrafi kierować czynami ludzkiemi w interesie również abstrakcyjnéj sprawiedliwości. Teoryi téj przeciwstawić jednak można całe epoki z dziejów ludzkości, w których kobiéta na równi z mężczyzną kładła swe życie w ofierze, czy to w obronie ojczyzny, czy religii, czy wielkich reform socyalnych. A nadto — jeżeli kobiéta mniéj jest zdolna do sprawiedliwego wymierzania każdemu przynależnéj mu części, a objąć potrafi ogół z równą życzliwością, to w obronie jéj podnieść należy, że dobroć jest czémś wyższém i cenniejszém od abstrakcyjnéj sprawiedliwości, zwłaszcza, że nie dobroć ze sprawiedliwości wynika, lecz przeciwnie, sprawiedliwość jest dopiéro następstwem dobroci.

Już to ogólne cechy charakteru kobiécego: większa łagodność i czułość, mniejsza energia zewnętrzna, mniejsza przedsiębiorczość i skłonność do czynów zaczepnych — tłómaczą o wiele lepiéj mniejszą liczbę zbrodni wśród kobiét, niż teorya Lombrosa o mniejszéj wrażliwości nerwowéj.

VI.

W całéj téj charakterystyce różnic fizyologicznych, psychologicznych i intelektualnych między płcią męską i żeńską Feuillet wyraźnie zaznacza tendencyę, że interesa utrzymania i pomyślnego rozwoju gatunku najważniejszą odgrywają rolę i że do nich stosować się i wedle nich formować się winny zamierzane reformy społeczne, a tém samém i reforma stanowiska kobiét w społeczeństwie.

W ścisłéj téż łączności z tą tendencyą przestrzegania interesów gatunku, są wysnute wnioski natury dość ogólnéj, i jako takie, nie wykluczają wyjątków.

Miarą dopuszczalnych wysiłków umysłowych dla przeciętnéj kobiéty powinna być taka praca umysłowa, któraby nie uszczuplała produkcyi i możliwości karmienia społecznie i w interesie gatunku niezbędnie wymaganéj liczby zdrowych dzieci.

Taki zaś stopień natężenia umysłowego, który, gdyby był powszechnym u kobiét pewnego społeczeństwa, doprowadziłby w rezultacie do wyginięcia onego, musi być uważany za przeciwny funkcyom naturalnym.

Czy i ile możliwém jest dokładne wyznaczenie takiéj miary, czyli granicy umysłowéj działalności kobiécéj, jest na razie kwestyą otwartą.

Różnice płciowe nie mają i nie powinny być zniesione z postępem instytucyi i zwyczajów społecznych. Doświadczenie uczy, że indywidua, pozbawione sztucznie swych organów płciowych, tracą wprawdzie swe cechy charakterystyczne, a natomiast z właściwości płci odmiennéj przyjmują najgorsze, czyli przedstawiają upadek zarówno fizyczny, jak moralny i umysłowy. Czegoś podobnego obawiaćby się należało, gdyby kobiéta chciała zamienić się na mężczyznę.

Obie płci — choć różnią się od siebie — zawisłe są jedna od drugiéj i równe sobie pod względem wartości. Uważanie więc jednéj płci za podrzędną jest równie nieracyonalném, jak gdyby tlen pogardzał wodorem, z którym wspólnie tworzy wodę, lub czerwona barwa pogardzała zieloną, z którą łączy się w białém świetle.

Jeżeli funkcye obojéj płci dla utrzymania gatunku są zarówno ważne, to powinny też obowiązki i prawa dla obojéj płci być nie identyczne, lecz równoważne. Mężczyzna i kobiéta tworzą dziś całość fizyologiczną; powinni z postępem czasu tworzyć także całość moralną

i społeczną; jedno nie ma być tylko powtórzeniem drugiego, ale ma być jego uzupełnieniem.

Rozdzielenie pracy umysłowéj i społecznéj w sposób najodpowiedniejszy do natury obojéj płci, tak, ażeby rezultaty tego współdziałania najbardziéj zbliżały się do doskonałości — zaprowadzenie równowagi między prawami a obowiązkami, czyli zastąpienie zasady poddaństwa zasadą sprawiedliwości—oto zadanie, które przyszłym społeczeństwom przypada w udziale.

Felicya Nossig-Próchnik.



Z BADAŃ
NAD WŁASNOŚCIĄ ROLNĄ
KRÓLESTWA POLSKIEGO.

„Główne dane ze statystyki agrarnéj według spisu z r. 1887. Gubernie nadwiślańskie.“ Petersburg, 1893 r.—„Wiadomości o własności ziemskiéj w gub. nadwiślańskich.“ Petersburg, 1886 r. — „Wiadomości statystyczne dotyczące dóbr stowarzyszonych, zebrane z akt Tow. kred. ziemskiego po d. 1 stycz. 1893 roku. I. Gub. warszawska.“ Wydanie delegacyi statystycznéj. Warszawa, 1894 r.

Nasza uboga dotąd statystyka rolna wzbogaciła się w ostatnich miesiącach dwoma wydawnictwami, które łącznie z faktami z r. 1877, opublikowanemi w r. 1886, dają przynajmniéj przybliżony obraz różnych typów własności ziemskiéj i klas społecznych, do których należą. Spotykamy tu również dane, co do różnych kategoryi użytkowych [1]) gospodarczych, oraz rodzajów ziemi, podpadających uprawie. Dla gubernii warszawskiéj zaś, zwłaszcza dla dóbr stowarzyszonych w Tow. kred. ziemskiém, spodziéwać-by się należało dokładnego obrazu ich położenia gospodarczego.

Statystyka z r. 1877, w braku organów uzdolnionych do zbiérania danych, zadowolnić się musiała opracowaniem tych, jakie jéj przy-

[1]) Przez kategorye użytkowe rozumiemy pola uprawne, łąki, pastwiska, lasy i nieużytki, ta sama nazwa użyta jest w „Encyklopedyi rolniczéj.“

słano, co komitet statystyczny zaznaczył, nie włączając nawet gubernii Królestwa do wydawnictwa obejmującego całe państwo, ale opracowując je w oddzielnym zeszycie rocznika.

Główne dane, ogłoszone w r. 1893, opiérają się na materyale zebranym w r. 1886, na który komitet statystyczny zapatrywał się jako na dopełnienie danych z r. 1877, wydanych w r. 1886. Nie ma tu więc podziału osad i folwarków na kategorye różnéj wielkości, ale za to podział pomiędzy własność prywatną i publiczną. Wśród pierwszéj uwzględniono własności odrębnych stanów społecznych, ilości posiadanéj przez nie ziemi i obszaru gruntów ornych. Wydawnictwo zajmuje się również podziałem gruntów na kategorye użytkowe, wylicza obszary zajęte przez różne gatunki zboża, uprawę na gruntach należących do każdego stanu, wreszcie stosunki dzierżawne. Dane ułożone są w obu źródłach urzędowych według powiatów i gubernii.

Spis z r. 1877 uwzględnia ilość posiadłości, należących do włościan objętych uwłaszczeniem, do właścicieli prywatnych, a więc szlachty, kupców, duchowieństwa i włościan nieuwłaszczonych, wreszcie do skarbu i instytucyi. Podano tu również przestrzeń należącego do każdéj kategoryi gruntu, oraz część ziemi ornéj. Porównywając cyfry z temi, jakie podają dane z r. 1887, dowiadujemy się, że obszar ziemi włościańskiéj ukazowéj powiększył się w dziesięcioleciu o 625,607 morgów, własność prywatna o 558,708 mg., własność skarbu o 15,321 morgów, wreszcie instytucye utraciły 192,205 morgów. Własność ukazowa włościańska dzięki prawu, zabraniającemu przechodzenia jéj do rąk innych stanów, na 84 powiatów Królestwa zmniejsza się tylko w 9-ciu, we wszystkich innych zaś wzrasta. Najdotkliwszém zmniejszenie to jest w powiatach augustowskim (o 247,190 mg.) i sejnejskim (o 455,658 mg.), co wytłómaczyć można emigracyą włościan z tych dzielnic do Ameryki. Cała gub. suwalska traci wskutek tego w ciągu dziesięciolecia 3,110 mg. z obszaru własności gmin wiejskich, co w żadnéj innéj gubernii zauważyć się nie daje.

Jeżeli zaś uwzględnimy własność prywatną, to obszar ziemi należącéj do szlachty, stanowiący wśród téj kategoryi w 1877 r. 88%, zmniejsza się w r. 1887 do 69.5%. Za to obszary stanowiące własność innych stanów rosną. I tak posiadali:

	kupcy	mieszczanie	włościanie	inne stany
w r. 1877	1.4	2.3	3.6	4.8
w r. 1887	0.7	4.8	9.2	15.8

przestrzeni rolnéj, oznaczonéj jako własność prywatna. Zmniejszenie się obszaru posiadłości kupców, najwyraźniejsze w gub. kaliskiéj

i płockiéj, da się prawdopodobnie wytłómaczyć tém, że wielu posiadaczy rolnych przestało być kupcami i za takich się już przy spisie z r. 1887 nie podaje. Ziemie mieszczan największy obszar zajmują w gub. kaliskiéj (9.1%), suwalskiéj (8.4) i warszawskiéj (6.2), najmniejszy zaś w siedleckiéj (2.6%) i łomżyńskiéj (1.5), w pozostałych ilość ziemi należącéj do mieszczan waha się od 3.4 do 5.5%. Ziemie włościan rozdzielone są dość równomiernie, zajmując od 5 — 8.8%, tylko w trzech guberniach stanowią one większy obszar, a więc w radomskiéj (16.4%), siedleckiéj (13.4) oraz piotrkowskiéj (11.4).

Ziemie drobnéj szlachty, któréj dane z r. 1877 nie uwzględniają wcale, rozsiadły się przeważnie w gub. łomżyńskiéj (44%), płockiéj (22.3) i siedleckiéj (14.6). Dane T. Łuniewskiego, zebrane w r. 1890 i 1891, podają rozsiedlenie to nieco odmiennie, zwłaszcza dla gub. łomżyńskiéj, w któréj ziemia w ręku drobnéj szlachty pozostająca wynosić ma 47% ogólnéj przestrzeni guberni. Wogóle zaś twierdzi on, że majątki drobnéj szlachty wśród ogółu posiadłości szlacheckich stanowiły w 1878 r. 86%, obszar zaś tylko 9.5% [1]).

Przestrzeń rolnicza objęta spisem z r. 1887 wynosi 21,821,311 morgów, gdy przestrzeń z r. 1877 wynosi 20,601,592 morgi, podług obliczeń zaś topograficznych gen. Strielbickiego Królestwo Polskie bez jezior zajmuje 22,675,432 morgi (111,542.2 wiorst kw.). Przestrzeń ta tak jest rozdzieloną pomiędzy gubernie:

W gub. lubelskiéj	2,895,872
„ siedleckiéj	2,553,297
„ warszawskiéj	2,449,897
„ suwalskiéj	2,152,924
„ radomskiéj	2,118,224
„ piotrkowskiéj	2,089,086
„ łomżyńskiéj	1,952,720
„ kaliskiéj	1,928,083
„ płockiéj	1,926,962
„ kieleckiéj	1,754,246
Razem	21,821,311 [2])

Z całéj przestrzeni spis z r. 1877 odlicza 54.9 ziemi ornéj, dane zaś za rok 1887 wyróżniają na 100: ziemi ornéj 53.2, lasów 22.6, łąk, pastwisk i in. 18.7, nieużytków 5.4.

---

[1]) „Drobna szlachta“. Odbitka z „Niwy“. Warszawa, 1892 r., str. 13 i 11. Statystyka przyznaje, że dane dla gub. łomżyńskiéj nie są dokładne.

[2]) Pozwoliliśmy sobie powtórzyć tabliczkę tę za „Krajem“ (N. 24), aby nie dokonywać ponownie raz już przeprowadzonych obliczeń.

W kategoryi łąki, pastwiska i in. mamy również obszar użyty pod zabudowania folwarczne, ogrody, sady i t. d. Najwięcéj ziemi ornéj spotyka się w północno-zachodnich guberniach: warszawskiéj, płockiéj i kaliskiéj, gdzie stanowi ona przeszło 60% całéj przestrzeni, najmniéj w gub. suwalskiéj, siedleckiéj i łomżyńskiéj, w których nie dochodzi nawet 50-ciu (od 45—49%). Rozpatrując powiaty, największa część ziemi ornéj znajduje się w tych, które okalają większe miasta, lub osady przemysłowe, a więc koło Łęczycy, Kalisza, Koła, Turka, Konina, Miechowa, Łodzi, Płocka i t. d. Najwięcéj lasów znajduje się w gub. radomskiéj (29.1% przestrzeni) i lubelskiéj, najmniéj w gub. płockiéj, warszawskiéj i kaliskiéj. W niektórych powiatach tych gubernii obszary leśne znikają prawie zupełnie. I tak np. w łowickim powiecie na każde 100 mg. przestrzeni spotykamy tylko 4.2 mg. lasu [1]. Nieużytki stanowią dziś już małą przestrzeń 5.4%; najwięcéj spotykamy ich w gub. suwalskiéj (7.8%) i łomżyńskiéj (7%), w innych spadają poniżéj średniéj normy. W porównaniu z południowo-zachodnim krajem liczba ich jest minimalna, gdyż tam zajmują one 8.5% całéj przestrzeni.

Rozpatrując kategorye użytkowe ziemi pod względem podziału ich pomiędzy własność gromad włościańskich, prywatną, a więc przeważnie obywatelską, oraz skarbu i instytucyi, widzimy, że stanowiły następujące odsetki:

	Na ziemiach własności gromadzkiéj	posiadłości prywatn.	skarbu i instytucyi
ziemi ornéj	69.8%	51.7%	5.4%
ogrodów, sadów, przestrzeni pod budowle	4.4%	2.0%	0.6%
pastwisk i wygonów	11.6%	7.7%	2.2%
łąk	10.6%	6.6%	0.9%
lasów	3.5%	32.0%	90.9%

Widzimy przeto, w jakim stopniu wpływają stosunki posiadania na kategorye użytkowe ziemi. Najwięcéj ziemi ornéj mają włościanie, którym znowu brakuje lasów. W dobrach skarbu i instytucyi przeważają lasy; ziemi ornéj, łąk, pastwisk i ogrodów jest tak niewiele, że niemal wspominać o niéj nie warto. W dobrach obywatelskich ilość ziemi ornéj najbardziéj zbliża się do przeciętnéj normy dla całego

[1]) Zasługuje na uwagę fakt, że do najmniéj zalesionych powiatów spis zalicza dwa w gub. suwalskiéj: kalwaryjski i wyłkowyski.

kraju, obszar stosunkowy lasów znacznie średnią tę przestrzeń przenosi. Ziemia zajęta pod ogrody wogóle stanowi bardzo małą cząstkę, a w dobrach własności prywatnéj i skarbowych prawie że w rachunek nie wchodzi. Gospodarkę, opartą wyłącznie niemal na gruntach ornych, prowadzą przeto włościanie i to nietylko wogóle w kraju całym, ale i przy rozpatrywaniu pojedyńczych gubernii. Najwięcéj ziemi ornéj wśród gruntów włościańskich widzimy znów w guberniach przemysłowych i ludnych, a więc w gub. warszawskiéj (75%), kaliskiéj (tyleż), piotrkowskiéj (76), kieleckiéj (72). Każdy przyrost gospodarstw włościańskich zapowiadałby przeto wzmożenie ilości ziemi ornéj w gospodarce.

W r. 1887 pod zasiewem było 8,796,356 mg., koło 2 mil. ugorowało, a sianokosy, łąki zajmowały około ½ miliona [1]). Trzy czwarte prawie ziemi ornéj poddane było przeto kulturze. Najmniejszą przestrzeń kultury wykazuje znów gub. suwalska, przeznaczona znać do ilustrowania wszelkich niekorzystnych wyjątków.

Z pomiędzy roślin uprawianych największą przestrzeń, jak spodziéwać się tego można, zajmują zboża 70% całéj przestrzeni, po nich idą kartofle i buraki—15.3%, rośliny handlowe i pastewne—7.5%, wreszcie rośliny strączkowe—4.5%. Ważniejsze rośliny zajmowały następującą przestrzeń:

żyto	2,514,175 mg.	— 35.9%	przestrzeni rolnéj
owies	1,554,718 „	— 18.1%	„ „
pszenica	666,835 „	— 7,6%	„ „
kartofle	1,266,525 „	— 14,4%	„ „

W jaki sposób zboża te rozdzielały się pomiędzy pola czterech kategoryi posiadłości, o tém statystyka nas nie informuje, wiadomo przecież, że gospodarstwa włościańskie sieją mniéj pszenicy, a więcéj żyta, owsa, a zwłaszcza kartofli od obywatelskich.

Najwięcéj danych spotykamy w urzędowych źródłach odnośnie podziału własności ziemskiéj według stanu jéj posiadaczy i rozmiarów pojedyńczych własności, co w każdym razie ważną jest wskazówką dla oceny zamożności klas oddzielnych. Wyłączywszy tedy własność skarbu i instytucyi 1,906,844 mg. w 1887 r., rozpatrzmy podział własności ziemskiéj według jéj obszaru.

Tablicę powyższą ułożyć nam przychodzi na podstawie danych z 1877 r., gdyż wydawnictwo z 1893 podziału własności według obsza-

---

[1]) W 1893 r. pod zasiéwem wykazuje statystyka Cesarstwa russkiego (zeszyt XXVIII) 7,460,909 mg.; jeżeli ta różnica nie jest wynikiem pomyłki, to niewesołe daje pojęcie o naszéj kulturze rolnéj.

ru nie uwzględnia. Tu przyszło nam obliczyć każdą kategoryę oddzielnie według gubernii, wydzielając mniejsze grupy przy rozpatrywaniu drobnéj własności i układając je tak, aby uwydatniły się różnice posiadania różnych kategoryi właścicieli:

	Ilość osad lub folwarków	Przestrzeń w morgach	Na 100 wypada osad		Na 100 wypada morgów	
Do 1 morgi	11,627	8,513	1.7		0.04	
od 1— 3 mg.	47,666	99,278	7.1		0.5	
„ 3— 5 „	60,041	250,456	8.9		1.5	
„ 5— 10 „	143,429	1,073,135	21.5	98.9	5.9	51.6
„ 10— 20 „	251,373	3,678,619	37.5		20.1	
„ 20— 30 „	101,598	2,433,518	15.1		13.2	
„ 30— 100 „	46,466	1,919,329	7.1		10.4	
„ 100— 300 „	2,216	406,738	0.3		2.0	
„ 300— 1000 „	3,472	2,024,576	0.5		10.9	
„ 1000— 2000 „	1,465	2,047,244	0.2	1.0	11.0	48.2
„ 2000— 3000 „	524	1,272,933	0.07		6,8	
„ 3000—10000 „	483	2,131,708	0.07		11.5	
wyżéj 10,000 „	55	1,038,489	0.008		6.0	
	670,415	18,416,536				

Tablica ta, wyszczególniająca różne rodzaje posiadłości t. zw. małéj, uwydatnia również rozdział wielkiéj własności ziemskiéj w różnych kategoryach jéj wielkości. Podzielić by ją można na trzy części: własność mała do 100 morgów przestrzeni, średnia do 1,000 i wielka, przechodząca tysiąc. Zajmijmy się pokolei każdą.

Własność mała, przeważnie włościańska i drobnoszlachecka, stanowiąca co do liczby osad 98.9 na sto, zajmuje 52%, a więc połowę całego obszaru rolnego. Wydzielić z niéj należy osady do jednéj morgi, które, jako posiadłość rolna, znaczenia właściwie nie mają. Są to ogrody lub pola, położone w bliskości miast i osad miejskich, mające albo charakter spekulacyjny, albo téż służące dla własnego użytku wyrobników, żyjących z dziennego zarobku. Posiadłości do 3 morgów, które p. L. Górski [1]) zowie wyrobniczemi, są tylko pomocą dla utrzymania się rodziny, żyjącéj z pracy na polach obywatelskich lub w przemyśle, a posiadaczy ich możnaby raczéj zaliczyć do ludności wiejskiéj, bezrolnéj. Właściwy stan włościański zaczyna się przeto od osad, mających obszaru więcéj jak 3 morgi. Tu wyróżnić by należało własność niesamodzielną i samodzielną. P. G. w cytowanéj już

[1]) Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby małéj własności ziemskiéj, „Niwa“ r. 1889.

pracy przyjmuje *minimum* 20 morgów za granicę, od któréj poczyna się własność samodzielna. Za najwyższą zaś normę, do któréj, nie licząc wypadków wyjątkowych, dosięga własność włościańska, przyjąć można mg. 30. Gospodarstwa aż do 20 morgów nie mogą wystarczyć na utrzymanie rodziny, a więc ziemia może tu być tylko warsztatem pomocniczym, co, jak wiadomo, nie wpływa korzystnie na jéj uprawę. Tymczasem gospodarstwa te w liczbie przeszło 454 tysięcy stanowią prawie 68% wszystkich. Jeżeli gospodarze, posiadający od 10—20 mg. gruntu, przy pomocy zarobków postronnych niektórych członków rodziny jako tako gospodarkę prowadzić mogą, to własność karłowata od 3—10 mg. uprawiana jest zwykle bez należytego dla gospodarstwa krajowego pożytku. Gospodarstw samodzielnych włościańskich, a więc powyżéj 20 morgów, nawet jeżeli za najwyższą granicę przyjmiemy tu niebywałą dla włościańskiéj osady rozległość 100 morgów, jest około 95,000, gdyż odliczyć należy 53,554 na osady drobnoszlacheckie. Nie odejmujemy osad obszaru 20—100 morgów, których posiadaczami nie są włościanie ani drobna szlachta, ale przedstawiciele stanów innych, gdyż takich nie jest dużo, ale pomimo to samodzielny stan włościański, reprezentowany tylko przez 90,000 osad, a więc, licząc na rodzinę 5 osób, 450—500,000 głów, jest wśród naszéj ludności rolnéj objawem niepocieszającym.

Rozglądając się daléj w téj części naszéj tablicy, widzimy, że liczba zagród włościańskich aż do 20 morgów obszaru, a więc niesamodzielnych, wciąż wzrasta. Podczas kiedy osady wyrobnicze od 1—5 morgów stanowią tylko 16%, a w tém niemal połowę osady do 3 morgów, których właścicieli gospodarzami rolnymi nazwać trudno, osady 5—10 morgów, a więc z konieczności ubogie i uprawiające gospodarkę jako jeden z fachów, nie zaś jako fach wyłączny, stanowią już 21.5%, a więc razem z uprzedniem prawie $^2/_3$ wszystkich osad i całéj ludności rolnéj. Osady względnie zamożniejsze, ale niesamodzielne od 10—20 morgów dają pokaźną cyfrę 37.5 na 100, zajmując z obszaru rolnego 20%. Przy znanéj oszczędności i niskich potrzebach naszego chłopa, spodziewać się można, że i przy rozległości gruntu średnio 15 morgów, jak to ma miejsce w niniejszéj kategoryi, żyć on potrafi, ale gospodarka dobrze już prowadzona być nie może.

Przyrost ludności rolnéj w Królestwie Polskiém przedstawia się pomyślnie, jest bowiem większy od średniego. Spis z 1893 r. [1]) liczy ludność wiejską na 6,431,731 głów, gdy w r. 1885 ludność ta wynosiła 5,834,846 głów, w 1859 r. zaś liczono jéj tylko około 3½ milionów.

---

[1]) Zeszyt XI prac warsz. komitetu stat.

Wzrost jest istotnie nader szybki i w pewnym stosunku do warunków bytu znajdować się musi, ale kto wié, czy nie wzrasta klasa najmniéj w stosunkach społecznych pożądana—proletaryat rolny, którego liczby dla całego kraju dotąd nie znamy.

Powracając do tablicy naszéj, widzimy, że własność średnia, jakkolwiek wśród ilości folwarków stanowi tylko 0.8%, zajmuje przecież pokaźną przestrzeń blisko $2^1/_2$ miliona morgów, a więc około 13% całéj przestrzeni. Zarówno liczba osad, jak i zajmowana przestrzeń przy folwarkach małych, od 3 do 10 włók (100—300 mg.) jest znacznie mniejsza, niż w większych, które do 30 włók dochodzą. Od 20—30 włók bowiem, jestto rozmiar zwykły posiadłości szlacheckiéj.

Z dóbr wielkich najważniejszą rolę grają folwarki do 70 włók obszaru, jakkolwiek, rozpatrując przestrzeń, dobra po nad tę normę dla wielkiéj własności są ważniejsze, gdyż zajmują one 24% całéj przestrzeni rolnéj, podczas, kiedy dobra do 70 włók zajęły tylko 11%.

Obliczyliśmy ilość i obszar dóbr każdéj kategoryi oddzielnie, aby dać możność porównania ilości majątków z zajmowaną przez nie przestrzenią.

Rozpatrując podział własności rolnéj pomiędzy osady i folwarki różnego obszaru, dostrzegamy, że własność mała najwięcéj jest rozdrobniona w gub. warszawskiéj, kaliskiéj, kieleckiéj i płockiéj. Znajduje się tu największa absolutnie i względnie do innych liczba osad do 5 morgów. Osad od 10—30 morgów najwięcéj posiada gub. lubelska, mianowicie $57^1/_2$ tysięcy na $73^1/_2$ wszystkich. Osady od 30—100 morgów przeważają w gub. płockiej (6,838), co przypisać prawdopodobnie należy licznym i zamożnym posiadłościom drobnéj szlachty. Własność średnia najliczniéj rozsiadła się w gub. płockiéj (1,037 folwarków), za którą idą warszawska i kaliska, najmniéj zaś znajduje się w gub. lubelskiéj (290). Pod względem własności wielkiéj najuboższą jest gub. suwalska i łomżyńska, najliczniéj, co do obszaru i liczby posiadłości, rozsiadły się one w gub. lubelskiéj, gdzie dóbr powyżéj 10,000 mg. jest 15.

Korzystając w dalszym ciągu z faktów, jakie podają nam źródła urzędowe, tym razem już oparte na spisach z 1887 r., rozpatrzmy, jak rozdzielały się posiadłości ziemskie i obszar posiadany pomiędzy różne stany społeczne. Tu dla włościan ograniczyć się musimy tylko obszarem przestrzeni rolnéj, gdyż właściciele włościańscy, należący do gromad wiejskich nie są wyszczególnieni.

Wśród własności szlacheckiéj największą liczbę obywateli szlachty liczy gub. warszawska, w któréj téż większy niż w innych obszar do niéj należy, po niéj idzie gub. płocka, najmniéj posiadaczy

szlachty i najmniejszy należący do niéj obszar mają gub. suwalska i łomżyńska. Również posiadłość kupców i mieszczan najliczniéj rozsiadła się w gub. warszawskiéj. Tu drugie po niéj miejsce zajmuje gub. piotrkowska, widocznie z przyczyny przemysłowego swego znaczenia. Drobna szlachta oprócz wyliczonych wyżéj trzech gubernii zamieszkuje dość licznie gub. warszawską i piotrkowską.

Obszar, należący do włościan, przedstawiamy w porównawczéj tabliczce:

Gubernie	Ilość ziemi włościańskiéj morgów	% ogólnego obszaru
płocka	1,454,784	75
lubelska	1,288,541	44
suwalska	1,256,303	85
siedlecka	1,191,508	50
kielecka	1,154,457	67
warszawska	1,083,042	48
radomska	1,048,776	50
piotrkowska	1,036,522	50
kaliska	836,364	40
łomżyńska	643,638	33

Ułożyliśmy tabliczkę w taki sposób, aby gubernie następowały po sobie w porządku obszarów własności włościańskiéj, poczynając od tych, w których są one największe. Porównywając obszar własności włościańskiéj z całą przestrzenią rolną gubernii, widzimy, że największy stosunkowo obszar zajmuje ona w gub. suwalskiéj, najmniejszy w łomżyńskiéj.

Powracając raz jeszcze do własności drobnéj różnych kategoryi i utożsamiając ją poniekąd z własnością włościańską, przychodzimy do następujących wniosków. W gub. suwalskiéj, gdzie tak przeważająca część przestrzeni rolnéj należy do włościan, szlachty drobnéj nie ma prawie wcale, gdyż 53 właścicieli z 3,848 mg. gruntu można nie brać pod uwagę, własność drobna rozdzielona jest bardzo korzystnie. W kategoryi posiadłości, obejmujących od 30—100 mg. spotykamy 15,141 posiadaczy, a więc liczbę, do jakiéj żadna inna gubernia się nawet nie zbliża. Posiadacze obszarów od 10—30 morgów przedstawiają również bardzo pokaźną cyfrę 27 tys. Za to własność karłowata liczy najmniejszą z całego Królestwa liczbę posiadłości. Własność rolną gub. suwalskiéj można tedy nazwać typowo-chłopską, na co prawdopodobnie wpływa również charakter społeczno-gospodarczy téj okolicy, która przez brak dróg żelaznych odcięta jest niejako od reszty kraju, nie posiada miast większych ani fabryk. Dosyć korzystnie rozdzielona jest również własność drobna w gub. płockiéj, gdzie

posiadacze obszarów od 30 — 100 morgów stanowią pokaźną cyfrę 25 tysięcy. Tu jednak wiemy, iż rozsiadła się w znacznéj liczbie (6,674) drobna szlachta, przewaga gruntów włościanskich pada przeto na kategorye niższe, mianowicie na własność karłowatą i posiadłości od 10—30 mg.

Rozpatrując wreszcie gubernię kielecką, trzecią, w któréj włościanie są posiadaczami więcéj niż połowy całego obszaru gruntu, dostrzegamy tu zupełnie odmienny rozkład posiadłości różnych obszarów. Ilość posiadłości od 30—100 morgów jest najmniejszą ze wszystkich gubernii Królestwa (669), przeważa zaś własność karłowata najliczniejsza ze wszystkich gubernii w liczbie 42,298. Posiadłości od 10—30 morgów obejmują téż względnie szczupły obszar 194,000 mg.

Rozpatrując okolice, w których obszar, zajmowany przez włościan, dochodzi zaledwie do 40% całéj przestrzeni, dostrzegamy wśród nich bardzo znaczne różnice. W gub. łomżyńskiéj pod względem ilości osad i zajmowanéj przez nie przestrzeni przeważają zagrody od 10 do 30 mg., w kaliskiéj własność karłowata. Co zaś do osad największych od 30—100 mg., to w łomżyńskiéj przedstawiają bardzo pokaźną cyfrę (4,435) i obejmują znaczną przestrzeń 223,000 morgów, prawdopodobnie dzięki udziałom drobno-szlacheckim.

Rozpatrując pozostałe 5 gubernii, w których włościanie posiadają 40—50% przestrzeni, widzimy, że własność karłowata przeważa w gub. warszawskiéj i na przewagę tę składają się głównie osady jednomorgowe i wyrobnicze do 5 morgów. Własność od 10 — 30 mg. najsilniéj reprezentowana jest w gub. lubelskiéj; stanowi ona 57,679 osad, zajmujących przeszło milion morgów przestrzeni. Ponieważ drobna szlachta gub. lubelskiéj prawie nie zamieszkuje (138 osad i 7,740 mg. obszaru), przeto znaczna część zamożniejszych posiadaczy-włościan zgromadziła się w téj dzielnicy. Osad największych od 30—100 morgów liczebnie najwięcéj jest w gub. siedleckiéj (7,071), że jest to jednak główna siedziba szlachty zagonowéj, na włościan przypada w niéj osad największych ledwie kilkanaście, a zamożny stan włościański zgromadził się przeważnie również w gub. lubelskiéj, gdzie zagród téj wielkości jest 2,340 w posiadaniu włościan.

Wreszcie podział własności rolnéj w całém Królestwie Polskiém, rozpatrywany według stanu jéj posiadaczy, jak się przedstawiał w cyfrach zebranych w r. 1887, a pomieszczonych w wydawnictwie z roku 1893, przekonywa nas, że z ogólnego obszaru 2,182,311 morgów posiadali:

	Ilość posiadłości	Przestrzeni morgów	na 100 mg. ogólnéj
włościanie	—	9.843,464	49.8
obywatele-szlachta	7,292	7,565,165	37.9
drobna szlachta	53,554	1,000,510	5.7
mieszczanie	4,232	519,603	2.6
kupcy	118	73,812	0.3
inne stany	3,081	759,464	3.7
Razem własności prywatnéj		19,914.467	100.0

skarb i domeny	1,306,198 mg.	
miasta	431,419 „	
instytucye	133,949 „	
kościoły i klasztory	35,278 „	
Razem własność publiczna		1.906,844
		21,821.311 [1])

Rozkład własności według stanów do absolutnéj ścisłości pretensyi rościć nie może, tak jak wogóle wszelka statystyka takich cech społecznych, jak język, narodowość, stan, a nawet religia; gdzie sprawdzać trudno, a często i niepodobna jednostek obliczanych. Zwłaszcza do obywateli-szlachty, a także mieszczan i kupców zaplątał się prawdopodobnie niejeden żywioł należący właściwie gdzieindziéj.

W ciągu sprawozdania naszego zajmowaliśmy się przeważnie własnością drobną. Wydawnictwo Tow. kredytowego ziemskiego pozwala nam rozpatrzyć warunki gospodarcze własności większéj dla gubernii warszawskiéj.

Jest tu przedewszystkiém odmienny, niż w źródłach urzędowych, podział na powiaty, mianowicie pow. błoński nazwano grodziskim, a górno-kalwaryjski włączony został do grójeckiego. Przestrzeń według obliczeń pomiarowych wynosi 2,362,905 mg., jest więc mniejsza i od téj, jaką podaje źródło urzędowe dla r. 1893, jak również od wymierzonéj przez gen. Strelbickiego. Z tego obszaru na własność ziemską prywatną wypada 1,311,273 morgi, na dobra stowarzyszone 1,107,861 morgów. Tą przestrzenią, stanowiącą 84% własności prywatnéj, a 42 ogólnéj i należącą do 1,683 majątków zajmuje się wydawnictwo.

Pod względem obszaru dobra te przedstawiają wielką rozmaitość, od osad kilko-morgowych aż do majątków większych od 100-tu włók,

---

[1]) Cyfry do powyższéj tablicy zaczerpnęliśmy poczęści z cytowanego już wyżéj numeru „Kraju“.

najwięcéj jednak, bo 760 (40% całéj przestrzeni) należy do mniejszéj własności folwarcznéj obszaru od 10—33 włók.

Szczegółowy wykaz pod względem obszaru daje dla całéj gubernii rezultat następujący:

Osady mniejsze od 30 mg.	126
„ 30 — 100 mg.	204
Folwarki 100 — 300 mg.	249
Dobra 300 — 1,000 mg.	760
„ 1,000 — 3,000 mg.	266
„ większe jak 3,000 mg.	32
„ rozparcelowane	46
Razem dóbr	1,683

Z dóbr tych 1,603 należy do chrześcian i zajmuje 94% całéj przestrzeni, 74 do Żydów ($5^1/_2$% przestrzeni), 6 majątków do obcych poddanych.

Z kategoryi użytkowych spotykamy tu dla całéj gubernii gruntów ornych 59.9%, łąk 8%, pastwisk 3.9%, lasów 22.9%, nieużytków 4.1%. Gruntów ornych jest przeto więcéj niż średnio w dobrach szlacheckich, lasów zaś mniéj, na co wpływa, jak się zdaje, bardziéj przemysłowy charakter okolicy. Najwięcéj gruntów ornych, wyżéj 70% jest w powiatach skierniewickim, kutnowskim i nieszawskim, najwięcéj lasów, wyżéj 40%, w warszawskim, radzymińskim i nowomińskim; łąki najwięcéj przestrzeni zajmują w powiatach nowomińskim, grodziskim i włocławskim, gdzie przenoszą one 9% przestrzeni. Na 100 morgów gruntu wypada koło 31 sztuk inwentarza żywego, przy zredukowaniu różnych gatunków bydła do normy średnich sztuk. W pow. kutnowskim i gostyńskim trzymają bydła najwięcéj (do 34 sztuk), wogóle jednak rozdziela się ono bardzo równomiernie na odzielne powiaty. Ciekawém jest wyliczenie znajdujących się w dobrach stowarzyszonych zakładów przemysłowych, a więc cukrowni, browarów, gorzelni i dystylarni, młynów parowych, wodnych i wiatraków, tartaków i in. Co do kopalni, to oprócz kopalni torfu i zwiru innych nie ma. Wszystkich zakładów przemysłowych w dobrach stowarzyszonych jest 587, wśród nich najwięcéj wiatraków 240 i młynów wodnych 143; jaka jest skala produkcyi i wysokość zysków w tych zakładach, nie daje nam wydawnictwo żadnych wskazówek.

Ciekawą i przedstawioną dokładnie jest kwestya obdłużenia majątków stowarzyszonych. Dla oszacowania Towarzystwo przyjmuje trojaką miarę: szacunek hypoteczny, otaksowanie według przepisów z r. 1872 lub 1884 i t. zw. szacunek z mnożnika, otrzymany za pomocą pomnożenia podatku gruntowego przez pewną cyfrę. We-

dług tych trzech sposobów wyprowadzono szacunek ostateczny dla wszystkich dóbr stowarzyszonych w gubernii 60,372,349 rs., a więc średnia wartość morgi 54½ rs. Najwyższy szacunek morgi jest w pow. kutnowskim (70), najniższy w radzymińskim i nowomińskim, koło 30-tu rs. Wydawnictwo zwraca uwagę, że szacunek ten jest cyfrą minimalną i przy kupnie majątku nawet w obecnéj, niepomyślnéj dla rolnictwa chwili w praktyce zastosowany być nie może. Najwyższy szacunek gruntu przypada na dobra małe do 100 m., mianowicie 62.6, oraz 74.7 rubla za morgę. Ze wzrostem obszaru dóbr szacunek morgi spada aż do 32 rs. za morgę w dobrach i obszarach wyżéj 100 włók, co przypisać należy wielkim obszarom lasów, które szacunek obniżają. W dobrach, należących do chrześcian, szacunek jest wyższym, niż w tych, które stanowią własność Żydów (54½ i 50 rs. morga); przyczyny tego wydawnictwo nasze nie wyjaśnia.

Ogół długów dla gubernii obliczono na 40,201,877 rs., a więc na 66.5% szacunku, na morgę zaś 36 rs. Najwięcéj obdłużone są dobra w pow. warszawskim, do 91% szacunku, najmniéj w skierniewickim do 54% szacunku. Dobra należące do Żydów obdłużone są wyżéj (do 75% szacunku) od tych, które należą do chrześcian. Najwyżéj różnica ta dochodzi w pow. radzymińskim, gdzie wobec względnie umiarkowanego obdłużenia dóbr w rękach chrześcian, do 54% szacunku, długi ciążące na majątkach żydowskich przenoszą ich wartość szacunkową (116% szacunku). Pożyczka Towarzystwa kredytowego ziemskiego wynosi wogóle 24.8 milionów, najwyższa na morgę 67½ rs., średnia 22½. Inne uwzględnione są to długi prywatne, zapisy, posagi, kaucye, ewikcye i in. hypoteczne.

Suma długów, dochodzących do 66.5% wartości szacunkowéj, nie daje rzeczywistego, ale tylko przybliżone pojęcie o ciężarach, spoczywających na własności stowarzyszonéj w gubernii, gdyż wartość sprzedażna gruntów jest wyższą, długi hypoteczne stanowią przeto mniejsze odsetki. Pominięto tu jednak wszystkie długi niehypoteczne, które tylko wytrawny znawca stosunków gospodarczych okolicy w przybliżeniu ocenić może.

Dobra do 30 włók najwyższe mają obdłużenie na morgę od 63 do 77 rubli, w dobrach rozleglejszych obdłużenie to maleje. Wiadomości, skąpe w objaśnienia słowne, również nie tłómaczą nam bliżéj tego faktu.

Wszystkie dobra pod względem stopnia obdłużenia podzielić można na następujące kategorye:

	Ilość dóbr	% przestrzeni
Dobra obdłużone do 25% szacunku	126	10.9
„ „ 25—50% „	672	36.6
„ „ 50—75% „	389	21.8
„ „ 75—100% „	228	12.4
„ „ powyżéj szacunku	268	18.3

Tabelka ta wskazuje, że nawet pomijając długi niehypoteczne, dochodzimy do wniosku, że własność stowarzyszona tylko w części, do właścicieli swych należy i że niemal piąta część ziemi nominalną jest już własnością.

Wobec tego trudno się dziwić, że w dziesięcioleciu od r. 1883 do 1892 za zaległości Towarzystwa kred. ziem. sprzedane zostało 115,041 morgów w 233 majątkach. Średnia cena sprzedażna morgi była 41 rs., wyższa w pierwszém pięcioleciu, nie dochodziła w drugiém do średniéj ceny szacunkowéj.

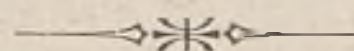
Przytoczone przez nas dane pozwolą wytworzyć sobie pojęcie o materyale, jaki znaléść można w wydawnictwach omawianych, które posłużyć mogą za podstawę do oceny naszych stosunków rolnych.

Karol Weylepp.



POEZYA ŁACIŃSKA

W POLSCE ŚREDNIOWIECZNÉJ.



(A. Brückner: „Glossy wrocławskie“. Prace filologiczne. Tom III, zeszyt I. Warszawa, 1889. — Tenże: „Średniowieczna poezya łacińska w Polsce“. Część I, cześć II, część III. Kraków, 1892, 1893, 1894. Osobne odbicia z tomów: XVI, XXII i XXIII Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie).

Pod powyższemi nagłówkami ogłosił prof. Brückner rezultat swych studyów w zakresie poezyi łacińskiéj w Polsce średniowiecznéj, zdobyty na podstawie szczegółowego rozpatrzenia się w kilkunastu rękopismach polskiego pochodzenia, znajdujących się w bibliotekach krakowskich, lwowskiéj (Ossolińskich), petersburskiéj, wrocławskiéj i berlińskiéj. Studya te wzbogacają znakomicie nasze wiadomości o średniowiecznéj poezyi łacińskiéj w Polsce, które dotychczas nader były szczupłe: ograniczały się one niemal wyłącznie do tego, co zebrał Wiszniewski w swéj historyi literatury; późniejsze bowiem odkrycia, jak np. ogłoszony przez p. Kętrzyńskiego wiersz łaciński o zatargach pomiędzy Zbigniewem Oleśnickim, arcybiskupem gnieźnieńskim (1480 –1493), a Kośmidrem Gruszczyńskim [1]) i inne, zbyt są nieliczne, aby na ich podstawie można było wytworzyć sobie jasne i dokładne pojęcie o tym dziale poezyi, który w całéj Europie zachodniéj bardzo

[1]) O nieznanéj epopei z XV-go wieku. Lwów, 1887.

pokaźne wywalczył sobie stanowisko. Wyczerpująca ocena zebranych przez prof. Brücknera materyałów, jako też wyznaczenie im odpowiedniego miejsca w ogólnéj historyi naszéj literatury średniowiecznéj, staną się możliwe wówczas dopiéro, gdy z rękopismów będą w całości drukiem ogłoszone; tymczasem więc poprzestaniemy na wyliczeniu ważniejszych utworów, oraz na krótkiém ich streszczeniu, przytaczając tu i owdzie wyjątki w tłómaczeniu polskiém.

I.

Jak w Europie zachodniéj, tak i u nas główném, jeżeli nie jedyném, siedliskiem poezyi łacińskiéj były szkoły; ćwiczyli się w niéj zarówno nauczyciele, jak i uczniowie, którzy przepisywali dzieła poetów klasycznych i średniowiecznych, oraz, pod okiem swych mistrzów, pisywali wypracowania wierszem łacińskim. Tym sposobem każda szkoła w Polsce posiadała mniejszą lub większą liczbę kodeksów, w których, wśród mnóstwa różnych treścią i wartością utworów literatury obcéj, napotykamy gdzieniegdzie próbki poetyczne autorów polskich. Szczególnie bogatą treścią odznaczają się kodeksy Jana ze Słupcy, kleryka gnieźnieńskiego z pierwszéj połowy XV-go wieku, Mikołaja z Lublina, który w roku 1447 otrzymał w akademii krakowskiéj stopień bakałarza sztuk wyzwolonych, Mateusza z Krakowa (ur. 1426 r.), który był Cystersem w Koprzywnicy, a w r. 1460 jeździł do Rzymu i zwiedzał klasztory cysterskie, tudzież Jana Latoszyńskiego, kantora opatowskiego i kanonika krakowskiego, doktora prawa kanonicznego.

Z przeważnie lub wyłącznie szkolnego charakteru poezyi łacińskiéj wynika, że na treść jéj składają się głównie wiersze religijne, poematy moralno-dydaktyczne i satyryczne, apologi, bajki i wiersze okolicznościowe, osobliwie zaś epitafia.

Z poetów rzymskich, jak świadczą prace prof. Brücknera, czytywano i objaśniano w szkołach naszych Wergiliusza (bukoliki), Persyusza, Juwenalisa, Lukana, Horacego; ale największą wziętością cieszył się Owidyusz, a mianowicie utwory jego: „Pieśni miłosne”, „Lekarstwa na miłość”, „Heroidy” i „Listy z Pontu”. Z pomiędzy późniejszych poetów uwzględniano Klaudyusza, autora poematu „O porwaniu Prozerpiny” i nieznanego autora epopei p. t.: „Księgi Homera o wojnie trojańskiéj”, który to wiersz przypisują niektórzy Siliuszowi Italskiemu. W ogólności jednak poeci klasyczni nie popłacali w szkołach polskich; zamiast nich daleko chętniéj czytywano utwory średniowie-

cznych wierszopisów zachodnio-europejskich od XI-go aż do XIV-go wieku. Przedewszystkiém należy tu tak zwany Pseudoowidyusz.

Umysł uczonego średniowiecznego, pozbawiony krytycyzmu, często nie odróżniał fałszu od prawdy, ślepo wierząc w słowo pisane. Pod imię Owidyusza podsunięto więc z czasem pisma, których autor „Przemian" wyparłby się niezawodnie, a które były owocem skażonego smaku poetów średniowiecznych. Przypisywano mu np. wiersze „O sztuce kochania", zawiérające w sobie naukę zalecania się kobiétom, lubieżnie skréśloną, albo poemat „Owidyusz trzech dziewic", przypominający treścią podanie o sądzie Parysa: trzy dziewice popisują się śpiéwem; młodzieniec wydaje wyrok, która z nich najpiękniejsza, poczém wybrana dziewica, przejęta wdzięcznością, zaprasza go do siebie i sowicie odpłaca mu za wyrok. Owidyuszowi również przypisywano poemat miłosny „O staruszce", mimo, iż trzecia część tego dzieła objaśnia dogmaty religii chrześciańskiéj; nic to nie raziło „uczonych" średniowiecznych, owszem, poczytywano Owidyuszowi ze wielką chwałę, że przeczuł niejako religię Chrystusa, i uważano go nawet za jednego z proroków nowéj wiary.

Bohatérska poezya epicka, osnuta na podaniach świata klasycznego, a uprawiana w ciągu wieków średnich przez poetów zachodnio-europejskich, w naszych szkołach nie znalazła, jak się zdaje, zbyt gościnnego przyjęcia: kodeksy, opisane przez prof. Brücknera, zawiérają w sobie trzy tylko poematy tego rodzaju. Pierwszy — to „Pergama", czyli krótka epopeja o zburzeniu Troi, będąca utworem w części najsłynniejszego poety XII-go stulecia, Hildeberta de Lavardin (um. r. 1133 lub 1134, jako arcybiskup w Tours), w części zaś scholastyka Hugona, zwanego Prymasem, który w XII-ym wieku był głośny w całéj Francyi z daru improwizacyi i gryzącéj ironii. Drugi poemat nieznanego autora, pochodzący, co najpóźniéj, z wtóréj połowy XIII-go stulecia, opiéwa znaną historyę o nieszczęśliwéj miłyści Pirama i Tysby, przekazaną nam przez Owidyusza. Trzeci wreszcie—„Ojcobójca" czyli „Matematyk", utwór, jak się zdaje, wyżéj wspomnianego Hildeberta de Lavardin, mieści w sobie opracowanie mitu o Edypie i Lajosie.

Do działu poezyi epickiéj zaliczyć należy także tak zwane „komedye epickie czyli elegijne". Treścią tego rodzaju utworów średniowiecznych są wprawdzie motywy komiczne, zaczerpnięte np. z Plauta, brak im atoli wszelkich warunków scenicznych, gdyż często nie mają nawet formy dyalogowéj. Po rękopismach polskich napotykamy z takich „komedyi" „Getę", dzieło niejakiego Vitalisa (z pierwszéj połowy wieku XII), przerobione, chociaż nie bezpośrednio, z plau-

towskiego „Amfitryona". Trzy inne „komedye elegijne" mają już bardzo mało wspólnego z tradycyą klasyczną [1]). Są to mianowicie „Pamfil" (nieznanego autora XII-go wieku), którego treścią jest miłość Pamfila i Galatei, „Alda", słynna „komedya" Wilhelma z Blois (w. XII), stanowiąca podobno przeróbkę jakiéjś komedyi Menandra, wreszcie „O Paulinie i Polli" jakiegoś „Sędziego Ryszarda" (ok. r. 1230).

Daleko więcéj uwzględniano u nas epikę religijną, chociaż i o tym rodzaju można powiedziéć, że nie wszystkie poematy, rozpowszechnione w Europie zachodniéj, znane były w Polsce. Jeżeli największa ilość rękopismów danego dzieła wystarcza za dowód największéj poczytności, to najpoczytniejszą była w Polsce „Jutrzenka" Piotra de Riga, kantora w Rheims († 1209), który to poemat jest peryfrazą prawie wszystkich ksiąg Pisma św. Jakiemuś mistrzowi krakowskiemu podobała się ta peryfraza tak dalece, że ułożył na nią wierszyk, w którym nazywa ją „korą i szpikiem, jądrem i głową" wszelkiéj mądrości. Po „Jutrzence" najpierwsze miejsce pod względem ilości rękopismów należy wyznaczyć „Wierszowi wielkanocnemu" Seduliusza, poety V-go wieku po Chrystusie. Po wstępie, z którego czytelnik dowiaduje się o cudach Bożych w starym zakonie, oraz o błędach sekty aryańskiéj, autor, wspomniawszy pokrótce o upadku Adama, opisuje koleje życia Zbawiciela na ziemi aż do wniebowstąpienia. Koloryt poematu jest całkiem mistyczny: poeta szuka wszędzie związku mistycznego pomiędzy faktami; tak np. dowodzi, że zaćmienie słońca po zgonie Chrystusa trwało trzy godziny, co miało znaczyć, że ciało Jego trzy dni w grobie spoczywać będzie, albo np., że czteréj ewangeliści odpowiadają czterem porom roku i t. p. Z dzieł innego znakomitego przedstawiciela literatury kościelno-chrześciańskiéj, Prudencyusza (IV w.) napotykamy w kodeksach polskich, obok peryfrazy Pisma św., „Psychomachie", t. j. opis walki, jaką toczą pomiędzy sobą w duszy człowieka cnoty i występki, dobre i złe skłonności, występujące pod postaciami alegorycznemi wiary, nadziei, uczciwości, pychy, idolatryi, kłamstwa i t. d. Dzieje apostolskie opowiada głośny w swym czasie poemat subdyakona Aratora z roku 544.

Najciekawszym atoli pomnikiem średniowiecznéj epiki religijnéj jest „Palestra", poemat, którego wieku, ani autora dotychczas nie znamy, a który (w języku łacińskim) jakimś dziwnym trafem znajduje się prawie wyłącznie w rękopismach polskiego pochodzenia. We

[1]) Porów. W. Cloetta: „Beiträge für Litteraturgeschichte des Mittelalters und Renaissance. Erster Theil. Halle a. S. 1890, str. 75.

wstępie autor, przywoławszy na pomoc Boga, opowiada o stworzeniu świata, o raju, o upadku pierwszych ludzi, o narodzeniu Chrystusa i o męce krzyżowéj. Część główna mieści w sobie opis właściwéj „palestry", t. j. pasowania się Zbawiciela z otchłanią; walka ta stanowi treść tak zwanéj ewangelii apokryficznéj Nikodema; czytamy tu więc o pogrzebie Jezusa i zstąpieniu do piekieł, o uwięzieniu przez Żydów i cudowném uwolnieniu Józefa z Arymatei, o dwu synach Symeona, wreszcie o wniebowstąpieniu. Komentarz, dodany do poematu, wyłuszcza dokładniéj treść części głównéj: „Poczém przyszedł Jezus, a zwyciężywszy szatanów, uwolnił świętych ojców, wyprowadził ich z piekła i polecił opiece Michała, który doprowadził ich aż do raju ziemskiego, gdzie weselili się wraz z Eliaszem, Enochem i aniołem-stróżem *(latro)*, aż nareszcie dnia czterdziestego Chrystus zaprowadził ich do nieba. Szatani, dowiedziawszy się o Jego zmartwychwstaniu, rozbiegli się po przestworzu ku podziwowi aniołów niższego chóru. Poczém zasiadł na stolicy Ojca, gdzie spoczywa siedem kolumn, t. j. siedem darów Ducha świętego; i aniołowie, stojąc wraz ze świętymi przed Tronem, chwałę Mu oddają; w ręku dzierżą księgę żywota, w któréj spisane są zasługi świętych, najpierw chwalebnéj dziewicy Maryi, potém aniołów i męczenników. Chwała tych wybrańców bożych tak jest wielka, że nie mogą jéj wyrazić gramatyka i retoryka, ani ocenić dyalektyka, ani obliczyć arytmetyka, ani wymierzyć geometrya, ani pojąć muzyka i astronomia." „Palestra" składa się, mniéj więcéj, z 1,400 wierszy. Język grzeszy wielką napuszonością, kompozycya — rozwlekłością: autor wszystko szczegółowo wylicza i opisuje, przytacza długie mowy Chrystusa, Lucyfera i t. d. Apokryf ten ze względu na literaturę naszą tém bardziéj zasługuje na uwagę, że ten sam temat opracował w metrum safickiém jeden z najpierwszych poetów-humanistów naszych XVI stulecia — Paweł z Krosna [1]).

Oprócz epiki religijnéj objaśniano po szkołach polskich różne poematy dogmatyczne lub moralne, jako to legendę o św. Jerzym [2]), naukę wierszowaną o spowiedzi, któréj autorstwo jedni przypisują świętemu Chryzostomowi, drudzy papieżowi Sylwestrowi, inni znów św. Bernardowi, i inne.

---

[1]) Niewydany dotychczas rękopism znajduje się w bibliotece miejskiéj we Wrocławiu.

[2]) W rękopiśmie petersburskim (Lat., XIV, 8-vo, N. 4) czytamy dość oryginalną wzmiankę: „w Rzymie panował Decianus czyli Deczek, który był chłopem z wsi Konuszy w pobliżu Proszowic".

Nierównie więcéj jednak zawierają w sobie rękopismy polskie utworów liryki religijnéj łacińskiéj, a więc pieśni kościelnych, hymnów, modlitw i t. p. Szczególnie obfitym pod tym względem jest rękopism, który znajduje się obecnie w Petersburgu [1]), a niegdyś był własnością biblioteki uniwersytetu warszawskiego; mamy tu zbiór hymnów kościelnych, z sześciu części złożony: pierwsza mieści w sobie hymny adwentowe, druga—pieśni na Boże Narodzenie i inne święta aż do wielkiego postu, trzecia—pieśni wielkopostne, czwarta—wielkanocne, piąta—hymny na Zielone Świątki i dzień Św. Trójcy, szósta—pieśni na cześć świętych.

Rzecz prosta, że dydaktyka, która nietylko w wiekach średnich, lecz i w szesnastym jeszcze, stanowi jeden z najobfitszych działów piśmiennictwa, którą przesiąkły niemal wszystkie rodzaje poezyi, nie mogła być u nas pomijaną. Całość poezyi dydaktycznéj da się podzielić na trzy kategorye: na dydaktykę dogmatyczno-religijną, naukową i obyczajową czyli dydaktykę właściwą.

Do pierwszéj kategoryi należy przedewszystkiém tak zwana „Ekloga Teodulusa", któréj autora nie znamy. Wiersz ten pochodzi, co najpóźniéj z X-go stulecia, a celem jego jest zbijanie baśni pogańskich: schodzą się pasterze i pasterki, z których jedni obstają za słusznością podań mitycznych, inni zbijają je na podstawie Pisma; rozumie się, że w téj szermierce, prowadzonéj ściśle na wzór Wergiliusza, ulegają pierwsi. Do téjże kategoryi poezyi pouczającéj zaliczyć można „Księgę epigramatów" Prospera (ok. 450 r.), w któréj mamy wykład dogmatyki chrześciańskiéj podług św. Augustyna. Nakoniec znany był w Polsce „Wiersz o tajemnicach kościoła" poety angielskiego Jana z Garlandyi (w. XIII), który opisuje tu szczegółowo kościół, obrządki kościelne, ubiór duchowieństwa, rytuał mszalny i t. p.

Celem poezyi dydaktyczno-naukowéj było ułatwienie uczniom nauki szkolnéj: obok podręczników pisanych prozą, używano podręczników wierszowanych do muzyki, poetyki, głównie zaś do gramatyki. Z takich podręczników wierszowanych najwięcéj rozpowszechnionym był u nas traktat „*Doctrinale*" Aleksandra z Villedieu († 1240 roku), przeznaczony do wykładu prawideł i wyjątków gramatycznych, oraz figur retorycznych. Według świadectwa nieznanego autora polskiego z XV-go wieku, trudno było znaléść choć jedną szkołę miejską, w któréjby nie używano traktatu Aleksandra. Znanemi były również „Nowa poetyka" uczonego angielskiego Galfryda de Vinesauf, dedykowana papieżowi Innocentemu III, „Grecyzm" Evrarda z Béthune (ok. r. 1200), — dziełko, zwykle „Gre-

---

[1]) Lat. fol., N. 223.

cystą" zwane; „Kwiaty gramatyczne" Ludolfa z Luchow, kanonika w Hildesheim; „O sposobach gestykulacyi i wymowy" Jana Josse de Marvilla (r. 1322); „Rogaty" (Cornutus) Jana z Garlandyi, — traktat nawpół obyczajowy, nawpół gramatyczny, głównie wykładowi synonimów poświęcony.

Istniały téż w Polsce traktaty wierszowane o muzyce i astronomii, o tych jednak nie podaje prof. Brückner bliższych wiadomości. Do poezyi dydaktyczno-naukowéj odniéść wreszcie wypada „Fizyolog", t. j. alegoryczno-mistyczny wykład własności niektórych zwierząt i ptaków, jeden z najznakomitszych produktów literatury średniowiecznéj; wierszowany „Fizyolog", znajdujący się w rękopiśmie blilbioteki jagiellońskiéj, jest dziełem poety włoskiego, Teobalda (z XI wieku).

Przechodzimy do dydaktyki obyczajowéj. Na jéj czele kładziemy „Wiersze obyczajowe" Katona, kilkakrotnie w Polsce XVI-go wieku drukowane i na język polski przekładane. Przez nazwę „wierszów obyczajonych" *(disticha de moribus)* rozumiano zbiór nauk moralnych, sięgający IV stulecia po Chr. Zbiór ten, z czterech złożony części, był najpopularniejszą książką w wiekach średnich; według niego uczono sztuki wierszowania i moralności. Formą pierwotną tak zwanego Katona były dystychy heksametrowe. W wiekach średnich przerabiano je na leoniny, najdawniejszą zaś przeróbką jest tak zwany „Nowy Katon". Inna przeróbka to „Katon interpolowany", gdzie do każdego dwuwiersza pierwotnego tekstu przyczepiono dwuwiersz nowy. Dotychczas znano cztery przeróbki Katona. Katon rękopismu krakowskiego może być uważany za przeróbkę piątą: jestto mianowicie kombinacya heksametrów „Katona interpolowanego" z leoninami „Nowego Katona", nadto mamy tu jeszcze uwagi prozaiczne. W ten sposób każda sentencya moralna powtarza się dwukrotnie, np. „Nie myśl, że ranne wstawanie z łóżka jest drobnostką: zbyt długi sen jest podnietą do wszystkich wogóle grzechów. Trzeba przeto więcéj czuwać, niż spać, gdyż długotrwały spoczynek dostarcza pokarmu występkom. Długi spoczynek karmi ustawicznie zbrodnię." Sentencyę powyższą autor wygłasza w wierszach, poczém dodaje następującą uwagę prozą: „Aby iskra twego ciepła naturalnego nie zgasła, gnuśniejąc w popiele, zachęcaj twą drzemiącą duszę do pracy, obrzydź sobie lenistwo, pochodzące ze zbytniéj śpiączki, staraj się więcéj czuwać, niż spać. Albowiem nadmierne przeciąganie spoczynku i snu nietylko pozbawia ciało sił, ale co więcéj, dostarcza różnorodnéj karmi występkom."

Niejakie pokrewieństwo z Katonem mają wiersze moralne Alana, słynnego „*doctor universalis*" (1128 — 1202) p. t. „O problematach",

kilkakrotnie drukowane w wieku XV-ym pod tytułem „Księga parabol”. W dalszym ciągu wymieniamy jeszcze następujące dzieła: „Lament natury” tegoż Alana,—skarga na złości ludzkie; tak zwany „Facet”, zbiór nauk wierszowanych dla każdego stanu i wieku, przypisywany zwykle wyżéj wspomnianemu Janowi z Garlandyi, chociaż pochodzi prawdopodobnie z wieku XII-go; traktat „O pogardzie świata” Bernarda de Morlas, benedyktyna francuskiego (ok. r. 1140); „Fagifacet” jakiegoś Niemca XIV stulecia,—zbiór prawideł i przepisów co do zachowania się przy stole; wiersze o życiu szkolném i o zachowaniu się uczniów względem przełożonych i t. d.

Z większych poematów dydaktycznych, znanych w Polsce, zasługują na wzmiankę „Biedny Henryk”, czyli „Elegia o zmienności fortuny i o szukaniu pociechy w filozofii” oraz „Pocieszyciel” *(Paraclitus)*. Autorem pierwszego poematu jest poeta włoski XII wieku, Henryk z Settimello, który, jak opowiada historyk Villani, pochodził z wieśniaczéj rodziny i poświęcił się stanowi duchownemu; biskup pozbawił go opactwa, i wtedy to Henryk napisał poemat, składający się z czterech części; w pierwszej gorzko wyrzeka na swój los; w drugiéj występuje Fortuna i kłóci się z autorem; w trzeciéj Filozofia *(Phronesis)*, w otoczeniu siedmiu Sztuk Wyzwolonych, udziela mu nauk moralnych, skarżąc się na zepsucie tego świata; w czwartéj Filozofia wskazuje Henrykowi prawdziwą drogę życia. Autorem „Pocieszyciela” jest nieznany ze szczegółów biograficznych Werner z Bazylei (w. XI albo XII). Treść podaje komentarz: „Księga ta, któréj najpierwszym celem i zadaniem, jest pocieszenie grzesznika, dzieli się na trzy części: najprzód grzesznik rozmyśla nad swą złością, następnie wzywa Łaski boskiéj, wreszcie Łaska odpowiada grzesznikowi. Sens moralny jest ten, że powinniśmy powstać z grzechów, a unikać rozpaczy.”

Rodzajem poezyi, ściśle spokrewnionym z dydaktyką, jest satyra. Dydaktyczno-satyrycznym można nazwać wiersz kanonika monasterskiego z XIII wieku, Bernarda z Geist. pod tytułem „Pochlebca” *(Palponista)*. Jestto dyalog pomiędzy duchownym a panoszą: pierwszy dowodzi, że życie dworskie jest marne i nędzne, że książęta są narażeni na ciągłe dolegliwości, drugi zaś zachwala przepych dworów książęcych i możność bezkarnego wyzyskiwania ludu i duchowieństwa.

Czysto satyrycznym jest wiersz „Kapituła kapłanów” nieznanego autora. Księża schodzą się na radę i narzekają, że biskup każe im pędzić życie w czystości obyczajów; ostatecznie dochodzą do wniosku, że podobny rozkaz sprzeciwia się woli Boga, który karze

tych, co rozstają się ze światem, nie pozostawiwszy po sobie potomstwa. Niemniéj złośliwą satyrą, wymierzoną przeciwko duchowieństwu jest „List Lucyfera", kilka razy drukowany w XVI-ém stuleciu. Zaczyna się od słów: „Lucyfer książę państwa piekielnego, pan i władca głębokiego Acheronu, przesyła pozdrowienie najukochańszym panom patryarchom, kardynałom, arcybiskupom — od siebie i od sióstr swych: Pychy, Rozpusty i Skąpstwa i jéj córki Symonii." Poczém Lucyfer namawia duchownych, aby w dalszym ciągu brnęli w grzechy, aby gorszyli lud złym przykładem i t. p. „Dan w centrum ziemi... roku panowania naszego 6646." W r. 1351 przybito list téj treści na drzwiach mieszkania papieża Klemensa VI, który daremnie kazał szukać autora. Straszliwe zepsucie obyczajów duchowieństwa chłoszczą również „Wiersze satyryczne" Mikołaja de Bibera, poety niemieckiego z czasów Rudolfa Habsburga.

Ciekawym przyczynkiem do historyi satyry średniowiecznéj jest „Satyra komiczna" nieznanego autora, który szydzi tu z rozmaitych narodów, osobliwie romańskich. W Polsce dorobiono do tego wiersza krótką satyrę na Polaków: „Nigdzie nie spotkałem ludzi tak zamożnych, jak w Polsce; piękne to plemię, lecz pijaństwu oddane."

Inną ulubioną bronią dydaktyki jest bajka, którą szczególnie uprawiali autorowie średniowieczni, zarówno poeci, jak moraliści i kaznodzieje, upatrując w niéj jeden z najskuteczniejszych środków do walki z ciemnotą i niemoralnością. U nas, jak widać z prac prof. Brücknera, znano trzy zbiory bajek średniowiecznych. Pierwszy składa się z czterdziestu dwu bajek tak zwanego Ezopa w łacińskiéj przeróbce Aviana, autora rzymskiego V-go stulecia. Drugi, najulubieńszy w wiekach średnich, to bajki Fedra, którym anonim (t. zw. Romulus) nadał formę dystychów. (Zwykle nazywa się ten zbiór anonimem Neveleta). W celu wyłącznie dydaktycznym pisał swe bajki tak zwany Gwidryn, uważany nawet przez niektórych uczonych za Polaka [1]), prof. Brückner jednak twierdzi, że pogląd ten nie da się poprzéć pewnemi dowodami i uznaje autora za Włocha XIV-go stulecia. „Gwidryn" składa się z 95 bajek prozaicznych, odznaczających się głębokością poglądów i rozległą wiedzą dyalektyczną autora. Pierwiastek dydaktyczny przeważa w nich tak dalece nad epickim, że tracą one charakter właściwych bajek. Autor wprowadza w akcyę zwierzęta, rośliny, siły natury i ciała niebieskie, które dysputują z sobą o kwe-

---

[1]) Peiper, „Jenaische Litteraturzeitung", 1878, str. 525.

styach moralności, popiérając swe poglądy (czyli raczéj poglądy autora) subtelną argumentacyą.

Epikę zwierzęcą reprezentuje w Polsce XV-go wieku kilka poematów, a z tych niektóre mają najwyraźniéj tendencyę satyryczną. Takim jest przedewszystkiém poemat o wilku (*Luparius sive Ovidius de lupo*), napisany przez anonima około r. 1100. Są to dzieje starego wilka, który, wykręciwszy się z pułapki, zostaje mnichem, nie zmienia jednak swéj wilczéj natury; wygnany z klasztoru, powraca, pełen pozornéj skruchy, do pasterza i znów go oszukuje. Nie wiadomo także, kto jest autorem poematu o ośle (*Brunellus*, ok. r. 1200), którego treścią jest wzajemna spowiedź wilka, lisa i osła: wilk i lis udzielają sobie nawzajem rozgrzeszenia, natomiast osła skazują na śmierć za to, że kiedyś, trapiony głodem, wyciągnął jakiemuś pielgrzymowi z buta wiecheć słomy.

Inny poemat anonimowy o ośle (wiek?) przypomina znaną bajkę Apulejusza. Król i królowa mają syna, który urodził się pod postacią osła; okazuje on niepospolite zdolności do gry na lirze i niebawem przewyższa w tym względzie swego mistrza. Boleją̨c nad swą zwierzęcą postacią, puszcza się w podróż; natrafia na jakiś zamek królewski i tu zaślubia piękną królewnę, wzbudziwszy w niéj miłość ku sobie prześliczną pieśnią; każdéj nocy zrzuca z siebie oślą skórę, przemieniając się w pięknego młodzieńca, ale w dzień znów ją przybiéra, aż nakoniec król, dowiedziawszy się o tém od sługi, cichaczem wkrada się w nocy do jego pokoju i wrzuca skórę w płomienie; odtąd królewicz już na zawsze zostaje człowiekiem.

Zupełnie dotychczas nieznanym był poemat „*Libistica*", czyli bajka o sroce, wronie i jastrzębiu jakiegoś Jana Barlina [1]). Jastrząb' i wrona siedzą na jajach na sąsiednich drzewach, w czasie nieobecności jastrzębia, wrona kradnie mu z gniazda jedno jajko, podsuwając natomiast swoje; wraca jastrząb', a wrona natrząsa się z jego boleści wraz ze swą kumoszką sroką, niebaczna na przestrogi kani. Wkrótce jastrząb' dowiaduje się, kto jest sprawcą jego nieszczęścia, i zabija wronę. Stąd sens moralny: „Z silnymi nie zadziéraj".

Wreszcie znano w Polsce jeden z najznakomitszych pomników poezyi średniowiecznéj, poemat o wilku Izengrymie i lisie Reinardzie, wykończony w r. 1148 przez nieznanego mistrza flandryjskiego. Treści nie przytaczamy, jako ogólnie znanéj z Goethego.

---

[1]) Prof. Brückner przypuszcza, że apolog ten, który w całości dochował się jedynie w rękopismach polskiego pochodzenia, jest utworem polskim (Część I, str. 43); pewności jednak nie ma w tym względzie (por. Część II, str. 47).

Literaturę powieściową reprezentuje w kodeksach polskich słynna „Historya o miłości Euryala i Lukrecyi", nowelistykę zaś — dziełko Adolfa „O przebiegłości kobiét" (tak zwany „Doliganus"). Znajduje się tu dziewięć facecyi czy nowel, których źródłem obok Bokacyusza, były wielce rozpowszechnione w Europie średniowiecznéj „Dzieje rzymskie" i „Nauka dla księży" *(Disciplina clericalis)* Piotra Alfonsa, treścią zaś niewierność małżeńska i różne przebiegłe sztuczki, któremi żony oszukują głupich mężów.

Nakoniec kilka słów o „Gwalterze doktorze miłości" (z końca XII-go lub początku XIII-go wieku). Autorem jest Francuz imieniem Andrzéj, kapelan nadworny króla francuskiego. Nazwa dzieła poszła stąd, że autor poświęcił je pewnemu młodzieńcowi, Gwalterowi, dla nauki i przestrogi. Jestto rozprawa o miłości, wielce przypominająca fizyologię małżeństwa Balzac'a, lub fizyologię miłości Bourget'a. W księdze pierwszéj mowa o różnych sposobach pozyskania miłości i o przepisach, według których powinni przemawiać książęta, szlachta, mieszczanie, duchowni (!) do pani swego serca; księga druga uczy, jak utrwalić i wzmocnić pozyskaną miłość; w trzeciéj wreszcie autor zebrał wszelkiego rodzaju argumenty średniowieczne przeciwko kobiécie.

II.

Rozpowszechnienie zachodnio-europejskiéj poezyi łacińskiéj w Polsce nie mogło pozostać bez wpływu na twórczość mistrzów i uczniów naszych szkół, a jakkolwiek próbki téj twórczości nie były, o ile się zdaje, zbyt liczne, w każdym razie świadczą o usiłowaniach i chęci stworzenia poezyi oryginalnéj i w historyi naszéj literatury średniowiecznéj pomijane być nie mogą.

Najstarszym poematem łacińskim, napisanym w Polsce i przez Polaka (około r. 1320!), jest „Antigameratus". Autorem jest kanonik krakowski, Frowin. Nazwa poematu pochodzi od średniowiecznego wyrazu łacińskiego *gameratus*—rozpustnik, grzésznik. Składa się ten utwór z dwu części; w pierwszéj autor jest moralizatorem: udziela rozmaitych przestróg duchowieństwu, panującym, sędziom, sługom, małżonkom, szczegółowo opisuje, w jaki sposób należy zachowywać się przy stole, radzi rolnikom, co mają czynić w każdym miesiącu i t. p. Część druga nie ma z pierwszą nic wspólnego co do treści: mamy tu wykład o rozróżnianiu homonimów łacińskich pod względem znaczenia i iloczasu, co uchodziło w szkołach średniowiecznych za szczyt mą-

drości. „Antigameratus" nie cieszył się w Polsce uznaniem, rozpowszechnił się natomiast w Niemczech.

Pierwszym zapewne podręcznikiem gramatycznym, ułożonym w Polsce, jest „Metrificale, nieznanego nam zresztą ze szczegółów biograficznych Marka z Opatowca; jestto krótki traktat łaciński, napisany wierszem; stanowi on niewolnicze naśladowanie trzeciéj części znanego nam już traktatu „Doctrinale" Aleksandra z Villedieu, zawiérającéj w sobie wykład prozodyi. Marek z Opatowca, widząc, że „wielu kleryków" nie ma pojęcia o metryce, pragnie „przy pomocy Boskiéj" powiedziéć „kilka słów" o tym przedmiocie. Zaczyna od wiadomości elementarnych o „literze", która jest „najmniejszą częścią" wyrazu, o samogłoskach i spółgłoskach; następnie mówi o sylabie („Sylaby są trojakie: pierwsza, ostatnia i środkowa; pierwsza, to ta, od któréj zaczyna się słowo, ostatnia, którą się kończy, środkowa zaś, która siedzi pomiędzy pierwszą a ostatnią"), o pozycyi, dyftongach, o skracaniu samogłoski przed samogłoską, o „akcencie" krótkim i długim, o sześciu stopach (daktyl, spondej, trochej, anapest, jamb i trybrach). Najobszerniéj wykłada rzecz o budowie heksametru i pentametru, o regułach wierszowania, tudzież o najpospolitszych wykroczeniach przeciwko zasadom prozodyi. Traktat kończy się czterowierszem, w którym autor dziękuje Bogu, że pozwolił mu szczęśliwie dokończyć pracy. Dziełko Marka z Opatowca nie rozpowszechniło się po szkołach polskich, prawdopodobnie dlatego, że było zbyt krótkie na to, aby zadosyć uczynić potrzebom młodzieży szkolnéj.

Najciekawszemi atoli zabytkami średniowiecznej poezyi łacińskiéj w Polsce, odszukanemi przez prof. Brücknera, są utwory treści satyrycznéj. Należą tu przedewszystkiém dwa „traktaty" jakiegoś mistrza Mikołaja (z wieku XIV-go lub początku XV-go), który, według wszelkiego prawdopodobieństwa, był Polakiem [1]). W pierwszym „traktacie" autor prawi o „złościach świata tego"; skarży się na kupców, że używają fałszywych wag i miar, że oszukują wszędzie i zawsze, że, sprzedając np. sukno, chowają je w ciemném miejscu, aby kupujący nie mógł mu się przyjrzéć. Ciekawą jest satyra, wymierzona przeciwko chłopom *(cmetones):* gdy idą na targ, jeden tylko worek napełnioną dobrém zbożem, a klną się, że i pozostałe worki równie dobry gatunek zawiérają: gdy sprzedają wełnę, skropią ją poprzednio wodą, aby na wadze zyskała. Przełożeni, powiada w dalszym ciągu

---

[1]) Być może, że jestto ten sam Mikołaj, kaznodzieja poznański, którego postylla dochowała się w odpisie z r. 1420 (w bibliotece seminaryum Pełplińskiego).

mistrz Mikołaj, gnębią i zdziérają swych podwładnych, sprawują się, jak świnie, nie zaś, jak panom przystoi. Sprawiedliwości w państwie nie ma, sądy są przedajne, bogaty zawsze sprawę wygra. I w kościele nie lepiéj się dzieje: posadę kościelną można nabyć za piéniądze, księża zachowują się niemoralnie, siadują w szynkach i piją, opowiadając sobie tłuste koncepty; o poznanie prawdy nie dbają nic, są rozrzutni, kłamliwi, rozpustni, wygłaszając kazania, jąkają się i t. d. W końcu autor powstaje przeciw kobiétom, na które, jak wogóle zresztą poeci średniowieczni, składa całą odpowiedzialność za złości świata tego. Traktat drugi jest satyrą na życie dworskie. Autor, jak sam powiada, mało wprawdzie przebywał na dworze królewskim, lecz za to wiele słyszał o życiu dworskiém od ludzi doświadczonych, zresztą każdy czytelnik niewątpliwie przyzna mu słuszność. Po tym wstępie idzie złośliwa satyra na rozmaite zdrożności dworzan, a więc na upodobanie do strojenia się, na nieskromność w słowach i czynach, na próżniactwo i t. d. Im kto dłuższe nosi włosy—powiada Mikołaj—tém więcéj ma zachowania na dworze, natomiast pogardy doświadcza ten, kto ma włosy krótkie, dworzanie czeszą się tak samo, jak kobiéty...; ktoby chciał powiesić się, obejdzie się bez powroza. Wszyscy noszą buty, spiczaste, jak kosa. Dworzanie pędzą życie rozpustne, stają się nieraz podobnymi do wściekłych psów, lubują się w plugawstwach, jak dzikie świnie; włóczą się po nocach, jak nietoperze, a sypiają nie na łóżkach, lecz na tapczanach lub ławkach, jak psy. Szczególnie miłują próżniactwo, które jest źródłem wszystkiego złego Językowi nadto puszczają wodze, wciąż śmieją się i obmawiają innych, a gdy głos zabiorą, mówią z wielką pewnością siebie i wszystko przysięgą stwierdzają, nawet oczywiste kłamstwo, lub rzecz niepewną. Noszą zbroję błazeńską, wyglądają, jak rozbójnicy lub komedyanci, mają miecze i drągi, jak ci, co Chrystusa pojmali. Sług Bożych nie szanują, pomiatanie księżmi weszło już nawet w modę... Po tych i tym podobnych wycieczkach satyrycznych autor udziela czytelnikom stosownych nauk moralnych.

Jeżeli powyższe wiersze są istotnie utworem pióra polskiego, to stanowią one nader pożądany przyczynek do historyi naszéj satyry; mielibyśmy bowiem dowód, że te same wady społeczeństwa polskiego, które później w wieku XVI-ym stanowią przedmiot satyry Reja, Bielskiego i innych, wyśmiéwano już w XV-ém stuleciu.

Trzecią satyrą, która również, jak się zdaje, powstała w Polsce, jest „Traktat, pokazujący, jak niebezpieczném jest dla księży przestawanie z kobiétami, oraz opisujący różne złości kobiéty”.

Ten sam rękopism, w którym znajduje się powyższa satyra, zawiéra w sobie najstarszy niewątpliwie wiersz polsko-łaciński treści miłosnéj. Jestto opracowanie jakiegoś żaka krakowskiego w postaci listu do „panny Heleny"; wiersze łacińskie przeplata kilka zwrotów polskich, np: „*Omnes tui inimici* bodaj wrychle kijem zbici i kapustą pluskani".

Do szczupłéj liczby poetów naszych XV-go wieku, którzy uprawiali poezyę łacińską nagrobkową, czyli tak zwane epitafia, przybywa, dzięki odkryciom prof. Brücknera, Marcin ze Słupcy, bakałarz z r. 1437, magister z r. 1441, który wykładał w akademii krakowskiéj poetów rzymskich. Jest on autorem dwu epitafiów: na cześć Andrzeja Łaskarza z Gosławic i Wincentego z Szamotuł. Andrzéj Łaskarz, herbu Godziemba, brat cioteczny biskupa poznańskiego, Piotra Wysza, znany był powszechnie ze swéj dobroczynności i nieskazitelnego charakteru; w roku 1404 spotykamy go w Padwie wraz z Pawłem Włodkowicem; po śmierci Piotra Wysza (1414) obrany został biskupem poznańskim; posłował na sobór do Konstancyi, gdzie zwano go „świętym biskupem polskim", jak świadczy o tém kanonik poznański, Mikołaj „Czytczanus", w swéj mowie pogrzebowéj. Umarł r. 1426 w Gosławicach. Marcin ze Słupcy nie wspomina nic o działalności biskupa na soborze powszechnym, wychwala natomiast jego wielkie zalety, jako człowieka i duchownego, jakoto skromność i czystość obyczajów, pobożność, pokorę, miłosierdzie, szczodrobliwość względem biédnych i t. p. Drugą połowę wiersza poświęca Marcin opisowi śmierci biskupa i wrażeniu, jakie zgon ten wywarł na wszystkich mieszkańcach dyecezyi bez względu na stan i płeć. Język i styl epitafium jest w całém znaczeniu tego wyrazu średniowieczny; autor wzorował się oczywiście na najgorszych utworach, do opisania najprostszych rzeczy najwyszukańszych dobiéra wyrazów i stara się umyślnie o niezrozumiałość. Nie bez wpływu na Marcina była także „Palestra", oraz epitafia Adama Świnki na Zawiszę i Jadwigę i epitafium Grzegorza z Sanoka na Jagiełłę.

Dużo więcéj wartości estetycznéj posiada drugi wiersz Marcina ze Słupcy, napisany na cześć zmarłego w r. 1444 kasztelana międzyrzeckiego, Wincentego z Szamotuł herbu Nałęcz. Widocznym jest postęp pod względem języka i stylu: barbaryzmów i dziwolągów średniowiecznych napotykamy znacznie mniéj; nadto zaś epitafium to w porównaniu z poprzedniém zawiéra w sobie daleko więcéj danych biograficznych, które uzupełniają wiadomości o kasztelanie, jakie podaje Długosz. Zresztą układ wiersza jest zupełnie taki sam: w części pierw-

széj autor wielbi cnoty zmarłego, oraz wylicza jego zasługi, w drugiéj opłakuje jego przedwczesny zgon [1]).

Na zakończenie niniejszego sprawozdania zaznaczamy, że prace prof. Brücknera rzucają nieco światła na historyę humanizmu w Polsce. W naszych kodeksach średniowiecznych trafiają się tu i owdzie pojedyńcze utwory pierwszych humanistów włoskich, co dowodzi, że prądy humanistyczne przedostawały się do nas bezpośrednio z Włoch w chwili, kiedy w sąsiednich Niemczech ani słychać o nich nie było. W kodeksie Jana ze Słupcy znajduje się np. wierszowany przekład łaciński Batrachomyomachii, dokonany przez poetę-humanistę włoskiego Karola Marsuppini z Arezzo († 1453), oraz „Ecatombe”,—elegia poety sycylijskiego Marrasio, który zachęca tu tłómacza Batrachomyomachii do przełożenia na język łaciński Iliady. W tymże kodeksie przechowały się wiersze Franciszka de Fiana, poety włoskiego z początku XV-go wieku, w innych zaś rękopismach napotykamy „Historyę Juliusza Cezara” Petrarki, mowy i listy Poggia Braccioliniego, Eneasza Sylwiusza i innych humanistów, tudzież komedyę Leonarda Bruniego p. t.: „Poliscena”.

Ignacy Chrzanowski.



---

1) Oprócz epitafiów Marcina ze Słupcy, ogłosił prof. Brückner z rękopismu petersburskiego tekst znanego już dawniéj z Długosza epitafium Grzegorza z Sanoka na cześć Jagiełły, z uwagi, że w wielu miejscach poprawia omyłki w tekscie Długosza.

„ARGON”,

nowy składnik powietrza atmosferycznego [1].

Przed licznie zgromadzonymi przedstawicielami świata naukowego i na setki liczącą się publicznością w wielkiéj auli uniwersytetu londyńskiego, gdzie z powodu oddawna niebywałego natłoku słuchaczów *Royal Society* swoje posiedzenie z d. 31 stycznia 1895 r. przenieść musiała, zdawał prof. Ramsay w imieniu swojém i prof. lorda Rayleigh sprawozdanie z przebiegu i rezultatu doświadczeń nad nowo przez nich wykrytym w powietrzu atmosferyczném składnikiem gazowym.

Ciało to, którego cechą charakterystyczną jest niesłychana oporność wobec działania nawet najenergiczniejszych pierwiastków i czynników chemicznych nazwano „Argon” (znak chemiczny Ar.), co znaczy po grecku „nieczynny”.

Już przed kilku miesiącami krążyły w kołach przyrodników głuche wieści, jakoby lordowi Rayleigh udało się z gazów powietrza izolować nowy, dotąd nieznany składnik. Pogłoski nie poparte żadną naukową publikacyą przyjęto z niedowierzaniem: obawiano się, że mamy do czynienia z jedném z tych w historyi nauk nie rzadkich „*quasi*-odkryć”, opartych na błędnych lub nie dość skrupulatnych doświadczeniach. Bo i trudno było pojąć, by w najbliższém naszém

---

1) Ze względu na ważność przedmiotu, pomieszczamy niniejszy artykuł, pomimo że dr. Flaum w artykule „Z teoryi i faktów przyrodniczych“ pokrótce rzecz tę wyżéj opowiedział. (Przyp. Red.).

otoczeniu, w atmosferze, której skład od stu lat, od wiekopomnego odkrycia Lavoisier'a, znamy; w powietrzu, które było i jest przedmiotem nieomal codziennych badań chemicznych i fizycznych, w tém samém powietrzu, w którém rozbiór chemiczny stwierdził obecność mikroskopijnie małych ilości ozonu, tlenku azotowego, amoniaku i innych drobniutkich domieszek ciał gazowych, stałych i ciekłych, mógł przez lat tyle uchodzić z pod pilnego oka badacza, jakowyś składnik i to znajdujący się w stosunkowo dość znacznéj ilości, bo około 0.3%. Dziś jednak, mając przed sobą szczegółowe sprawozdanie z ostatniego zebrania w *Royal Society* nie możemy wątpić, że argon jest jeśli nie nowym pierwiastkiem, to w każdym razie nieznanym nam dotąd składnikiem powietrza. Fakt, żeśmy dotąd o egzystencyi składnika tego nie wiedzieli, tłómaczy się częściowo tém, że argon jest w wysokim stopniu chemicznie biernym, a przeto przy pomocy analizy chemicznéj, opierającéj się na wytwarzaniu mniéj lub więcéj trwałych połączeń chemicznych, nie mógł być wykrytym, częściowo zaś i tém, że przyrządy fizyczne, któremi się zwykle w pracowniach posługujemy, nie są jeszcze dość udoskonalone.

Przypadek chciał, by waga, któréj zastosowaniu w badaniach fizyko-chemicznych Lavoisier swoje klasyczne doświadczenia zawdzięcza, i tym razem do niemniéj ważnych odkryć dopomogła. Lecz waga, którą widziéć można było podczas wystawy paryskiéj 1889 r. w historycznie odtworzonéj pracowni Lavoisiera, a ta, którą posługiwał się lord Rayleigh w swoich doświadczeniach, to tak jak z gruba obciosany krzemień, a lancet nowoczesnego chirurga: wielki fizyk francuski z końca XVIII wieku ważył tlen z dokładnością do jednéj dziesiątéj grama,—wielki fizyk angielski z końca XIX stulecia waży z dokładnością do jednéj setnéj... miligrama!

Profesor lord Rayleigh, lepiéj może znany naszemu czytającemu ogółowi pod nazwiskiem sir Williama Thomson'a, znakomity fizyk angielski, postanowił jeszcze przed laty oznaczyć możliwie dokładnie gęstości [1]) najbardziéj znanych gazów. Prace jego w tym kierunku

[1]) Przez „gęstość gazów“ rozumiemy stosunek ciężaru pewnéj objętości, np. 1 cent. sześciennego danego gazu, do ciężaru takiéjże samej objętości wodoru. Zazwyczaj gęstość gazu oznacza się w ten sposób, że najprzód ważymy naczynie napełnione wodorem, a następnie toż samo naczynie ważymy wtedy, gdy w niém znajduje się badany gaz. Ciężar naczynia z badanym gazem, podzielony przez ciężar naczynia wypełnionego wodorem, zwie się „gęstością“ lub „ciężarem właściwym gazu“. Wiemy daléj, że cząsteczki, zarówno ciał prostych jak i złożonych w postaci gazu lub pary zajmują jednakową objętość, a więc i naodwrót w jednakowych objętościach znajduje się jednakowa liczba cząsteczek, bez wzglę-

są bardzo wysoko cenione przez fizyków. Zajęty w ostatnich czasach pomiarami gęstości azotu, zrobił lord Rayleigh spostrzeżenie, że azot wydzielony sztucznie ze związków chemicznych, jak z azotanu amonowego, tlenku azotowego i mocznika posiada gęstość mniejszą aniżeli azot otrzymany z powietrza atmosferycznego, a mianowicie, różnica ta wynosi $^{1}/_{230}$ gęstości azotu atmosferycznego.

Dalsze badania okazały, że zawsze gęstość względnie ciężar atomowy (patrz przypisek) azotu atmosferycznego jest większy, niż azotu otrzymanego z rozkładu związków chemicznych,—ciężar atomowy „azotu chemicznego" równa się bowiem 13.995, zaś ciężar atomowy „azotu atmosferycznego" wynosi dokładnie 14.073. Przypuszczano początkowo, że powyższą różnicę w cięż. atom. przypisać należy zanieczyszczeniu azotu chemicznego wodorem, wydzielającym się równocześnie z azotem przy rozkładzie połączeń chemicznych, i jako gaz nader mało ważki, obniżającym ciężar azotu; robione jednak w tym celu doświadczenia wykazały wkrótce, iż przypuszczenie to było mylném. Nie pozostało przeto nic innego, jak w azocie pochodzącym z powietrza atmosferycznego szukać owéj gęstość, resp. ciężar atomowy podnoszącéj domieszki. Idąc po téj drodze, należało przedewszystkiém odnaléść ciało, któreby również dokładnie pochłaniało azot, jak to czyni rozżarzona miedź wobec tlenu lub silne ługi wobec dwutlenku węgla, dotąd bowiem oznaczano ilość azotu w powietrzu, jako pozostałość po usunięciu całkowitém tlenu i dwutlenka węgla. Jeśli powietrze nie jest w rzeczy saméj, tak jakeśmy dotąd mniemali, mieszaniną li tylko azotu 79.0%, tlenu 20.8%, i dwutlenku węgla 0.2%, to usunąwszy poszczególne znane nam składniki gazowe, powinno pozostać owo ciężar azotu atmosferycznego podnoszące, a nieznane nam dotąd ciało. Po długich próbach okazało się, że taką własność pochłaniania azotu posiada w wysokim stopniu rozgrzany silnie metal magn. I rzeczywiście, przez kilkakrotne i powolne przepuszczanie azotu atmosferycznego przez rurę wypełnioną rozżarzonemi opiłkami magnu, zdołano otrzymać gaz, którego gęstość w porównaniu do wodoru wynosiła początkowo 16.1,—w miarę jednak jak czynność tę powtarzano i im dłużéj gaz ten stykał się z rozżarzonemi opiłkami magnu, gęstość jego wzrastała aż do 19.09: nie mógł to być azot, gdyż gęstość azotu względem wodoru jest

---

du na ich rodzaj. Bezpośrednim wnioskiem, jaki z tego prawa wyprowadzić można, jest ten, że „ciężar właściwy" albo gęstość jakiegokolwiek gazu, przy danéj temperaturze i ciśnieniu, odniesiony do wodoru przy tych samych warunkach, przedstawia względny „ciężar cząsteczkowy" resp. „atomowy" danego gazu w odniesieniu do „ciężaru atomowego" wzgl. „cząsteczkowego" wodoru.

znacznie mniejszą, równą 14.1. Przepuszczając przez czas dłuższy iskry elektryczne przez w powyżéj opisany sposób zdobyty gaz, zdołano gęstość argonu o kilka procentów podnieść, tak że ostatecznie jako najprawdopodobniejszą gęstość przyjęto 19.9.

Oznaczone ciepło gatunkowe pozwala wnioskować, że argon jest ciałem jednoatomowém, t. j. że pewna objętość tego gazu—przy pewnéj temperaturze i ciśnieniu—zawiéra dwa razy mniéj cząsteczek, aniżeli takaż sama objętość wodoru w równych warunkach, a przeto że ciężar atomowy argonu w porównaniu do wodoru, będzie dwa razy większy niż jego gęstość, a więc $19.9 \times 2 = 39.8$ — ciężar, jak dla pierwiastka gazowego nader wysoki.

Badania własności chemicznych argonu wykazały, że pierwiastek ten nie posiada tego, co nazywamy powinowactwem chemicznėm; nie łączy się bowiem, jak to doświadczenia Ramsay'a dowiodły ani z tlenem, ani z wodorem nawet pod działaniem iskry elektrycznéj. Liczne próby celem połączenia gazu tego z dzielnemi pierwiastkami chemicznemi, jak chlor, fosfor, jod, potas, sód, telur, siarka i z całym szeregiem innych — spełzły na niczém. Co zważywszy, jako téż uwzględniając stosunkowo bardzo wysoki ciężar atomowy argonu, który tylko z trudnością w peryodycznym układzie pierwiastków Mendelejewa [1]) pomieścić się zdoła, przypuściéby można było, jak to obecny na zebraniu przewodniczący *Chemical Society*, prof. Armstrong, podniósł, że „argon" jest ciałem złożoném, albo téż może pewną odmianą azotu. Przypuszczeniu jednak temu zaprzeczać się zdają, jak się poniżéj przekonamy, spostrzeżenia prof. Crookes'a z widmem argonu.

Znaczną, bo $2^1/_2$ razy większą niż azotu rozpuszczalnością argonu, tłómaczy się obecność tego gazu w sporéj ilości w wodzie deszczowéj.

Aby zbadać oprócz zwyż wymienionych dalsze a nader ważne czynniki w określeniu fizyko-chemicznéj natury nowego pierwiastka, a mianowicie punktów krytycznych i widma, zwrócili się pp. Rayleigh i Ramsay do znanych w tym kierunku specyalistów uczonych, Olszewskiego i Crookes'a, z prośbą o podjęcie odpowiednich doświadczeń.

Punkty krytyczne, inaczéj temperatura i ciśnienie, przy którém ciała ze stanu gazowego przechodzą w stan ciekły, a następnie i w stan stały, są wielce charakterystycznemi momentami, są te bowiem

---

[1]) Peryodyczny układ pierwiastków Mendelejewa polega na tém, że własności fizyczne i chemiczne poszczególnych pierwiastków zmieniają się peryodycznie i zależnie od ich ciężaru atomowego.

tak jak i ciężar atomowy, ciepło właściwe, gęstość i ciężar właściwy, etc., różne dla rozmaitych ciał, a daléj, łącznie ze zjawiskiem, że i *vice versa* ciała stałe przy pewnéj temperaturze przechodzą w ciecze i pary (gazy), dowodzą, że właściwie nie ma zasadniczych różnic między stanem materyi, stałym, ciekłym i gazowym. Poglądy te jednak dopiéro stosunkowo niedawno (w r. 1877) doświadczalnie stwierdzono. Zasługa to Wróblewskiego, który pierwszy, po mozolnych i znakomicie obmyślonych doświadczeniach, zdołał skroplić tlen, a następnie i wodór, dwa dotąd za „*imponderabile*" słynące gazy. Tém samém obalił Wróblewski dogmat o nieściśliwości gazów i wiarę w trzy zasadniczo różne stany materyi. Przy doświadczeniach Wróblewskiego brał czynny udział profesor uniwersytetu jagiellońskiego, Karol Olszewski, a po śmierci wielkiego fizyka polskiego, prowadził daléj podjęte przez niego badania nad skraplaniem gazów, i tém samém, jako téż i współudziałem w pracach Wróblewskiego zdobył sobie zasłużony rozgłos zagranicą.

Prof. Olszewski, poddając wysokiemu ciśnieniu przy niskiéj bardzo temperaturze, naumyślnie do tych badań przysłany mu z Londynu przez Ramsay'a argon, skonstatował, że punkt krytyczny i punkt wrzenia dla tego gazu leżą niżéj, aniżeli odpowiednie punkty dla tlenu, a więc poniżéj — 131.6° przy ciśnieniu 26.5 atmosfer, ostatecznie zdołał otrzymać argon w stanie stałym w postaci białych kryształków. O tych rezultatach prof. Ramsay zakomunikował w imieniu prof. Olszewskiego na zebraniu w *Royal Society*. Bliższe szczegóły tych ze wszechmiar ważnych doświadczeń zapewne wkrótce poda prof. Olszewski do wiadomości Akademii w Krakowie.

Po Ramsay'u zabrał głos prof. Crookes, by zdać sprawę z podjętych przez niego badań widmowych, ilustrując przytém swoje spostrzeżenia licznemi obrazami widma argonu. Argon, według słów Crookes'a, jest bezwątpienia czémś innéin aniżeli azot. Jest on o tyle tylko podobny do azotu, że tak jak i ten ostatni wykazuje dwa rozmaite widma, zależnie od siły prądu indukcyjnego, względnie od natężenia iskier, które cząsteczki gazu rozżarzają, a przez to i promieniowanie ich wzmacniają. Gdy jednak obraz obudwu widm azotu jest zasadniczo różny, raz bowiem jestto widmo smugowe, drugi raz linijne, to widma argonu są zawsze widmami linijnemi. Dostarczony przez lorda Rayleigh i Ramsay'a gaz pokazywał zwykle obok widma argonu, także i widmo azotu, oczyścić go jednak można było od téj domieszki azotu, poddając kilkogodzinnemu działaniu iskier elektrycznych. Całkiem czysty argon, zawarty w rurkach Plüchera, już pod ciśnieniem 3 milimetrów wykazywał wspaniałe widmo, gdy tymczasem najodpo-

wiedniejsze ciśnienie dla azotu jest 75 do 80 mm. Przy ciśnieniu 3 mm. iskra elektryczna była silnie zabarwiona na kolor pomarańczowo-czerwony, a w widmie zauważyć można było cały szereg czerwonych linii, z których dwie, szczególnie wybitne, mają długości 696.56 i 705.64.

Zmniejszając ciśnienie [1]) i zwiększają siłę prądu indukcyjnego, oraz szybkość elektrycznych wyładowań (iskier), co się da według doświadczeń Crookes'a uskutecznić przez zastosowanie niewielkiéj cewki Rumkorffa, zasilanéj przez 3 ogniwa Grove'go i butelkę lejdejską o powierzchni 120 kw. cali angielskich, można otrzymać widmo argonu odmienne od poprzednio opisanego. Przytém zabarwienie iskry elektrycznéj zmienia swój kolor z czerwonego na blado-niebieski, a w obrazie części niebieskiéj widma można spostrzedz wiele linii zebranych w kilkanaście pojedyńczych grup.

Liczbę linii w niebieskiém widmie podaje Crookes równą 119, w czerwoném 80, razem 199, z tych zaś 26 linii jest wspólnych tak dla czerwonego, jak i niebieskiego obrazu widma. Przy tych obserwacyach zrobił prof. Crookes ciekawe spostrzeżenie, że druciki z glinu pochłaniają azot nawet bez pośredniego działania iskier elektrycznych.

Rozmaitemi sposobami otrzymywany, względnie oczyszczony, argon, wykazywał zawsze jednakowe i niezmiernie charakterystyczne widmo; to utwierdza mniemanie, że mamy tu do czynienia co najmniéj z jednym, jeśli nie z dwoma (dwa widma) nowemi pierwiastkami. Crookes nie zna widma podobnego do tego, jakie wykazuje argon.

W dyskusyi nad temi sprawozdaniami Ramsay'a i Crookes'a wzięli udział, oprócz Armstronga, o którego poglądach jużeśmy wspominali, jeszcze pp. Rücker, przewodniczący *Physical Society* i prof. Robert Austen, znany technolog. Pierwszy z nich nie wątpi, że mimo wszelkich niepewności co do istoty nowego ciała, dalsze tylko bowiem badania wyjaśnią, czy argon jest pierwiastkiem, czy też ciałem złożoném, faktem jednak niezaprzeczonym dziś już jest, że odkryto w po-

---

[1]) Ponieważ światło wysyłane przez rozżarzone ciała zależy od częstości drgań cząsteczek ciała świécącego, przeto rodzaje wysyłanego światła, a więc i widmo jego zależyć będą nietylko od chemicznego składu badanego ciała, lecz także i od przyczyn fizycznych, jak np. ciśnienie i temperatura, które na szybkość drgań mają wpływ bezpośredni. Jeśli bowiem ciśnienie zmniejszamy, to cząsteczki, mając większą przestrzeń poruszać się (drgać) będą swobodniéj, przez co rodzaj i natężenie światła wysyłanego będzie inne, niż wtenczas gdy ciśnienie zwiększamy.

wietrzu atmosferycznem nowy, dotąd nieznany składnik. Robert Austen zaś podnosi, że i dla techniki, a szczególnie metalurgii żelaza odkrycie lorda Reyleigh i Ramsay'a ma ogromną, dziś jeszcze należycie nie dającą się ocenić, doniosłość.

W końcu, na ogólne życzenie zabrał głos lord Rayleigh. Dużo trudnych i zawiłych doświadczeń naukowych robił on w swém życiu, lecz nigdy nie napotkał na tak wiele trudności, jak przy badaniach argonu: każde doświadczenie trwało od 10—12 dni, a wydzielenie argonu w odpowiednich ilościach nie jest wcale łatwą rzeczą. Tém się téż tłómaczy, że z opublikowaniem rezultatów autorowie tak długo zwlekali i że własności argonu mimo to, nie są jeszcze dostatecznie zbadane.

Lord Kelvin, oddawszy należny hołd pracy, zasługom znakomitych badaczy, zamknął pamiętne w dziejach nauk zebranie *Royal Society* z dnia 31 stycznia 1895 roku.

Powiadają, że oprócz owego dnia w r. 1807, gdy to sir Humpry Davy zdawał sprawozdanie ze swego epokowego odkrycia pierwiastków z grupy potasowców i wapniowców, roczniki akademii londyńskiéj nie wspominają o żadnym innym, w którymby ktoś mówił wobec tak licznego, znakomitego *forum*, jak to miało miejsce na ostatniém posiedzeniu w Royal Society, gdy Ramsay i lord Rayleigh swoje odkrycie *urbi et orbi* ogłaszali.

Podajemy tu jeszcze list, pisany przez prof. Ramsay'a do prof. Olszewskiego, a ogłoszony w pismach galicyjskich.

„Londyn, University College, 1 lutego 1895 r.

„Wielce szanowny panie kolego!

„Wczoraj miałem odczyt o argonie przed Royal Society, w którym opisałem pracę lorda Rayleigh i swoją, Croekes'a i pańskie cenne oznaczenia. Taki był natłok, że zebranie nie miało miejsca w zwykłéj sali posiedzeń, lecz w wielkiéj sali uniwersytetu londyńskiego, wobec conajmniéj tysiąca słuchaczy. Wymianie pańskiego nazwiska towarzyszył wielki aplauz; teraz przynajmniéj uczona nasza publiczność nie ma żadnéj wątpliwości co do pańskiego pierwszeństwa w pracach około skroplenia gazów t. zw. doskonałych. Pańska praca zostanie osobno wydana, lecz ponieważ się do tego samego przedmiotu odnosi, przeto zacytowałem pańskie rezultaty w ciągu swego

komunikatu. Na ścianie wisiała tablica z uwidocznionemi pańskiemi rezultatami co do skroplenia gazów; widniało na niéj również nazwisko pańskie, nieco trudne do wymówienia dla angielskich ust. Lecz zaniedbałem dotąd swego pierwszego obowiązku: podziękować panu serdecznie za łaskawy współudział w uzupełnieniu naszego odkrycia. Bez pańskich oznaczeń, byłaby ta rzecz straciła wiele na interesie. Przyjmij pan w moim i lorda Rayleigh imieniu nasze najszczersze podziękowania. Z serdecznėm pozdrowieniem oddany

William Ramsay."

Dr. Jan Roszkowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Sejmiki ziemskie. Początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego 1374—1505“, przez profesora Adolfa Pawińskiego. Warszawa, 1895, in 4-o majori, VIII + 240. Dodatki + LXXII. Nakładem autora. Drukiem Jana Cotty.

Sejm polski poszedł u narodów w przysłowie. Gdy chcą jakieś bezładne, krzykliwe obrady publiczne szyderczo przezwać, nazywają je polskim sejmem. Z czegokolwiek być sławnym, toż-to coś warto. Ale na naszą pociechę i na rehabilitacyę dawnego sejmowania, gdy dziś czytamy sprawozdania z posiedzeń sejmów w Paryżu lub w Berlinie i porównywamy sceny, tam odegrywane, przestajemy się dziwić owym wąsatym sejmowiczom, gdy sobie uszy obcinali. Dzisiejsi deputowani w Paryżu lub Berlinie robiliby to samo, tylko że im karabele już dawno odebrano. Więc nie byliśmy unikatem w historyi — dobra i taka pociecha, skoro lepszéj nie ma.

Żeby jednak prawdę powiedziéć, to ani cudzoziemcy, ani my sami nie mamy dobrego wyobrażenia o dawnym sejmie; do poznania i zrozumienia téj instytucyi, mającéj dzisiaj tylko historyczne znaczenie, czynią się przygotowania. Jedną z takich prac przygotowawczych jest dzieło p. Pawińskiego p. t.: „Sejmiki ziemskie”. Stanowi ono samo przez się monografię skończoną, a z drugiéj strony jest szczeblem do przyszłéj historyi sejmu walnego. Ku temuż celowi zmierza inne dzieło tegoż samego autora „Rządy sejmikowe w Polsce” (1888). Już to, co p. Pawiński zrobił dla lepszego zrozumienia dawnego sejmowania, wystarcza do pełniejszego i ściślejszego obrazu instytucyi, bez poznania któréj i historya jest niezrozumiałą. O ile prace historyczne p. Pa-

wińskiego wyższe są od dawniejszych robót historycznych, to pojmie każdy, kto je czyta i widzi, że nie są to z fantazyi własnéj, lub z fantazyi kronikarzy czerpane wiadomości, lecz mozolnie ze starych wypełzłych dokumentów urzędowych przez całe lata zbiérane okruchy dawno minionych rzeczy. Okruchy te jednak są cenne, bo autentyczne; dzięki im można dopiéro widziéć, jak mało pewnego o swojéj przeszłości wiemy, jak fantastyczne pod wielu względami były wyobrażenia Koronowiczów, Moraczewskich i in.

Nim powstał sejm walny, poprzedziły go na długie lata sejmiki, to jest zjazdy lokalne oddzielnych ziem, wywołane potrzebami chwili a najczęściéj potrzebą piéniędzy. Oto na wykup ziemi dobrzyńskiéj z rąk Krzyżaków (1404) potrzeba piéniędzy; Władysław Jagiełło zarządził tedy złożenie sejmików, aby na nich szlachta uchwaliła zasiłek piéniężny, rozumié się z łaski, gdyż już od przywileju koszyckiego (1374) uwolnioną była od wszelkich opłat z wyjątkiem 2 groszy rocznie z każdego łanu kmiecego. Potém (1406) odbywa się zjazd w Piotrkowie bez udziału króla, w celu obmyślenia sposobu przeciw uciążaniu szlachty dziesięciną przez duchowieństwo; mamy więc nietylko sejmik, ale nawet konfederacyą. Następnego roku (1407) w Piotrkowie także odbył się zjazd, na którym postanowiono, ażeby każda ziemia wybrała u siebie (oczywiście na sejmiku) 4 mężów, mających rozstrzygać spory z duchowieństwem i bronić szlachty od uciążliwości i krzywd. Na elekcyę Warneńczyka przybyli posłowie ziemscy, których mogły wybrać tylko sejmiki ziemskie; posłowie ci łączą się z radą królewską i razem stanowią sejm walny. Charakterystycznèm znamieniem sejmików jest tłumny w nich udział szlachty, a więc i obrady bezładne. W miarę tego, jak się zrastały terytoryalne części państwa, sejmiki ziemskie zaczęły posyłać swoich deputatów na sejmy prowincyonalne do Koła lub do Korczyna. Po dalszém zespoleniu ziem nastąpi sejm ogólny, obejmujący posłów z całego państwa. Wszakże jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka nie doszło do tego, by się utworzyła w ścisłém znaczeniu izba poselska, tylko posłowie z sejmików i sejmu prowincyonalnego przybywający reprezentują interesa swojéj prowincyi, nie zaś całego państwa, słowem, przemaga jeszcze partykularyzm.

Nadmieniliśmy, że wyrabianie się sejmików było głównie spowodowane potrzebą piéniędzy ze strony króla; niemniej ważną sprężyną było pragnienie przez szlachtę coraz nowych przywilejów, lub ich potwierdzanie po wstąpieniu na tron nowego króla. Bezbrzeżny egoizm szlachty dopiéro w takich razach wychodzi na jaw z całą siłą. Oto na sejmie w Sieradzu (1452) szlachta przypuszcza szturm do Kazimie-

rza Jagiellończyka o potwierdzenie przywilejów; król pada na kolana i z płaczem chciałby się od tego wywinąć, gdyż Litwini mogą mu to wziąć za złe. Nic nie pomoże; nie w tym to w następnym roku musi przywileje zatwierdzić, a jeżeli nie zatwierdzi, szlachta nie raczy mu uchwalić podatku, a gdy uchwali, to tylko na ten raz, żeby podatek nie stał się ciągłym. Kiedyindziéj trzeba wypłacić żołd zaległy wojennym rotom, służącym w wojnie pruskiéj. Nowe targi ze szlachtą. Damy — mówi ona — podatek, ale za to otrzymamy nowe przywileje. I tak bez końca i miary, póki do szczętu nie oskubali króla z wszelkiéj władzy.

Nareszcie zjawiają się sławne statuta nieszawskie (1454). Król wezwał szlachtę na wojnę z Krzyżakami, a ona w targi o przywileje i wytargowała, że król nowych konstytucyi wydawać nie będzie, że wprzód na sejmiku powinny one być uchwalone. Ta wojna pruska, ciągnąca się lat 13, posłużyła głównie szlachcie do zdobycia sobie przywilejów, trzeba ją było bowiem rok rocznie powoływać na sejmiki bądź dla otrzymania zasiłków pieniężnych, bądź dla przyzwolenia na pospolite ruszenie. Zatém w drugiéj połowie XV-go wieku sejmiki ziemskie, jako organa polityczne rzeszy szlacheckiéj, już są w pełni rozwoju, stanowią ciała niezależne, które sobie zdobyły udział w prawodawstwie ogólném. Szlachta jednakże, jako stan, nie rozumié z początku solidarności swoich interesów klasowych; powoli jednak zdobywa samowiedzę i zaczyna się oglądać na siebie, zaczyna rozumiéć, że interesa jéj jako kasty są takie same w Wielkiéj jak i w Małéj Polsce, że trzeba jéj działać zgodnie na całéj przestrzeni. W tym celu trzeba się porozumiéć, a stąd powstaną sejmy prowincyonalne: wielkopolskie w Kole, małopolskie w Nowém Mieście Korczynie. Na te sejmy sejmiki ziemskie zaczną wysyłać swoich posłów, ażeby dezyderata obu prowincyi doprowadzić do pewnéj jednostajności i wspólnemi siłami wywrzéć większy nacisk na władzę centralną, bo cała mądrość szlachecka na tém polegała, ażeby wątlić i wycieńczać władzę królewską.

Zdarzało się czasami i tak, że obie prowincye nie zdołały się porozumiéć w jakimś przedmiocie; wtedy jedna powiada do drugiéj: a co mnie obchodzą Prusy, albo: co mnie obchodzą Tatarzy. Jeszcze się te części na dobre ze sobą nie zrosły; gdy chodzi o przywileje, działają solidarnie, ale gdy chodzi o nałożenie głową lub kieszenią, nie znają się, mają się za obcych. Najgorzéj na tém wychodzą sprawy publiczne i król, ich przedstawiciel, bo gdy między wielkimi a małymi Polaki nie będzie zgody na podatek naprzykład, król Jegomość, nie mając

czém płacić żołdu najemnikom, zastawi suknią królowéj Jéjmości u mieszczan krakowskich za 2,000 złotych (1485).

W rozwoju reprezentacyi wyróżniają się trzy stadya: sejmiki ziemskie, sejmy prowincyonalne i sejmy ogólne, czyli walne. Chodziłoby tu między innemi pytaniami o takie. Odkąd można datować udział posłów ziemskich, jako przedstawicieli ogólnych spraw państwa, w sejmie walnym? Albowiem przez całe panowanie Kazimierza Jagiellończyka w sejmach prowincyonalnych i w sejmach walnych biorą oni udział, ale wtedy są jeszcze przedstawicielami interesów partykularnych swojéj ziemi, lub prowincyi. Na to pytanie autor odpowiada, że dopiéro na sejmie piotrkowskim 1493 r. za Olbrachta są już napewno od szlachty tacy posłowie. Zatém dopiéro od tego czasu można u nas mówić o izbie poselskiéj w tym sensie, jak ona istnieje teraz w państwach konstytucyjnych. „Stoimy więc wobec dokonanego zdarzenia — pierwszego w Polsce sejmu, stwierdzonego dowodnie ze wszystkiemi znamionami ustawodawczego zgromadzenia, złożonego z trzech czynników, króla, senatu i gmin szlacheckich w osobie ich przedstawicieli" (str. 181). Może i za Kazimierza Jagiellończyka był już taki jeden lub drugi sejm, ale brak wszelkich śladów wyraźnych każe powyższy z r. 1493 uważać za pierwszy. Dowiadujemy się nadto, że posłom za pracę sejmową płacono dyety już od 1485. Przytoczone listy imienne posłów na sejm piotrkowski (1504) i radomski (1505) wraz z wymienieniem wysokości dyet świadczą najprzód, że posłami bywali dygnitarze lub możnowładcy (Firleje, Tenczyńscy, Tarłowie), jednak z ubogiego skarbu nie wstydzili się pobiérać od 15 do 60 grzywien na osobę (w przybliżeniu od 600 do 2 tysięcy rubli). Taka izba gmin wcale nie przypomina gminu szlacheckiego, lecz arystokracyą, któréj druga część siedzi w senacie.

Przytoczyliśmy bardzo skróconą treść poważnéj i gruntownéj pracy prof. Pawińskiego. Dzięki téj pracy i poprzednim tegoż autora, mamy pełniejsze i prawdziwsze wyobrażenie o sejmikach ziemskich, sejmach prowincyonalnych i ogólnych, aniżeli pokolenie, przed nami żyjące. Zgodzić się téż trzeba na to, co autor, jako wniosek ostateczny ze swoich studyów wyprowadza, że „organizm sejmikowy był podwaliną całéj budowy politycznéj, zasadą kształtującą, jednostką pierwiastkową, naczyniem życia, dźwignią ruchu i tym typowym wzorem, według którego układa się forma całości" (237). Ujemną stroną sejmików, a co one miały u siebie za dodatnią, była ich udzielność, nieoglądanie się na całość, skutkiem czego nastąpiło rozbicie jedności władzy i już do końca istnienia państwa rzeczy pozostały w rozstrzele-

niu tak, że ani sejmiki nie wsiąknęły całkowicie w sejm walny, ani ten nie potrafił złamać ich udzielności (239).

Słuszném téż zdaje nam się być postrzeżenie, iż osławione *Liberum veto* nie było wynikiem swawoli jakiegoś pana Sicińskiego, lecz prostém następstwem téj udzielności sejmikowéj. Każdy poseł sejmiku, związany instrukcyą od panów braci, nie mógł pozwolić na to, do czego instrukcyą nie był upoważniony, gdyż był on przedstawicielem nie całego narodu, lecz tylko swojéj ziemi lub województwa. Słowem, i *liberum rumpo*, mające dzisiaj już niewielu gębaczów za sobą, świadczyło do końca, że się pojedyńcze składowe części nie zespoliły należycie i ciążyły nie do środka, lecz od środka.

Innym, ciekawym szczegółem naszéj przeszłości jest ustalenie daty zaprowadzenia pańszczyzny. Pamiętamy jeszcze, jak niejeden szlachcic wierzył, iż pańszczyzna istniała, jeżeli nie od stworzenia świata, to co najmniéj od potopu, odkąd Cham natrząsał się z ojca Noego. Historycy zaś zaznaczali jako datę zaprowadzenia pańszczyzny, piewszą połowę wieku XVI-go, czasy Zygmunta Starego. Pokazuje się z dzieła, które rozbiéramy, że to ziemia chełmska na sejmiku w Krasnymstawie daleko wcześniéj, bo już 1477 r. dała początek pańszczyźnie i tłokom. Szlachta téj ziemi na wspomnianym sejmiku tak motywuje zaprowadzenie przymusowéj robocizny ze strony kmieci i przykucie ich do ziemi: „Chcąc wszystkie dobra i dziedzictwa wszystkich ziemian i naszych braci w ziemi chełmskiéj, źle się mających podnieść i ulepszyć przez pracę i robocizny kmieci i osadników, tudzież pomnożyć korzyści, postanawiamy i t. d.” Następuje 9 punktów, między którymi pierwszy mówi: „każdy kmieć powinien panu swemu odrabiać z łanu jeden dzień w tygodniu” — potém wylicza się, ile powinien oddawać do dworu kur, jaj, sérów i t. d. Kmieć nie będzie się mógł ruszyć z miejsca, chyba, że wprzód na swoje miejsce wynajdzie innego, dobrego, jak on sam, gospodarza. Fakt istotnie ciekawy, nietylko dlatego, że mocniejszy wyzyskuje słabszego, co było znane oddawna, lecz dlatego szczególniéj, że ten sejmik nikogo nie pyta o pozwolenie na zaprowadzenie tak ważnych zmian w bycie ludności wiejskiéj, że się ma za udzielnego pana i prawodawcę w swojéj ziemi. Dobry przykład ziemi chełmskiéj umiano naśladować i z czasem już niejeden dzień pańszczyzny w tygodniu, ale wszystkie dni tygodnia zabrano na pańszczyznę.

Z dzieła prof. Pawińskiego dużo można się nauczyć — a przedewszystkiém jeszcze raz stwierdzić, że ta historya nasza była martyrologią władzy królewskiéj, że egoizm szlachty był bezbrzeżny. Prawda, mówią, ale i gdzieindziéj nie było lepiéj. Musiało jednak być lepiéj,

skoro inne wynikły następstwa. Wydanie „Sejmików ziemskich" jest wzorowe pod względem typograficznym; papiér, druk, korekta nic nie zostawiają do życzenia. Językowi prawie nic zarzucić się nie da: zaledwie kilka wyrażeń możnaby poprawić. I tak: zakazać przekraczanie granic (158); tytuł, który nie zaprzeczał senatowi ani Olbracht, ani Alexander (215), Małopolska obmyśliła środki obrony wojennéj, któréj konieczność dla niéj wymagało ciężkie położenie (224).

Nie wznawiając spornego pytania, jak rozumiéć wyrażenie Długosza *duos nuntios* (str. 121), trudnoby się zgodzić na twierdzenie autora, jakoby Długosz był „wybornym znawcą łaciny". Z jego historyi nie widać téj znajomości, jaką naprzykład celował współczesny mu Kallimach. *F. K.*

Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimków) na tle stosunków ówczesnego Lwowa. Napisał Korneli Juliusz Heck. W Krakowie. Nakład Akademii Umiejętności. 1894, str. 187, w wielkiéj 8-ce.

Autor téj wielce pracowitéj i sumiennéj monografii od lat już conajmniéj 11, zajmuje się sprawą żywota i twórczości Zimorowiczów; wydał dotąd niejeden dokument, odnoszący się do tego przedmiotu, przedrukował cztery utwory Bartłomieja będące dzisiaj wielką rzadkością bibliograficzną, ułożył i oddał Akademii Umiejętności w Krakowie cały zbiór materyałów, jaki w obrabianéj przez siebie kwestyi zgromadzić zdołał, zbiór, zawiérający 4 numery do życia Szymona, a przeszło 650 do życia Bartłomieja.

Już te zewnętrzne okoliczności zaświadczyć mogą o skrzętności, z jaką się autor zabrał do swéj pracy. Rozejrzenie się w części dotychczas ogłoszonéj, a obejmującéj życiorys Bartłomieja i rozbiór jego działalności do r. 1646 potwierdza w całéj pełni to pochlebne dla pracownika wyrażenie. Podawszy bardzo szczegółowo „źródła i opracowania", dotyczące obu Zimorowiczów, a ocenione przezeń krytycznie, z uznaniem dla tych, którzy coś nowego i ważnego w téj sprawie wypowiedzieli, kréśli autor w obszernym wstępie (str. 18—61) topograficzny opis Lwowa, charakteryzuje mieszkańców jego różnorodnéj narodowości pod względem stopnia zamożności, ogłady, a szczególniéj oświaty, ażeby przygotować tło, na którém rozwijała się działalność Zimorowiczów, a w szczególności Bartłomieja.

P. Heck zna i rozumié metodę nowszą badań historyczno-literackich; zdaje mi się jednak, że w jéj zastosowaniu poszedł zadaleko.

Interesującą niewątpliwie rzeczą jest wiedzieć, jak wyglądał Lwów w początkach XVII-go stulecia, lecz chyba żadnego to światła nie rzuci na twórczość poety, gdy się dowiemy, jakie naówczas były ulice i jakie na nich domy. Jeżeli chodziło o uwydatnienie przeciwieństwa, zachodzącego między przedmieszczanami (jakimi byli Ozimkowie, zanim się stali Zimorowiczami) a mieszczanami, to wystarczało wskazać różnicę przywilejów, dzielących oba rodzaje ludności, nie wdając się w drobiazgowe szczegóły topograficzne, ani też w opisywanie stosunków miejskich. Drobiazgowość tę wyjaśniamy sobie w ten sposób, że autor, zabrawszy się do studyowania tła zaznajomił się z mnóstwem ciekawych dokumentów, których zużytkowanie mu się uśmiéchało, i że nie miał serca odrzucić zauważonych przez siebie szczegółów, chociaż się one w bezpośrednim związku z bohatérem opowiadania nie znajdowały. Jeszcze raz powtarzam, że cały ten rozdział jest ciekawy sam przez się, a jeżeli robię mu zarzut, to jedynie ze względów metodologicznych.

Uogólnienia, do jakich doszedł p. Heck po zbadaniu kultury i oświaty Lwowa, są wielce odmienne od tych różowych poglądów, które w swym „Patrycyacie lwowskim" rozwinął p. Władysław Łoziński. Zdaniem naszego autora, oświata była „wcale niewielką", bo szkoły były liche, drukarni mało, a i te niewiele produkowały. Cała dotacya rektora szkoły katolickiéj przy kościele Panny Maryi Śnieżnéj, wynosiła rocznie zł. 191 i gr. 10, z których, według brzmienia układu, miał jeszcze utrzymywać jednego pomocniczego nauczyciela ze stopniem bakałarza nauk wyzwolonych, oraz żywić kantora, który uczył młodzież śpiéwu i dyrygował chórem w kościele. Kurs w szkole téj trwał trzy lata, a uczniowie według klas dzielili się na: *primani*, *secundani* i *tertiani*. Obowiązkiem ich było w niedziele i święta odśpiéwać najprzód z brewiarza jutrznię, *laudes* i *primam*, a następnie śpiéwać podczas mszy rannéj, odprawianéj zwykle o godzinie 8-éj, tudzież podczas sumy i nieszporów. W dni powszednie odśpiéwywali tylko modlitwy z brewiarza dwa razy dziennie, przed południem i wieczorem, a cztery razy na rok także modlitwy za umarłych. Śpiéwali również podczas mszy żałobnych i brali udział w procesyach i obchodach pogrzebowych. Za to wspólnie z rektorem mieli co tydzień w poniedziałek wolny wstęp do łaźni i pobiérali wszyscy razem również co tydzień 6 groszy z kapituły, 10 groszy od żydów, a 2 zł. i gr. 10 z fundacyi Mieleckiego i Morawińskiego. Za odśpiéwanie modlitwy o św. krzyżu w piątek, oraz za śpiéw w kościele św. Ducha, płaciła kapituła osobno 11 zł. rocznie, a podczas pogrzebów połowa sumy, kantorowi ofiarowanéj, szła na ich korzyść (str. 48). A co do nauki, to dość bę-

dzie przypomnieć, że gdy rektor Ursyn chciał zaprowadzić język grecki, rajcy podnieśli niesłychaną wrzawę i zmusili uczonego humanistę do złożenia urzędu; a powtóre przytoczyć układ, zawarty r. 1608 między kapitułą i rajcami z jednéj, a Jezuitami z drugiéj strony. W układzie tym powiedziano, że odtąd Jezuici wstrzymają się od uczenia ortografii i etymologii (t. j. pierwszych zasad gramatycznych łacińskich) i uczniów, do tego jedynie zdolnych, odsyłać będą do szkoły katedralnéj, nawzajem zaś rektor téj szkoły odsyłać ma do kolegium jezuickiego wszystkich tych uczniów, którzy, nabrawszy już wiedzy elementarnéj, zechcą się kształcić daléj i obszerniéj (str. 49). Obok téj szkoły katedralnéj powstała druga w XVI-ym wieku przy klasztorze Franciszkanów, ale o niéj nie udało się autorowi zebrać jakichkolwiek danych. Jezuici w r. 1608 uroczyście otworzyli szkołę swoją, gdzie uczyło dwu profesorów teologii moralnéj, a trzech dla gramatyki i wogóle humaniorów. Uczniów wstąpiło do niéj odrazu 200, w r. 1613 było ich już 550, a w 1630 około 700, pomiędzy którymi 12 uboższych znajduje pomieszczenie w bursie, założonéj w r. 1620 przez przez Mikołaja Kiślickiego, proboszcza w Zamościu, będącego synem wzbogaconego rzeźnika lwowskiego. Ale nauka u Jezuitów we Lwowie nie stała w XVII-ym wieku wysoko. Ormianie mieli szkołę osobną, Ruś także przy bractwie stauropigialném.

A co do drukarni, to pierwszą polską we Lwowie założył Mikołaj Szarfenberger r. 1578, ale ją po kilku miesiącach zwinął; w 1581 spróbował interesu Paweł Szczerbicz, lecz „przykład jego chyba był odstraszającym, bo minęło lat 11, zanim nowy drukarz odważył się wstąpić w jego ślady". Ostatnie dziewięć lat wieku XVI-go przedstawiają „walkę nadmiernych usiłowań z widoczną obojętnością mieszkańców". Istnieje wprawdzie drukarnia, ale w przeciągu lat 9-ciu kieruje nią aż trzech właścicieli kolejno. Potém znowu cisza przez lat 14, tak, że dopiéro w r. 1615 przerywa ją równocześnie dwu drukarzy: Wawrzyniec Małachowicz i Krzysztof Wolbramczyk, ale jeszcze tegoż samego roku przestają drukować. Dopiéro Jan Szeliga zdołał się utrzymać przez lat 18 (1618—1635). Po nim znowuż przez lat 10 głucho, gdyż w tym przeciągu czasu drukuje książki w 1642 i 1643 tylko Sebastyan Nowogórski. Wreszcie zajęli się drukarstwem Jezuici i prowadzili drukarnię aż do r. 1760, ale „oznaki życia jéj słabe, a działalność wcale nieznaczna". Obok jezuickiéj próbował w r. 1671 założyć drukarnię Jakób Mościcki, ale po dwu latach przeniósł się do Krakowa. Wreszcie Wojciech Malczewski zdołał wytrwać lat 10 (1684—1693) i kończy w tym względzie wiek XVII-ty. Drukarstwo we Lwowie ustaliło się dopiéro w stuleciu XVIII-ém.

Przytoczywszy te dzieje drukarstwa i wspomniawszy o małéj liczbie dzieł polskich, wydanych we Lwowie, autor dodaje: „Choćbyśmy nawet przypuścili, że obraz na podstawie bibliografii Estreichera odtworzony, jest niedokładnym i choćbyśmy za pewne przyjęli istnienie podwójnéj ilości dzieł, tam przytoczonych, to przecież stanu drukarstwa lwowskiego nawet stosunkowo pomyślnym nazwać nie możemy, zwłaszcza, że stoimy wobec faktu inaczéj niewytłómaczonego: częstego drukowania dzieł autorów lwowskich po wszystkich innych miastach, ale tylko nie we Lwowie" (str. 54). Oświata zatém nie mogła się rozchodzić na wielkie grupy mieszkańców, a jeżeli w wieku XVI-ym i początkach XVII-go widzimy żywszy ruch umysłowy w duchu humanistycznym we Lwowie, to wytworzyły go jednostki, zbogaceni patrycyusze. Ale ruch ten mieszczański szybko przeminął i ważnym jakimś zwrotem w literaturze się nie zaznaczył. Już z początkiem XVII-go wieku widzimy tu rozpanaszającą się scholastykę, a równocześnie z nią wielką żarliwość religijną, któréj wyrazem pisma ascetyczne, panegiryki, testamenty fundacyjne. Autor jednakże zaznacza, że mimo tę żarliwość, lwowianin katolik „stosunkowo do pojęć ówczesnych, postępowania innych miast był nawet w wysokim stopniu tolerantem"; obrzydzenie miał tylko do protestantów i nie dopuszczał ich do osiedlenia się w swojém mieście (str. 60).

Na tak szeroko zarysowaném tle rozwija p. Heck szczegóły życia i działalności Józefa Bartłomieja Jana Zimorowicza. Co prawda, i tutaj jeszcze, zwłaszcza w I-szym rozdziale, gdzie jest o wychowaniu i młodości przyszłego pisarza, znowuż bardzo dużo, może nawet zadużo miejsca zajmują opisy tego, co mógł Bartłomiéj widziéć i słyszéć we Lwowie; w każdym jednak razie, istnieje większa spójność między temi zewnętrznemi okolicznościami, a rozwojem umysłowym bohatéra opowiadania, aniżeli w owym wstępie. Czytamy tu o wychowaniu i wykształceniu (bardzo małém) Bartłomieja, o pierwszéj jego miłości i pierwszych wielce słabych próbach jego twórczości młodzieńczéj. Rozbiorowi tych pierwszych prób („Żywot kozaków lisowskich", „Testament luterski", „Pamiątka wojny tureckiéj") poświęca autor rozdział osobny, drugi z kolei. Mniéj właściwie nazywa „Żywot kozaków" i „Testament luterski" utworami „humorystycznemi, biorąc widocznie określenie to nie w znaczeniu estetycznėm, lecz potoczném, nie liczącém się z istotném znaczeniem tego wyrazu. Pierwszy z owych utworów należy nazwać opisowo-satyrycznym, a drugi—pamfletowo-satyrycznym; ale bynajmniéj nie humorystycznym. Słusznie zresztą powiada p. Heck, ogólnie określając właściwości autora: miał młody Bartłomiéj dosyć warunków na poetę satyrycznego, miał wiele dowcipu i tę szczęśliwą naturę, która z łatwością śmieszności u drugich odkrywa;

ale nie miał mistrza, któryby go nawłaściwą drogę nakierował i nie miał tego, co się zowie głębszém wykształceniem i co nieodzownie potrzebne do wykonania prawdziwie artystycznego obrazu" (str. 110).

O „Pamiątce wojny tureckiéj", któréj egzemplarza drukowanego nie mógł p. Heck nigdzie odszukać, ale któréj odpis udzielił mu na krótko p. Żegota Pauli, wyraża się krytyk nieprzychylnie, powiadając, że Zimorowicz nie okazał tu najmniejszego wyobrażenia o plastyczném ugrupowaniu postaci i sytuacyi, że wszystkie szczegóły traktował równomiernie, jakby w opowiadaniu kronikarskiém. Wyróżnia tylko jeden ustęp, w którym poeta, z powodu częstych napadów tatarskich i brania w jasyr mnóstwa mieszkańców, powstaje ostro na nieudolność hetmanów i ramienia rzpltéj, która nie umiała powściągnąć dzikich najezdników i narażała na szwank całą pracę kolonizacyjną na Podolu (str. 120).

W przedstawieniu „wieku męskiego" Bartłomieja (od 1624 do 1646) opowiada p. Heck, jak Zimorowicz został mieszczaninem lwowskim i obrońcą sądowym, jak się ożenił z Katarzyną Duchnicówną, powinowacąc się tym sposobem z wybitniejszemi rodzinami lwowskiemi, jak go spotykały nieszczęścia domowe, jak wzrastał w majątek jak się chwilowo usunął od spraw publicznych i jak do nich wrócił w charakterze pisarza urzędu radzieckiego, jak wreszcie dostąpił godności ławnika. Działalność literacką Bartłomieja z tego czasu obrabia p. Heck w osobnym rozdziale, gdzie rozbiéra panegiryki świeckie i religijne, dziś bardzo już rzadkie, jako to: *Vox Leonis*, *Ecce Deus, ecce homo*, *Advocotus mundi;* oraz pieśni religijne łacińskie: *Jesus, Maria, Joseph* i polskie: „Hymny na uroczyste święta Bogarodzice Maryej". Utwory łacińskie świadczą o oczytaniu się w pisarzach rzymskich, wogóle o ciągłém kształceniu się autora; co do smaku, to panegiryki przedstawiają go w stanie zepsutym, napuszoność, rozwlekłość, nadużycie figur retorycznych, styl zawiły — oto są ich właściwości. Poezyom natomiast przyznaje p. H. znaczne zalety, powiadając o łacińskich hymnach, pisanych leoninami, że to utwór niepowszedniéj piękności" (str. 173) i że on oddzielił poetę „nieprzebytą przepaścią od jego prób młodzieńczych, a polskim pieśniom na cześć Bogarodzicy, lubo je podejrzéwa o pochodzenie postronne, przyznaje więcéj jeszcze natchnienia, aniżeli łacińskim, litanię zowie „wspaniałą" (str. 177). Nie znając *Jesus, Maria, Joseph*, żadnego o tym utworze zdania wyrzec nie mogę, ale co do pieśni polskich, muszę wytknąć przesadę p. Heckowi w ich ocenie artystycznéj.

Na tém kończy się część pracy p. Hecka, dotychczas ogłoszona; mamy obietnicę, iż niebawem nastąpi część druga i ostatnia zarazem, w któréj będzie dokończenie życia i działalności Bartłomieja, oraz charakterystyka Szymona.

Stylistą p. Heck nie jest, pisze systematycznie, jasno, dosyć poprawnie, lecz nie umié żywo i plastycznie odtwarzać postaci i sytuacyi; w rozbiorze estetycznym jest może trochę zanadto formalistą. Z niewłaściwych wyrażeń, prócz galicyzmów, wymienić wypada następne: „skrzydłom młodzieńczych autorów brak już téj energii, co zdolna ich wznieść wysoko na przestworza i rzucić świa tu pod nogi nowy widnokrąg myśli (str. 94). Z niesprostowanych pomyłek zaznaczę przytoczenie z dokumentu: aby panów mieszczan gospodami nie angażował” (str. 129, zamiast angarował, t. j. uciskał). *P. Ch.*

„Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży“, wydany z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém im. d-ra Józefa Mianowskiego.

Pod takim tytułem wyszła z pod prasy książka, powitana bardzo życzliwie przez sprawozdawców pism codziennych i tygodniowych. Ponieważ jestto rzecz, która dotyka pośrednio czy bezpośrednio naszych kochanych „milusińskich”, więc powitać się ją godzi otwartemi ramionami. Niezawodnie! Ale téż godzi się, przez miłość właśnie dla nich, rozpatrzyć książkę dokładnie, na wszystkie strony, aby można było przyjść do wiadomości pewnéj, ile ona przynosi korzyści tym, dla których ją wydano.

Powierzchowność „katalogu” jest bardzo miła. Wydanie piękne, druk jasny i czysty, papiér w gatunku dobrym. Książka pokaźna i nęcąca. Już to samo zachęca do rozejrzenia się w jéj treści.

A treść ta zaczyna się od „Przedmowy”.

Powiedziano w niéj ze słusznością zupełną, że rodzice i wychowawcy, nabywający książki do czytania dla dzieci, miéwają zwykle nie małą trudność w wyborze odpowiedniéj lektury. Ktoby z nich chciał sumiennie wywiązać się z zadania, musiałby sam książki czytać, by ocenić, czy są przystosowane do umysłu dziecka i do wymagań wychowawczych; gdyby zaś na sądzie własnym polegać nie chciał lub nie umiał, musiałby zwracać się do znawców lub do rozproszonéj po pismach krytyki literackiéj, nie zawsze zresztą pewnéj i wystarczającéj. Byłoby to oczywiście zadanie trudne i często wprost niewykonalne. Stąd to oddawna już odczuwano potrzebę przyjścia z pomocą skuteczną wybiérającym książki dla dziatwy i podejmowano u nas kilkakrotnie wydawnictwo katalogów rozumowanych, lub poradników, za

wiérających spisy książek z treściwą oceną. Wspominamy tu o „Poradniku” Karłowicza, o „Krytycznym katalogu” Dygasińskiego i o „Przeglądzie literatury dla dzieci i młodzieży” Nowickiego — jako o pierwszych poważnych usiłowaniach zaradzenia wzmiankowanéj potrzebie. Lecz wymienione tu dziełka, wyczerpane już poczęści, są obecnie niewystarczające, chociażby dlatego, że nie obejmują znacznéj liczby książek, w ostatniém dziesięcioleciu wydanych. Trzeba było tedy pracę podjąć nanowo i wykonać ją w większym, niż dotąd, zakresie...”

I oto, dlaczego przyszedł na świat „Katalog” obecny. Zrodziła go potrzeba istotna.

Z „Przedmowy” dowiadujemy się następnie, jakim trybem zabrano się do opracowania tak pożądanego dziełka. „Przedewszystkiém, aby nie pominąć żadnéj ważniejszéj książki, ułożono możliwą bibliografię literatury dla dzieci i młodzieży, za ostatnie dwudziestolecie, z dołączeniem niektórych książek dawniejszych, a dziś jeszcze w obiegu będących. Przeszło cztéry setki objętych tym spisem książek podzielili pomiędzy siebie współpracownicy grona (osób, pracujących na polu wychowawczém), by każdą z nich przeczytać i pod względem wartości wychowawczéj i literackiéj ocenić... każda ocena była poddawana pod sąd całego grona i dopiéro potém w ostatecznéj formie wchodziła do katalogu”.

Układ katalogu postarano się przystosować najlepiéj do celu i uczynić możliwie dogodnym. „Oceny książek ułożono według porządku alfabetycznego nazwiska autorów. Obok tytułu każdéj książki umieszczono znaki, wskazujące, do jakiego działu pod względem treści książka dana należy i dla jakiego wieku jest stosowna. Na końcu dodano spis systematyczny książek podług treści i spis tychże podług wieku. Co do podziału pod względem treści przyjęto trzy kategorye: *A*. Beletrystyka: powieści, poezye, wspomnienia, pamiętniki, opowiadania i t. p.; *B*. Podróże i przygody; *C*. Książki popularno-naukowe przyrodnicze oraz książki pomocnicze przy nauce poglądowéj. Co do wieku przyjęto podział na cztéry okresy: I-szy do lat 7; II-gi od 7 do 10; III-ci od 10 do 13; IV-ty nad lat 13. Przed tytułem każdéj książki oznaczono jedną z liter A, B, C, jakiéj jest treści i jedną z cyfr I, II, III i IV dla jakiego wieku.

Taki jest plan, przyjęty dla „Katalogu”.

Przyjrzyjmy się jego wykonaniu.

Spotykamy tu 439 tytułów tyluż książek, nie o wszystkich jednakże wyrażono zdania, pozwalające poznać wartość ich pod względem wychowawczym i literackim. Co do niektórych ograniczono się

tylko do uwagi: „wyczerpane”, które to słówko miało, zdaniem twórców „Katalogu”, wystarczyć za wszystko.

Co się tyczy cyfry 439, jeśli postanowiono skatalogować wydawnictwa z ostatnich lat dwudziestu, to jest ona daleka od prawdy, a tém dalsza, że należy z niéj strącić pokaźną liczbę 70, przypadającą na takie książki, wymienione w „Katalogu”, które w granicach wskazanego dwudziestolecia się nie mieszczą. 370 książek, wydanych w ciągu dwóch dziesiątków lat, czyżby to było wszystko? Wszakże „Katalog” wymienia 32 tytuły książek, wyszłych tylko w saméj Warszawie na rok bieżący, a ostrzega, że na tém nie koniec, bo są takie, które się z wyjściem z pod prasy spóźniły. Gdyby po ich wyjściu obliczono cały tegoroczny kontyngens wydawnictw odpowiednich, kto wié, czyby liczba ich tytułów nie przewyższyła pięćdziesiątki. A rok obecny nie jest wcale najobfitszy ze wszystkich lat dwudziestolecia pod względem książek dla dzieci i młodzieży. Wydawnictwo dziełek takich od lat kilku słabnie co do liczby ustawicznie i widzą to doskonale ci, co od dawniejszego czasu z zajęciem ruch ten śledzą. A choćbyśmy tylko cyfrę 40 przyjęli jako przeciętną dla każdego roku ostatniego dwudziestolecia, to i tak „Katalog” chybia pod względem zupełności. Przedmowa twierdzi wprawdzie, broniąc się od przewidywanego snać zarzutu, że nie rości sobie do niéj prawa, ale to, zdaniem naszém, niezupełności owéj nie usprawiedliwia.

Gdyby „Katalog” był zarazem poradnikiem, wskazującym rodzicom i wychowawcom, co dzieciom do czytania dać warto, wtedy nie dziwilibyśmy się wcale, że z pokaźnéj liczby książek, wyszłych w ciągu lat dwudziestu, wymienia tylko 370. Poradnikiem jednak nie jest i pisze o wszystkiém, bez wyboru i różnicy. Ma miéć na uwadze wyłącznie tylko wydawnictwa z lat 1875 — 1895 i niektóre z dawniejszych, „będące dotąd w obiegu”, a z tych dawniejszych wymienia i takie, które są już wyczerpane (Szymanowskiego, „Obrazki z życia znakomitych ludzi”, 1866) i takie, których „nie zaleca” (Lejowéj „Obrazki z dziejów starożytnych”, 1869; Lubicza „Bukiet powiastek”, 1873; Nakwaskiéj „Odwiedziny babuni”, 1834! i inne). A tak, postępując, zmusza czytelnika do zapytania się siebie, co właściwie czynić zamierzał, dlaczego nie nakreślił sobie bardziéj stanowczych dróg i kresów i jasno nie wyrozumował zasad, które raz przyjąwszy, we wszystkiém szanować należało.

Co się tyczy sądów, wypowiedzianych o książkach, razi w nich pewna nierównomierność i takaż sama niezupełność, jak pod względem liczby omawianych dziełek. Są tu oceny wyborne, doskonałe wskazówki wartości książek (np. o „Encyklopedyi dla dzieci”, o Gé-

nevraye'a „Uliczniku", „Bracie ociemniałym" Greena, „Historyi powszechnéj" Grubego, „Synu wdowy" Henninga, o „Dziełach" Hofmanowéj, o „Bajkach i powiastkach" Jachowicza, „Rozrywkach" Kaplińskiéj, „Tablicach do nauki o rzeczach" Wiśniakowskiego, o dziełkach Konopnickiéj, Krakowowéj, Laskarysa, Lejowéj, o „Historyi kęsa chleba" Macé'go, „Naszych praojcach" Malinowskiego, o „Młodości sławnych ludzi" E. Müllera, o „Najnowszéj podróży do bieguna północnego", o pracach Maryi Weryho, J. Wójcickiego i M. Zaleskiéj), lecz są także i takie, które informują częściowo, albo nawet nie informują wcale.

Przy wielu książkach nie wskazano roku wydania (np. prawie wszystkie wydania Himmelblaua), przy wielu nie ma mowy o wartości języka, jakim je napisano, wiele zaś jest i takich, które omówiono parowierszowemi wzmiankami. I to są informacye niezupełne. Ale są i błędne. Dlaczego np. zalecono Andersena „Bajki", kiedy w tém właśnie wydaniu nie jestto książka dla dzieci? A „Latarnika z Bostonu", a Czecha „Podróż pana Brouczka", których także dla dzieci nie pisano? Légouve'go „Szesnastoletnia uczennica", książka dla tych, co się wychowaniem, a raczéj nauczaniem panienek zajmują, w „Katalogu" również jest niepotrzebna. A jest tu takich dziełek więcéj, które, gdyby się przy troskliwym wyborze i umiejętnych wskazówkach „Katalogu" do rąk dzieci dostały, sprawiłyby zadziwienie i kłopot...

Bardzo być może, że grono osób pracujących na polu wychowawczém jest wyborowe w spełnianiu funkcyi, wchodzących do zakresu téj specyalności, a już niezawodnie posiada tyle dobréj woli, ile wystarczyćby mogło do napisania dobrego „Katalogu" — przy pewnym zasobie umiejętności pisania i przy doświadczeniu. Pod tym jednak względem siły pracowników „Katalogu" nie były równe. Niezręczności tam sporo. Beaumonta „Czarodziejskie baśnie" ze względu na „silnie uwydatniony" pierwiastek erotyczny, zaleca się raczéj... „dla starszych, niż dla młodszych dzieci". (A tak ziarno padnie na grunt już przygotowany). O utworze „Krętemi drogami": „jestto powiastka demoralizująca i radzić jéj dzieciom, zwłaszcza wrażliwym, nie możemy" (więc oczywiście niewrażliwym). O Campe'go „Przygody E. Korteza" powiedziano: „Język przekładu nie należy do wzorowych (!), razi szczególniéj nazwa dzikich, zastosowana do mieszkańców Meksyku" (więc mylność nazwy to kwestya językowa). O Castillona „Wakacyach na wsi": książkę tę „czytać mogą tylko starsze i więcéj (zapewne bardziéj) rozwinięte dzieci; mało (zap. niedosyć) inteligentni czytelnicy opuściliby przynajmniéj połowę

materyału naukowego." (To znaczy: połowa tego materyału byłaby dla nich stracona, nieprzystępna). O Chaillou w przekładzie Wrześniowskiego: „Przekład polski, dokonany przez specyalistę-zoologa, daje rękojmię... ścisłości (!) języka." Ponieważ przekład ma świadczyć sam o sobie (ze stanowiska — zoologii), więc „Katalog" powstrzymuje się od sądu. „Bajki" Krasickiego oznaczono przy tytule cyfrą III (dla dzieci od lat 10—13), tymczasem opinia głosi: „Krasicki nie pisał dla dzieci..." O „Robinsonie Kruzoe": „szkoda, że nie postarano się o dostępniejszą formę pod względem języka". O „Opowiadaniach ciotki Ludmiły": „Są to luźne epizody historyczne opowiedziane bezkrytycznie... Książka ta może posłużyć dla dzieci starszych, jako zajmujące dopełnienie nauki historyi."

„Katalog" przeto nie we wszystkiém odpowiada swojemu przeznaczeniu, a kto wié, może dlatego, że opracowywany był za pośpiesznie, że ci, którzy się do téj roboty zabrali, pragnęli jak naprędzéj ukończyć ją, aby zadosyć uczynić potrzebie i pożytkowi publicznemu I stąd, jeżeli istotnie książka posiada pewne braki i usterki, to wszystkie one mają za źródło ów pośpiech, ową gorączkę przysłużenia się czytającéj publiczności.

Z kilku wzmianek „Przedmowy" widać, że redakcya „Katalogu" nie przesądzała doskonałości swéj pracy, że zatém uwagi, mające na celu wskazanie usterek książki, ani dziwić, ani zniechęcać jéj nie powinny. A uwagi te témbardziéj są potrzebne, że przy końcu „Przedmowy" znajduje się zapowiedź opracowywania dalszego ciągu „Katalogu" w przyszłości. Z uwag przeto ta przyszłość (oby najbliższa!) skorzystać może, jeżeli je za słuszne uzna.

A w takim razie dobrzeby było, aby nadewszystko rozszerzono program książki, nie poprzestając na tych jedynie dziełkach, które się znajdują w handlu księgarskim, a to ze względu, że „obieg" książki nie kończy się z chwilą, gdy ona z księgarni wychodzi, ale się właściwie wtedy dopiéro zaczyna. Dziełko, wydane w kilku edycyach, z powodu swojéj poczytności, choć wyczerpane od lat dziesięciu, jeszcze w pewnéj liczbie egzemplarzy wśród dzieci obiega, jeszcze swój wpływ dodatni lub ujemny wywiéra, jeszcze przeto podlegać winno kontroli kompetentnéj i być przedmiotem życzliwie umiejętnéj porady. A takich dziełek obiegających choć z handlu wyczerpanych, jest bardzo dużo. Przed paru laty spotkaliśmy np. w pewnéj rodzinie doskonale zachowany egzemplarz „Bajek" Jachowicza z pierwszéj jeszcze edycyi (Błaszkowskiego), który służy już trzeciemu pokoleniu, a gdzieindziéj widzieliśmy całą bibliotekę książek dla dzieci i młodzieży z przed lat trzydziestu; mają one ciągle swoich czytelników.

Dobrze by téż było, aby w planie przyszłego katalogu znalazły się wszystkie działy literatury odnośnéj. Wszekże to najważniejszy z nich, który ma na celu nietylko sprawy wychowania, ale i kształcenia jest zarazem z natury swéj najpoważniejszym, najpożądańszym i najwpływowszym. Niepodobna prawie wyobrazić sobie katalogu, w którymby nie było wzmianki o takich książkach, jak: „Astronomia" w przedładzie z angielskiego Skłodowskiego, „Bańki mydlane" w tłómaczeniu W. Biernackiego, dwie cenne prace Heilperna, „Olbrzymy i dziwolągi w państwie Flory" W. Niewiadomskiego, „Życie i obyczaje zwierząt" Brehma, „Życie Kopernika" Flammariona, „Początkowa nauka przyrody" Berta, prześliczna „Historya naturalna w obrazach", w opracowaniu Dygasińskiego i Wermińskiego, „W państwie gwiazd" Meyera, „Historya cywilizacyi" Seignobosa, a choćby i nadewszystko cztery tomy wspaniałego zbioru „Złotéj przędzy", które w każdéj bibliotece młodzieńczéj znaléśćby się powinny. Katalog, mianowicie takiego przeznaczenia i téj natury nie powinienby się ograniczać do pewnych tylko specyalności, ale być, o ile można, najzupełniejszym. Co w ciągu pewnego okresu czasu wydane zostało z literatury odnośnéj, to znaléść można w „Bibliografii" Estreichera i w katalogach księgarskich, w bibliotekach i czytelniach, a wreszcie i u wydawców, którzy choć po parę egzemplarzy książek wydanych przez się przechowywać muszą i użyczyliby ich niezawodnie do odczytania pracownikom przyszłego katalogu, widząc w tém interes własny. Prawdopodobnie bowiem dziełka, już wyczerpane, a przez „Katalog" przypomniane i zalecone goręcéj, jeżeli nie *in extenso*, to w przeróbkach odpowiednich doczekaćby się mogły edycyi nowych.

Czyby zaś nie było dobrze katalogom w przyszłości nadać wyraźniejszy charakter poradnika? Idzie nam właściwie o to, aby grupował w pewnych działach książki, najlepiéj odpowiadające swojemu celowi i zalecał to tylko, co zalecenia warto, a pominięciem rzeczy takich, z których więcéj szkody niż pożytku. A w każdym razie musianoby zmienić i ogólny plan książki, rozkładając go na działy odpowiednie. Musiałyby się one stosować przedewszystkiém do wieku czytelników, a następnie i do natury książek i ich treści. I wtedy dopiéro znalazłby zupełne usprawiedliwienie na końcu dzieła spis ogólny książek, wzmiankowanych w katalogu, który inaczéj, przy traktowaniu ich porządkiem alfabetycznym nazwiska autorówt wydaje ppaoəɪs-kiem zbytecznym.

Wracając do „Katalogu rozumowanego książek dla dzieci i młodzieży", sądzimy, że praca ta, bardzo pożądana, nie w zupełności spełnia podjęte przez się zadanie, ale spełnia je w znacznéj części i wyna-

gradza brak książki odpowiedniéj o tyle, o ile dało się to zrobić w rozmiarach stosunkowo tak skromnych. Że jednak pracownicy „Katalogu" zapowiadają ciąg jego dalszy w przyszłości, że zatém to, co nastąpi, będzie nietylko skatalogowaniem wydawnictw przyszłych, ale i uzupełnieniem poprzednich, a dotąd pominiętych (inaczéj byćby nie mogło), przeto, praca dokonana dotychczas, choć sama w sobie nie wolna od usterek i braków, jako część przyszłéj a zupełniejszéj całości, na wartości i wadze zyskać musi i stać się niezbędną.

I właśnie ze względu na to poświęciliśmy jéj tych kilka uwag, które, jeżeli nie są objawem bezwarunkowego uznania, to nie dowodzą téż wcale lekceważenia, pozbywającego rzecz ogólnikami pochwalnemi, niezgodnemi z istotną prawdą.

Nie od rzeczy téż będzie wspomniéć, że już temu lat kilkanaście pewne kółko osób zabrało się do opracowania katalogu na bardzo obszerną skalę i że praca trwa jeszcze, nie obiecując jednak rychłego końca. „Katalog", któremuśmy uwagi swoje poświęcil, wyprzedził je—tém lepiéj. Dał on dobry początek, a da i dobre dzieło, jeżeli się na tym początku nie skończy. Bo wiele ten zrobił, kto zaczął, kto sobie drogę postępu wytknął, kto z doświadczenia własnego wskazówki dla dalszéj pracy czerpać może i kto nie zraził się trudnościami pierwszych kroków. Wszakże to nie odrazu Kraków zbudowano.

St. M. Rzętkowski.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Znawca języka i literatury polskiéj p. W. M. Ławrow, który łamy czasopisma „Russkaja mysl” bardzo często zapełnia przekładami powieści naszych, ogłosił świéżo w Moskwie w tłómaczeniu **Powieści i opowiadania** Elizy Orzeszkowéj (r. 1895, str. 459), nader ładnie i starannie pod względem zewnętrznym wydane. Mieszczą się tutaj cztery utwory: „Nie różowa sielanka”, „Silny Samson”, „Cham” i „Ascetka”. Tenże tłómacz w popularném wydaniu, kosztującém 4 kopiejki, ogłosił przekład opowiadania Henryka Sienkiewicza **Pójdźmy za nim**! Czy u nas ten lub inny utwór znakomitego powieściopisarza znajduje się w tak taniéj edycyi? czy my tak dbamy o rozpowszechnienie rzeczy pięknych i dobrych?...

— W **czasopiśmiennictwie czeskiém** niebywały od lat wielu ruch zapanował, wywołany przez młode siły, niezadowolone z dotychczasowego dobrodusznego nastroju beletrystyki swojskiéj, zapatrzone po większéj części na najnowsze objawy poezyi francuskiéj. Zażądały one „rewizyi” utartych zdań zarówno o literaturze, jak i o jéj sławnych działaczach. Od pewnego już czasu istniało wrzenie w kołach literackich, ale wybuch nastąpił dopiéro z ogłoszeniem w październikowym zeszycie r. 1894 czasopisma „Nasze doba” artykułu

poety i krytyka J. S. Machara o wielce sławionym i ukochanym przez Czechów starszych wieszczu Witosławie Halku, znanym trochę i u nas z przekładu „Wieczornych pieśni" dokonanego przez p. Władysława Bełzę. Pan Machar zdaje się poszedł zadaleko w obniżaniu wartości twórczéj Halka, a wyrażenie nierozważne czy niezręczne, że była to „dusza mała", wyrażenie, które późniéj musiał prostować, mówiąc, że chciał przez nie powiedziéć, iż była to dusza prosta, zabolało oczywiście najwięcéj czcicieli autora „Wieczornych pieśni", wielu dramatów i powieści poetyckich. Okrzyknięto, iż wybuchła rewolucya literacka. Najbardziéj dziś ceniony poeta Vrchlicky wystąpił w piśmie „Hlas naroda" przeciw obozowi dekadentów, do których zalicza się p. Machar, a to jego wystąpienie wywołało w całém czasopiśmiennictwie postępowém opozycyę. W „Czasie" sam Machar kilkakrotnie odpowiadał; a szereg artykułów p. t. „Rewolucya literacka przeciwko literackiemu jezuityzmowi" bronił konieczności szczegółowego przejrzenia dotychczasowych sądów o literaturze, gdyż dawniejsze były koteryjne. „Rozhledy", „Niva", „*Moderni Revue*" (organ dekadentów: Jerzego Karaska i Arnoszta Prohazki) stanęły po stronie p. Machara. W obronie dawniejszych literatów z „Hlasem Naroda" połączyły „Narodni Listy", pisma humorystyczne, a głównie konserwatywna „Osvieta", wydawana przez p. Wacława Vlczka. Tutaj Halszka Krasnohorska najprzód napisała odparcie artykułu p. Machara, a następnie rozpoczęła dłuższą rozprawę o poezyi czeskiéj z ostatnich lat 20-tu. Obok niéj krytyk „Osviety" Franciszek Zakrej niezmiernie gwałtownie i bez dobiérania słów natarł na cały obóz młody w artykule p. n. „Nowe światła". Patrzy on na tę rewolucyę literacką z wielkiém rozjątrzeniem i sądzi, że Czechom grozi druga Biała Góra z najzgubniejszemi następstwami. Jak to często bywa, starsze pokolenie zarzuca młodszemu brak patryotyzmu, a ponieważ łączy z tą rewolucyą kwestyę prawdziwości rękopismów Królodworskiego i Zielonogórskiego, więc w rozjątrzeniu swém nie zna miary. Trzeba wiedziéć, że redaktorem „Naszéj doby" jest T. G. Masaryk, który tak silnie na autentyczności owych rękopismów nacierał w „Athenaeum" przy pomocy Gebauera. Dla nas rzeczy nie przedstawiają się tak groźnie; ruch młody wyburzy się i może istotnie wlać świéże soki w twory literackie.

= P. Horzyca w korespondencyach z Opawy do „Narodnich Listów" w Pradze czeskiéj wystąpił z twierdzeniem, najprzód, że lud-

ność, po lewéj stronie rzeki Olzy w księstwie Cieszyńskiém jest czeska (względnie: morawska), a następnie, że całe Księstwo Cieszyńskie, zwłaszcza zaś kraj między Olzą i Wisłą jest obszarem etnograficznym przejściowym czesko-polskim. Przeciwko temu twierdzeniu żadnym poważnym argumentem nie popartemu, wystąpił dr. *Jan Bystroń*, profesor gimnazyum w Krakowie, rodem z Księstwa Cieszyńskiego, a mianowicie z Datynców Dolnych, w rozprawie p. t. **Stosunki narodowościowe w Księstwie Cieszyńskiém**, i opiérając się zarówno na swoich własnych studyach językoznawczych, jako téż na powadze uczonych lingwistów i etnografów czeskich, jak A. W. Szembera, Franciszek Bartosz i inni, udowadnia, że tylko wąziutki skrawek zachodni księstwa, węższy na północy, szerszy trochę na południu (powiat frydecki) może być poczytany za morawski, gdy cała reszta Śląska cieszyńskiego jest zupełnie polską. Dokładniéj można oznaczyć tę granicę między obszarem polskim a czeskim w sposób następny, przyczém czytelnik posiadający „Ateneum" z r. 1877 (t. II), gdzie do artykułu p. L. Malinowskiego „Zarysy życia ludowego na Śląsku", dodana została mapa etnograficzna, może znaléść kolorem osobnym oznaczoną. Jest nią linia prawie zupełnie prosta od granicy pruskiéj (Gruszów) aż do źródeł rzeki Morawki. „Miejscowości położone na wschód od téj linii — mówi dr. Bystroń — należy zaliczyć do polskich; miejscowości zaś położone na zachód od niéj zamieszkuje ludność, która swoje narzecze nazywa morawskiém, a które uczeni czescy nazywają narzeczem przejściowém czesko-polskiém. Tak więc na zachodzie Księstwa Cieszyńskiego mielibyśmy prawie trójkątny pas czeski, obejmujący przeważną część powiatu frydeckiego i maleńki skrawek powiatu bogumińskiego. Trójkąt ten, na podstawie cech językowych, możnaby jeszcze podzielić na dwie nierówne części. Narzecze mniejszéj północnéj części ma znacznie więcéj właściwości polskich, niż narzecze części południowéj. Różnica ta jest już widoczną, gdy się porówna mowę ludową w Kaniowicach z mową mieszkańców sąsiednich Więcłowic. Gwara Kaniowic ma więcéj właściwości czeskich, niż gwara więcłowska, która bardziéj jest zbliżona do języka polskiego niż do czeskiego. Linia poprowadzona między Więcłowicami i Kaniowicami ku Ostrawicy stanowi granicę między północną a południową częścią tego obszaru językowego. Mieszkańcy Kaniowic nazywają swoich północnych sąsiadów w Więcłowicach Lachami, a ich kobiéty mają strój nieco inny, niż kobiéty laskie." Co do liczby ludności polskiéj w Księstwie Cieszyńskiém, dr. Bystroń oznacza ją na 200,000, wyprowadzając tę cyfrę z następujących pozycyi: 1) Urzędowy spis ludności wykazał w Cieszyńskiém r. 1890 Polaków

177,403; 2) przyrost naturalny od r. 1890; 3) pewna liczba ludności polskiéj zaliczona była do Niemców; 4) pewna liczba ludności polskiéj zaliczona była do Czechów. Dr. Bystroń zamierza kwestyę poruszoną w swéj rozprawce obrobić wszechstronniéj i gruntowniéj. Ażeby zaś pracę taką mógł dobrze wykonać, potrzebuje różnych materyałów zwłaszcza językowych. Uprasza tedy spółziomków o dostarczanie mu takich materyałów, mówiąc: „Gdyby tak każdy, znający dobrze narzecze swojéj miejscowości, zechciał napisać w tém narzeczu zupełnie wiernie jakie opowiadanie, bajkę, pieśń i t. p., to z czasem mógłby się zebrać piękny materyał do opracowania wszystkich narzeczy Księstwa Cieszyńskiego. Dr. Pastrnek, docent filologii słowiańskiéj w uniwersytecie wiedeńskim, zamierzając opracować narzecza słowackie, zaapelował do współpracownictwa Słowaków, a prośba jego odniosła nadspodziewanie pomyślny skutek. Ze wszystkich stron kraju otrzymuje materyały językowe, niekiedy bardzo obfite. I nam, śląskim Polakom, należałoby się zabrać do wspólnéj pracy, w czém naśladowalibyśmy ruchliwszych od nas Czechów." Mamy nadzieję, że odezwa d-ra Bystronia nie przebrzmi bez należytego odgłosu.

= **Schiller i Goethe w pamiętném dziesięcioleciu ich przyjaźni** od połowy 1794 do początku 1805 r. przez *Włodzimierza Spasowicza.* Petersburg, 1895, str. 138. — P. Spasowicz pracami swojemi o Szekspirowskim Hamlecie i o Byronie dowiódł, że, zabiérając się do skreślenia studyum z literatury zagranicznéj, nie poprzestał na obrobieniach dokonanych przez krytyków pierwszorzędnych w literaturach odnośnych, lecz samodzielnie się zagłębiał zarówno w same kreacye twórców, jak i w te różnorodne materyały bio- i bibliograficzne, które do gruntownego poznania życia i działania znakomitych poetów posługują. Tak samo postąpił sobie i w pracy najnowszéj, przedstawiającéj bardzo ważne dziesięciolecie w historyi literatury niemieckiéj, kiedy najwięksi poeci, Goethe i Schiller, we wspólném występowali porozumieniu. Listy obu to niewątpliwie najważniejsze i najautentyczniejsze źródło, z którego szczegóły zewnętrzne i wewnętrzne życie i twórczości czerpać należy, a dzieła w owém dziesięcioleciu powstałe są jakby sprawdzianami wzajemnego wpływu, który Dyoskurowie niemieccy na siebie wywierali. Na tych materyałach się opiérając i biorąc do pomocy informacye skądinąd poczerpnięte, p. S. opracował rzecz swą w trzech częściach; w pierwszéj opowiada „jak się bliżéj poznali dwaj wielcy poeci", w drugiéj przedstawia „politykę" Goethego i „estetykę" Schillera, a w trzeciéj mówi o „owocach związku poe-

tów". Cel swéj pracy określa autor w ten sposób, że nie zamierzał opowiadać życiorysów, ani téż roztrząsać ich utworów w ciągu dziesięciolecia owego; lecz chciał tylko „zestawić sądy ich o ich własnych utworach i ich pojęcia o zadaniach, granicach i prawach tak sztuki poetyckiéj wogóle, jako i głównych rodzajów i gatunków poezyi, w których celowali" (str. 87). Zadania tego dokonał w całéj pełni. Streszczać jego wywodów niepodobna, gdyż odnoszą się one do bardzo znacznéj liczby szczegółów; to tylko zauważyć należy, iż wszelkie zdania, jakie p. S. wypowiada, czy o charakterze poetów, czy o ich utworach i czynach, poparte jest wyciągami z korespondencyi, albo innemi podobnéj autentyczności świadectwami. Książka ta wzbogaca na prawdę szczupłą naszą bibliotekę prac samodzielnych o literaturach obcych. Szkoda, że ją szpeci wielka ilość błędów drukarskich.

= **Derniers essais de critique et d'histoire** par *H. Taine* de l'Academie française. Paryż, 1894, str. 263. — Przyjazna ręka zebrała w tym skromnym tomiku sprawozdania krytyczne, pisane przez znakomitego estetyka w ostatnich latach życia. Nie ma tu wprawdzie tak świetnych szkiców, jak w dwu tomach dawniejszych; ani jeden tu pomieszczony artykuł nie może się np. spółubiegać z wyborną charakterystyką Balzaka; każdy wszakże zawiéra dużo spostrzeżeń, a zwłaszcza uogólnień trafnych, że mianowicie wspomnę o króciutkiéj, ale ładnéj i rozumnéj charakterystyce twórczości p. George Sand. Filozofia, historya, powieść, literatura dostarczyły Tainowi sposobności do wypowiedzenia swoich opinii i przekonań, ale najwięcéj zwracają na siebie uwagi poglądy dotyczące sztuki. Widzimy w tych poglądach taką szerokość, takie unikanie formułek, któreby zacieśniały pomysłowość artystów, że warto im cokolwiek bliżéj się przypatrzyć, zwłaszcza że zwolennicy różnych nowości lubią się na Taine'a powoływać. Otóż w chwili, kiedy się tak dużo mówi o odrębnościach indywidualnych w tworzeniu artystyczném, kiedy wbrew niezbyt dawnemu jeszcze wygórowaniu obiektywizmu naturalistycznego, coraz na miętniéj bywa broniona teza konieczności oddawania w sztuce wrażeń podmiotowych i traktowania zjawisk świata nie tak, jak się on przeciętnemu ogółowi przedstawia, lecz tak, jak je widzi mniéj lub więcéj utalentowana jednostka, dobrze będzie przypomnieć, co w téj mierze myślał taki znawca zagadnień psychologicznych i artystycznych, jakim był H. Taine. — Z wielu rozumnych, a pięknie wypowiedzianych, uwag jego mogliby dużo skorzystać artyści wszelakiego rodzaju. Za-

znaczę z nich jednę tylko. Mówiąc o malarzu Edwardzie Bertin w roku 1889, zastanawia się Taine nad różnicą, jaka zaszła w sposobie przedstawiania przedmiotów przez dawniejszych i nowszych mistrzów. Dawni np. malując drzewo przedstawiali je jako drzewo wogólności, tak, że trudnoby je było wyrazem znamiennym a stanowczym ochrzcić, trudnoby było powiedziéć, czy to dąb czy lipa. Nowsi przypatrzywszy się dokładnie każdemu drzewu, które chcą namalować, odtwarzali już rzeczywiste dęby i lipy, tak odrębne od siebie we wszystkich szczegółach, od kory pnia poczynając, a na liściach kończąc. Ale nie dosyć na tém, dąb czy lipa inaczéj się przedstawiają przy różném oświetleniu i z różnéj odległości, w różnych porach roku; potrzeba je zatém w najdrobniejszych szczegółach i wśród najróżnorodniejszych obserwować warunków i wedle wrażenia, jakie na oku artysty robią te przedmioty, przenosić ich zarysy na płótno. Stąd łatwo już dojść do przesady; artysta zaczyna wierzyć, że plama barwna jest główną rzeczą w przedmiocie, zapominając, że wrażenie optyczne jest tylko wskazówką, iż przedmiot istnieje, że oprócz wzroku mamy jeszcze inne zmysły i umysł, że pod widzialnym kształtem i barwą jest rzecz dotykalna i substancya trwała, że jeżeli malowidło jego nie ukazuje nam natury niezależnéj, czynnéj i ciągłéj, to wrażenia jego, mało mając znaczenia, niewiele posiadają wartości. Gdy już takie wyrobi sobie przekonanie, wrażenia owe stają się dla artysty wartością najwyższą, a niebawem—jedyną; rozważa je oddzielnie, same w sobie, z natarczywością i przesadą, zaostrza jeszcze ich przyrodzone ostrze, upaja się swojemi odkryciami, zaczyna je przeciągać lub substylizować naumyślnie, a ta naumyślność staje się systemem lub manią. Już-to zamiast tłómaczyć naturę przepisuje jéj szczegóły i robi się niewolniczym kopistą; już-to zamiast tłómaczyć popuszcza cugle imaginacyi i zostaje chorobliwym fantastą. Wrażliwość jego rozstroiła się; zamknięty w swéj optyce i w swych sposobach malarskich, w swojéj koteryi i w swojém powodzeniu, odpowiada na wszelkie zarzuty tém jedném słowem: Tak widzę naturę, nie można mi przecież odjąć mego wrażenia... I coraz bardziéj pogrąża się w swe błędy, w przesadę lub opuszczeni, tak iż się oducza lub też nauczyć się nie chce zasad ugruntowanych na wiedzy pozytywnéj i matematyce, ignorując perspektywę, anatomię, modelowanie, różnice oświetlenia w malarstwie i w naturze, kompozycyę, nieodzowność proporcyi, odpowiedniość mas i zbieżność efektów. — Taine zaznacza, że w malarstwie francuskiém równowaga wewnętrzna zachwiała się już przed r. 1870-ym, ale po wstrząśnieniach wojennych owéj doby, została całkowicie zniszczoną; umysły bowiem artystów

nachyliły się stanowczo ku stronie przedstawiającéj wrażenie wyłączne, fizyczne i osobiste, u jednych nierozwinięte i surowe, u innych przedrażnione i przewrotne, tak, że lubowano się w stawianiu siebie samego na pokaz, w bezwstydném odkrywaniu swoich haniebnych zamiłowań, występnych przeokupacyi wewnętrznych wrzodów i brudów, które zdrowy rozsądek tłumów ukrywać każe. — Spostrzeżenia te równie dobrze zastosować można do malarstwa, jak i do powieści francuskiéj, a w téj właśnie może więcéj znaléśćby się dało przykładów owego popisywania się z indywidualnemi wrzodami i brudami, aniżeli w malarstwie. Doktryna bezwzględnego indywidualizmu, bez żadnego hamulca estetycznego i moralnego stosowana, prowadzi nie do rozwinięcia samodzielności, lecz do rozpasania tak samo w zakresie sztuki, jak i w dziedzinie obyczajowéj. Genialne jednostki umieją połączyć cudownie swój indywidualizm wybitny z ogólnemi, powszechno-ludzkiemi, czy narodowemi cechami, ale niebezpieczną rzeczą jest wmawiać w każdego artystę, że jest genialną jednostką—bo można się doczekać wstrętnych karykatur i zwyrodnienia smaku.

= *Mieczysław Offmański.* **Monitor,** czasopismo polskie z XVIII wieku. Lwów, 1895, str. 21. — Praca powyższa, nagrodzona na konkursie ś. p. Kacpra Bieleckiego, rozstrzyganym przez Akademię umiejętności, jest zajmującym, lubo bardzo pobieżnie skréślonym szkicem do charakterystyki działalności i wpływu jednego z najpopularniejszych czasopism polskich XVIII-go wieku. W szeregu czasopism polskich, jakie od połowy XVIII-go wieku pojawiać się zaczęły, „Monitor" przed innemi zasługuje na uwagę, bo był pierwszém pismem, które nie było, jak inne współczesne, suchą kroniką bieżących wypadków, podawanych bez komentarza, ale zdobyło się na samodzielność poglądu i śmiałość wypowiadania własnego zdania. Stąd téż pochodzi wpływ tego pisma na ówczesną czytającą publiczność, oraz popularność i znaczenie, jakie sobie w okresie swego istnienia wyrobiło. Kiedy „Kuryer polski" i „Wiadomości warszawskie" notowały tylko w sposób suchy i bezkrytyczny wypadki miejscowe i zamiejscowe, „Monitor" już w pierwszym numerze wyłuszczył swój program, zaznaczając, że zajmować się będzie żywotnemi kwestyami społeczeństwa. Programowi temu pozostał wiernym przez cały dwudziestoletni okres swego istnienia, t. j. od r. 1765 do 1784, występując z surową krytyką opłakanych społecznych, ekonomicznych i obyczajowych stosunków, udzielając rozumnych i praktycznych rad i wskazówek, podnosząc

inicyatywę wielu reform, które późniéj weszły do programu prac sejmowych. Z programu tego, postawionego jasno i konsekwentnie w piśmie przestrzeganego, okazuje się, że „Monitor" wywiesił sztandar postępu, biorąc przedewszystkiém w opiekę sprawy mieszczaństwa i ludu. Żądał zniesienia poddaństwa, oczynszowania gruntów, dźwignięcia przemysłu, ochrony lasów, równego i sprawiedliwego rozdziału ciężarów podatkowych, wreszcie poprawy obyczajów i ukrócenia zbytków. Te ostatnie żądania wypowiedziane były najczęściéj w formie satyrycznéj wierszowanéj, a autorem tych pełnych dowcipu urywków był nie kto inny, jak tylko sam książę biskup Warmiński. Gryząca satyra, bezprzykładna śmiałość w stawianiu żądań z jednéj, a piętnowania buty szlacheckiéj z drugiéj strony, były przyczyną poczytności „Monitora" i wpływu, jaki wywiérał na współczesnych. Trzymając rękę na pulsie społeczeństwa, „Monitor" korzystał z każdéj sposobności, aby wady i błędy wystawić w zręcznéj satyrze, która, nie tykając osobistości, nauczała, a czasem i rozśmiészała, szerząc wpływ rozumnego słowa w każdéj ważniejszéj bieżącéj sprawie. Redaktorem „Monitora" był ks. Franciszek Bohomolec, znany komedyopisarz, stąd téż i sztuka sceniczna z chwilą otwarcia teatru znalazła na szpaltach pisma gorące poparcie. Dla historyi krytyki literackiéj ciekawemi są rady i wskazówki, jakie Bohomolec podaje autorom, piszącym dramata i komedye. Pomimo zacieśnionych w pewnych kierunkach pojęć, charakterystycznym jest szczegół, jak trafnie oceniał on znaczenie sztuki w teoryi, wskazując, jako cel, przeprowadzenie ogólnéj tendencyi piękna i szlachetności. Autor rozprawki skréślił ogólną charakterystykę „Monitora" na podstawie ważniejszych, w rocznikach tego czasopisma spotkanych ustępów, stosując pracę swą ściśle do ram tematu konkursowego, żądającego określenia znaczenia i wpływu „Monitora" dla umysłowego i moralnego rozwoju w XVIII-ym wieku. Wskutek takiego ograniczenia tematu ucierpiał wielce przedmiot, gdyż po za ogólną charakterystyką programu i poglądów „Monitora" praca p. Offmańskiego nie jest wcale monografią literacką, wyczerpującą studya nad „Monitorem". Cała strona historyczno-bibliograficzna przedmiotu pozostała nietkniętą. Autor nie podał ściśle, ani dat powstania i zamknięcia czasopisma, ani nie opisał formatu i rozmiarów „Monitora", ani nie podał układu materyału i treści 20 roczników pisma. Nie spotkaliśmy téż nigdzie szczegółów o współpracownikach tego czasopisma, o działalności redaktora, o jego stosunkach z innemi pismami i głosach współczesnych o „Monitorze". Cały ten ciekawy materyał oczekuje jeszcze na umiejętne naukowe opracowanie. Praca p. Offmańskiego będzie dla

przyszłego badacza naszéj publicystyki XVIII-go wieku pożyteczną wskazówką i tylko jako taka, zasługuje na zaznaczenie, gdyż pod względem metody i umiejętności wyzyskania przedmiotu wykonana jest zbyt pobieżnie i po dyletancku, aby jéj naukową wartość przyznać można.

W. Prokesch.

= **Wigilija.** Jeden z jasnych dni chłopskiego żywota, napisał d-r *Karol Matyas.* Kraków, 1895, stron 16. — Obchód Wigilii Bożego Narodzenia, święconéj uroczyście, jest i pod strzechą włościanina dniem pogody i wesela. W rozmaitych okolicach i zakątkach kraju przyjęły się u ludu różnorodne zwyczaje, obyczaje i obrzędy wigilijne, sięgające nierzadko pogańskich tradycyi. Wiązankę takich pracowicie zebranych szczegółów ułożył w swéj pracy p. Matyas, dając barwnie skréślony obrazek obchodu wigilii u włościan galicyjskich. Etnograficzne i folklorystyczne szczegóły zbiéra autor we wsi Gorzy ce w powiecie tarnobrzeskim, w Zawadzie, w Nowym Sączcu i Zaborowie pod Brzeskiem. Z powodu mnóstwa nagromadzonych szczegółów, uwzględniających koloryt lokalny i gwarę miejscową, podania i wierzenia ludowe, praca p. Matyasa jest zajmującym przyczynkiem do etnograficznych zbiorów i materyałów, nagromadzonych w pomnikowych dziełach Kolberga. *P.*

= *Lubicz Rafał.* **Kilka zabytków języka polskiego.** Warszawa, 1894. — P. Lubiczowi zawdzięczamy piękny zbiorek dawnych języka polskiego zabytków, stanowiących cenny dla badaczów materyał, z którym czytelników do bliższéj zachęcamy znajomości; zwłaszcza, że rozwój dziejowy języka, ujawniający się w przemianach dźwiękowych, formalnych i znaczeniowych, przedstawia bogate w zjawiska dla psychologa pole. P. L., przeglądając zbiory pewnego klasztoru, wydobył z pyłu zapomnienia dwanaście zabytków, pochodzących z pierwszéj połowy XV-go wieku, t. j. 1) „Pieśń o Zwiastowaniu"; 2) „Zdrowa bądź, królewno" i glosy polskie; 3) ułamek pieśni o wszystkich świętych; 4) wstęp do spowiedzi powszechnéj; 5) spis miejscowości w powiecie rypińskim z r. 1431; 6) glosy polskie w rękopisie łacińskim z żywotami świętych, 7) glosy polskie w tekscie kazań łacińskich z r. 1431; 8) glosy polskie z kilku rękopisów z kazaniami łacińskiemi

zebrane; 9) glosy polskie w tekscie objaśnienia kanonu; 10) słowniki; 11) glosy polskie i czeskie w tekstach ewangelii; 12) wyrazy polskie w „Statutach synodalnych gnieznieńskich". „Pieśń o Zwiastowaniu" mylnie dotąd na zasadzie wersyi Ł. Gołębiowskiego i A. W. Maciejowskiego za utwór Andrzeja ze Słupi Słopuchowskiego uważana. Wszystkie téż podręczniki do dziejów literatury polskiéj, polegając na powadze rzeczonych erudytów, błędną tę wiadomość skwapliwie powtórzyły. Dopiéro Mikołaj Bobowski [1]) mylność powyższéj wykazał hipotezy. Okazało się, że Andrzéj ze Słupi mógł być tylko przepisywaczem, a nigdy autorem téj pieśni. Pr. Nehring, opiérając się na wykładzie Lelewela, utrzymuje, że przepisywaczem był Marek Wschowski ze Słupi. Tekst, przywiedziony przez L., jest inną, znacznie wcześniejszą kopią, dokonaną przez Piotra z Pabianic i Jakóba z Czapli. Autor, porównywając swoją z Maciejowskiego kopią i z uwagami Bobowskiego, stara się przywrócić tekst pierwotny, zapewne z pierwszéj połowy pochodzący wieku. Faksymile tekstu pozwala czytelnikowi zapoznać się z charakterystycznemi wielce cechami oryginału. Co do pisowni i grafiki godne uwagi *ą* nosowe w kształcie alfy greckiéj, z kréską przekréślającą od góry z prawéj strony w kierunku do lewéj ciągnąc się ku dołowi. Dźwięk *j* wyraża się bądź przez *g*, bądź przez *y* z dwiema na wiérzchu kropkami. Takież dwukropkowe *y* bywa niekiedy znakiem miękczenia spółgłosek; np. konycu zam. końcu. Są tam nawet zabytki dawniejszéj, bo z XIV-go wieku pisowni, chącz, zam. chcąc, gresszną, zam. grzeszną. Autor, zapatrując się na Brücknera, który z „Kazań świętokrzyskich" przywodzi formę z*d*ręki zam. z ręki, widzi *d* wtrącone w wyrazach w „Pieśni o Zwiastowaniu", tudzież z „Glosów polskich w kodeksie kazań łacińskich", jak po*źd*rodek zak. pośrodek, z*d*nowienie zam. znowienie, nieścirpie*d*liwy i cirpie*d*liwie. Skąd by tu się wzięło *d*? Azali nie działała w tym wypadku analogia do innych wyrazów? Zapewne, umysł ludzki szuka podobieństw i rad téż, wyraz, którego niepamięta dokładnie, upodobniać do innego, bardziéj znanego sobie. I tak, stosownie do wymowy, po*źd*rodek wytworzył się na podobieństwo takich wyrazów, jak np.: *zd*rogi, t. j. z drogi, z*dr*owie, o*dr*odek i t. p.; nieścirpie*dl*iwy i cirpie*dl*iwie = popę*dl*iwy, sprawie*dl*iwy i t. p. Forma miłosierna (Zdrowa bądź, królewno) jest, według autora, bierni-

---

[1]) „Die polnische Dichtkunst des XV Jahrhundert", Breslau, 1883 i „Polska poezya kościelna aż do XV w.," Warszawa, 1885 r.

kiem liczby podwójnéj, bo się łączy z formą oczy. Ułamek pieśni o wszystkich świętych przywodzi autora do mniemania, jakoby wezwanie do św. Stanisława, stanowiące późniejszy dodatek do „Boga Rodzicy”, pochodzić mogło z rękopisu, którego cząstkę w niniejszym zbiorku drukiem ogłoszono. W ułamku tym zachowały się wezwania do śś. Stanisława, Floryana i Bernardyna. Zasługuje na uwagę przejście dźwięku *f* na *tw*, np: Szwyatby *thw*orzÿanÿe t. j. Floryanie. Forma ta jest w języku staropolskim, brama bowiem floryańska w Krakowie nazywała się tworyańską *(tuoriana)*. We wstępie do spowiedzi powszechnéj z pierwszéj połowy XV-go wieku pojawia się rzadka forma przymiotnika wszelkny i szyk wyrazów tego dla, co znaném z pieśni „Boga Rodzicy” i gwar ludowych. W glosach polskich w rękopisie łacińskim z żywotami świętych mamy np. hynst lub hinst z niem. *hengst* w znaczeniu rzezańca *(eunuch)*, gdy w innych zabytkach wyraża konia wałacha. Przezmądek (bez mądek) również rzezańca oznacza; nieć *(nyecz)* tyle co wnuk, gdy w czeskim *neti* *(genit. neterze)*=siostrzenica, porówn. staropolski nieściora=*neptis*. Głosownia z glos przy kazaniach łacińskich z 1431 r. przedstawia niektóre osobliwości: zakamionały zam. zakamieniały, roz*dr*adzając zam. rozradzając i t. p. Autor miejscowość Giebło w olkuskiém wywodzi od nazwiska Gbela *vel* Kbela. Noszący to nazwisko był bakałarzem nauk wyzwolonych w r. 1422. Zwracamy uwagę p. L., iż w r. 1412 polemizował z Husem w Pradze niejaki Kbel, będący doktorem teologii przy wszechnicy tamtejszéj. Musi być jakiś związek między obu Kbelami, jeżeli nie co do pokrewieństwa, to przynajmniéj co do spółplemienności; wyraz kbel bowiem znaczy po czesku „kubeł”, prawdopodobnie z niem. *Kübel*. Forma więc pomienionego nazwiska jest niewątpliwie czeską. Winniśmy wyrazić wdzięczność autorowi za ułożenie odpowiedniego słowniczka.

Justyn Feliks Gajsler.

= *M. Flaum.* **Alkohol i alkoholizm.** Warsz., 1894, str. 53. — Klęska, którą sprawiają dziś dwie najbardziéj rozpowszechnione trucizny nerwowo-sercowe — alkohol i tytoń jest tak oczywista dla każdego, kto zna trochę fizyologii i ma nieco daru spostrzegawczego, jest tak olbrzymią dla każdego, kto umié rachować, że niezawodnie przyszłe pokolenia będą z większym podziwem wspominać o niéj i cytować na dowód niedołężności i barbarzyństwa naszych czasów, niż my dziś,

mówiąc o paleniu czarownic, torturach i innych pięknych rzeczach z wieków średnich. I nietylko straszną klęską, fizyologiczną, t. j. źródłem systematycznego niszczenia żyjących i przyszłych pokoleń — gdyż *ebrii gignunt ebrios* (pijani rodzą pijanych), ale i ekonomiczną są te dwa nałogi. Dość jest przypomnieć sobie, jakie miliardy pochłaniają one rocznie w sposób nietylko nieprodukcyjny, ale wręcz szkodliwy, dość jest uprzytomnić sobie, ile można byłoby za te bajońskie sumy założyć pięknych instytucyi dla korzyści i przyjemności ogółu: szpitali, szkół, wystaw obrazów, teatrów i t. d., ażeby zrozumieć ile prawdziwych dóbr puszczamy z dymem i parą... To też oddawna znajdywali się ludzie gorącéj wiary, apostołowie wstrzemięźliwości, którzy zakładali stowarzyszenia, pisali broszury, wystawiali obrazki, miewali prelekcye — słowem, wszelkiemi sposobami starali się skłonić ludzi do zaniechania tak szkodliwych i niechlujnych nawyknień... Ale najtrudniéj przekonać człowieka o tém, że czarne nie jest białem, skoro mu to się niepodoba. Przytém ludzie, na których przeważnie spada obowiązek otwiérania oczu ogółowi — lekarze, są albo zbyt obojętni na tę kwestyę, albo zbyt mało skłonni toczyć niewdzięczną walkę z upodobaniami swoich pacyentów i wolą zaléwać lekarstwami smutne następstwa tych upodobań. Jednę jéj część, mianowicie wojnę z alkoholizmem, rozpoczął na nowo przed kilku laty w Niemczech głośny profesor chemii fizyologicznéj, Bunge, a odgłosem téj krucyaty u nas jest broszura p. Flauma. „Fizyologia — powiada jéj autor — potępiła nawykowe używanie napojów alkoholowych, jako stanowczo szkodliwe dla zdrowia, farmakologia pomieściła alkohol w szeregu trucizn obok chloroformu i eteru; patologia dowiodła, że bardzo wielka liczba chorób najrozmaitszych organów wynika nietylko z nadmiernego pijania, lecz i z tak zwanego umiarkowanego, stałego spożywania trunków; medycyna sądowa wykazała, że zwyczaj pijania jest główném źródłem, dostarczającym pacyentów do szpitalów dla obłąkanych, a niebezpiecznych dla społeczeństwa osobników do więzień, wreszcie hygiena naucza, że ważniejsze jest zapobieganie chorobom, niż ich leczenie — a zasada ta niemniéj silne zapuściła korzenie na gruncie hygieny społecznéj. A pomimo to wszystko upierają się ludzie przy tém, że alkohol w życiu codzienném jest nieodzownie potrzebny, a ci, którzy gorszą się mówiąc o zdeklarowanych pijakach, tak są krótkowzroczni, że dostrzedz nie mogą źródła, z którego wypływa pijaństwo (t. j. tak zwane „umiarkowane użycie trunków"). Wszystko to zapewne nie jest nowe, ale nie przestaje przez to być prawdziwém. Uznanie więc należy autorowi, że

o tém przypomina w sposób dobitny i dowodny. Pozwolę sobie zauważyć przytém, że nierównie większą klęskę sprawia tytoń, chociażby już przez to, że używa się ciągle i bez przerwy i że użycie jego ma bez porównania większe rozpowszechnienie. Kiedy ludzie pijący co dnia stanowią mały procent wśród ogółu, ludzie nie palący wśród dorosłych mężczyzn należą do wyjątków. Może się więc znajdzie jaki utopista, który rozpocznie walkę z tym nałogiem, jak p. Flaum z alkoholizmem. Życzę powodzenia obojgu! *Wl. M. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

23-go marca w parlamencie niemieckim. — Polityczne i moralne znaczenie wypadku.—Stare błędy i brak tolerancyi.—Czy prasa ma prawo „zabijania milczeniem“? — Czy środek ten jest skuteczny?—Trwałość zła. — Zdanie Zygm. Kaczkowskiego o walkach dziennikarskich. — Małe kółka i brak wzajemnéj znajomości. — Szereg życzeń.—Korespondenci z prowincyi i „Stały prenumerator“ z Dąbrowy.—Sprostowania i wyjaśnienia. — Kolonie letnie.

Parlament niemiecki na posiedzeniu 23-go marca odrzucił większością kilkunastu głosów wniosek uczczenia Bismarcka w 80-tą rocznicę jego urodzin. Wrażenie taki rezultat głosowania miał uczynić wielkie. W chwili, kiedy to piszę (25 marca), trudno przepowiadać następstwa tego wypadku; najprawdopodobniéj następstw charakteru represyjnego nie będzie. Telegramy mówią wprawdzie o nieobliczonych skutkach głosowania, lecz to przedewszystkiém pochodzi z pierwszego wrażenia. Dotąd prezes parlamentu złożył dymisyę, a cesarz Wilhelm przesłał solenizantowi telegram z oburzeniem z powodu uchwały.

Nie wdając się jednak w przewidywania bezpośrednich konsekwencyi wypadku, warto poświęcić kilka słów jego moralno-politycznéj doniosłości. Fakt zupełnie na to zasługuje. Historya zna wielu, mniéj lub więcéj znakomitych i mniéj lub więcéj pospolitych ministrów, którzy systematycznie i uparcie walczyli z prerogatywami parlamentów. Jeżeli im sprzyjało szczęście, to system swój na czas dłuższy ustalić potrafili. Lecz zdarzało się, jak to było podczas rewolucyi

angielskiéj w XVII w., że walka taka zaprowadziła ministra na rusztowanie. Bismarck należy do pierwszych, szczęśliwych. Urzędownie zniknął on z widowni politycznéj, łaski korony na czas pewien odwróciły się od niego, lecz teraz w osiemdziesiątą rocznicę jego urodzin znów powraca dawna aureola, znów bierze górę duch jego polityki, głosu jego słuchają, jako niezaćmionéj powagi, a mali lub średni synowie wielkiego ojca dostępują urzędów i zaszczytów. Głosowanie parlamentu zapewne ex-kanclerza najmniéj zaskoczyło. Człowiek walki, nienawiści i odwetu mniéj się dziwi może, jeżeli mu wet za wet zapłacą. Przed kilkunastu laty, kiedy Bismarck stał u szczytu siły i wpływu, cytował w parlamencie historyka, że niepopularność jest udziałem każdego ministra, dłużéj będącego u władzy. Wynik głosowania liczbowo jest przedewszystkiém dziełem partyi katolickiéj, która najwięcéj doznała, lecz i najwięcéj zadała kanclerzowi razów. Głosowanie téj partyi, w stosunku do zasad, które reprezentuje, jest i konsekwentne i konstytucyjne. Przypuszczać téż można, że, wbrew przewidywaniom, pod pierwszém wrażeniem powstałym, odrzucenie wniosku uroczystego obchodu urodzin „twórcy jedności niemieckiéj" podniesie powagę młodego parlamentaryzmu niemieckiego i będzie niejaką przestrogą dla przyszłych doradców korony, w ich walkach i zatargach z opozycyą.

Takie, mniéj więcéj, fakt ten posiada znaczenie dla wewnętrznych stosunków niemieckich. Ale nie jest pozbawiony także pewnego znaczenia i dla Europy. Wolno nam nawet w nim widziéć dodatni, pod względem etycznym, objaw. Bismarck należał do Europy, do świata, i jeżeli nie stworzył epoki w polityce, to ją najlepiéj wyraził. On ustąpił, ale duch jego i system trwa. Niedawno, na jednym z kongresów naukowych, któryś ze znakomitych Niemców się wyraził, że kult Bismarcka w tym kraju jest upokarzającém zjawiskiem naszego stulecia i dowodzi zdziczenia obyczajów politycznych. Otóż niezawodnie dobrze się stało, że teraz, kiedy chodzi o apoteozę ex-kanclerza, najpierwsze ciało polityczne w jego kraju kładzie *veto* i nie bierze udziału w uniesieniu tłumów. Byłoby zapewne dobrowolném złudzeniem mniemać, że parlament niemiecki postąpił tak z pobudek humanitarnych, nie zaś politycznych. Najpewniéj tylko te ostatnie były brane w rachubę. Lecz, mimo tego, pozostaje fakt, że człowiek bezwzględnéj polityki, głosiciel hasła „*Macht vor Recht*" i najgorliwszy wykonawca pruskiego „*ausrotten*", pomimo swoich tryumfów, spotyka się z sądem niezależnym.

Głosowanie parlamentu niemieckiego z 23-go marca było jedną

z najpoważniejszych demonstracyi przeciwko Bismarckowi. Podnieść ten objaw trzeba.

* * *

Błędy ludzkie, jeżeli dotrzemy aż do ich dna, nie zmieniają się. W zdaniu tém, rzecz prosta, nie ma nic nowego; to jedna z najbardziéj oklepanych prawd codziennéj filozofii. Ale w biegu życia właśnie, maksymy, które przez starość stały się aż powszedniemi, najczęściéj przychodzą na myśl i najczęściéj się sprawdzają.

Z całkowitą rezerwą dotknąć tutaj należy sprawy, która, około połowy zeszłego miesiąca, stała się przedmiotem licznych komentarzy. (Mówię o smutnéj historyi na ul. Włodzimierskiéj — zajściu między literatami). Dopóki, czy to jakieś grono kompetentne, czy sąd nie ogłosi motywów i całego przebiegu tego faktu, wypada wstrzymać się ze zdaniem stanowczém i bezpośredniém.

Ale powściągliwość taka byłaby zbyteczna, kiedy chodzi o naturę i właściwości naszych stosunków publicystycznych, literackich i dziennikarskich. Wielu z nas nie jest z nich zadowolonych: jeden narzeka, że panowanie koteryi wyłącza wszelką sprawiedliwość sądu, a nawet gorzéj—koterye te systematycznie przemilczają każdy nie miły im objaw kierunku lub talentu; drugi, że przynależność do tego lub innego „obozu" rozstrzyga o powodzeniu; trzeci, że biada temu, kto chce być samym sobą i t. d.

W każdym razie stosunki publicystyczne wymagają gwałtem naprawy. Jakaż to ma być naprawa i jaki jéj charakter? Oto potrzeba przewietrzenia atmosfery moralnéj, potrzeba jawności i sprawiedliwości w opiniach, sądach i postępowaniu. Podczas rozpraw nad owym smutnym faktem słyszałem bardzo wiele słów i wykrzykników, ale nie widać było usiłowań do głębszego zbadania stanu rzeczy wogóle. Gdybyśmy mogli przypominać sobie choć raz na dzień o obowiązku tolerancyi względem innych, to kto wié—możeby zgorszenia nie było.

Czyżby ten wyraz był anachronizmem i został wrzucony do kosza starych rupieci?

A przecież, gdyby ta zasada była przestrzegana i szanowana przez nas, gdybyśmy się umieli zdobyć na uznanie dla talentów i opinii przeciwników naszych — nie byłoby wielkich skandali, nie byłoby fatalnych niechęci osobistych. Ludzie z temperamentem i talentem pamiętać powinni, że źle robią, przetapiając te dary boże na żółć; wszyscy zaś pamiętaćby mogli, że drażniąc się wzajemnie i odmawiając sobie tego udziału w życiu umysłowém, do którego na mocy, na-

turalnie swego powołania i przekonania mają prawo—popełniają występek wobec ogółu i jego moralnego rozwoju.

Przejdźmy jednak do tematu innego, ogólniejszego. Trzeba tu zwrócić uwagę na wybitny objaw dziennikarstwa, który, o ile pamiętam, zasadniczo roztrząsany nie był.

Jednym ze złych i, powiedziéć trzeba, bardzo brzydkich sposobów zwalczania i gnębienia swoich rzeczywistych i przypuszczalnych przeciwników, jest dość powszechnie przyjęty w prasie warszawskiéj zwyczaj zupełnego milczenia o ich książkach, utworach, studyach i artykułach. Na razie jestto broń bardzo skuteczna i celu swego dosięgająca. Uczony, publicysta, artysta, literat, poeta, w naszych zwłaszcza ruchliwych czasach, kiedy w tak wielkiéj liczbie wschodzą i nikną sztuczne gwiazdy na widnokręgu, potrzebuje przypominania o sobie, bo najczęściéj jego powodzenie zostaje w prostym stosunku do pozyskanego rozgłosu. To nie koniecznie miłość własna, nie próżność, to stoi w związku z zawodem, to fachowa strona powołania. Człowiek prywatny często téj potrzeby ani nie rozumié, ani nie uznaje, uważa ją nawet za śmieszną. Dla jednostki występującéj w mniejszéj lub większéj roli na arenie publicznéj — to rzecz wielkiego znaczenia. Znajomość przedmiotu, powolanie, talent nie są wcale dostateczną rękojmią powodzenia, lecz dopiéro warunki życia i działania, otoczenie, zakres poruszanych przedmiotów i nastrój publiczny takiéj rękojmi dostarczają.

Dlatego też bardzo powszechném jest mniemanie, że i największy talent „zabić” można milczeniem. Zobaczymy daléj, ile w tém jest prawdy, ale najprzód zapytajmy, czy środek ten godzi się z uczciwością i etyką, w publicznych stosunkach obowiązującą?

Bezwarunkowo nie. Przemilczanie czy to działalności tych jednostek, które w bilansie społecznym mają prawo ze względu na swoje czyny i zasługi do uwagi publicznéj, czy téż autorów, publicystów i artystów, którzy reprezentują idee silniejsze i podnioślejsze jest ze stanowiska ogólnego, karygodném neutralizowaniem i zmniejszaniem tego kapitału energii, inteligencyi i wyobraźni, który rozstrzyga o cywilizacyjnych kwalifikacyach, prawach i sile społeczeństwa. Jako zaś sposób walki z przedstawicielem innych od naszych pojęć i interesów, poczytane być musi za środek nieszlachetny. Przeważnie też stosowany bywa przez zawistnych, którzy obawiają się otwartéj walki z przeciwnikami, górującymi polotem ducha i zdolnościami. To téż wtedy, kiedy napięcie życia jest słabe, środek ten z największém bywa stosowany powodzeniem, bo leniwe i mętne fale wynoszą na wierzch to, co podczas tętniącego ruchu umysłowego, pozostałoby za-

wsze na dnie. Tam, gdzie się odbywa walka zdań i toczy żywa dyskusya, systematyczne milczenie o przeciwnikach lub niemiłych sobie kierunkach literackich i artystycznych byłoby niemożliwe. Zachodzą wprawdzie wypadki, kiedy się téj tępéj broni chwycić należy. Bywa to wtenczas, kiedy mamy do czynienia albo z człowiekiem złéj wiary, z którym żadna dyskusya nie prowadziłaby do celu, albo z maniakiem, a z maniakami spór prowadzić trudno. Lecz systematyczne pomijanie i „zabijanie milczeniem" talentów, kierunków, idei i przeciwników dlatego tylko, że nie przystają do panującéj mody lub obowiązującego w danym okresie szablonu, że nie chcą należéć do towarzystwa wzajemnéj adoracyi, że pragną działać, myśléć i tworzyć według własnego umysłu i serca — musi być poczytane za jeden z najbardziéj poniżających prasę sposobów nadużywania swego wpływu i zaniedbania ważnego obowiązku. Większość ma zawsze impetyczny pociąg do ciskania kamieniami na tych, którzy różnią się od jéj szablonowych wyobrażeń; dzienniki mają nad to jeszcze milczenie, ale nad prasą, która się nad ten poziom wznieść nie może, wisi groźba martwoty i upadku.

Co zaś do pytania, czy idea, kierunek, artysta lub człowiek mogą być „zabici milczeniem", to jakkolwiek odpowiedź może być tylko warunkowa, jednakże postęp oświaty i rozwój wyobrażeń dodają raczéj otuchy, niż zniechęcenia, t. j. odpowiadają raczéj przecząco, niż twierdząco. Z pewnością Mickiewicz byłby został zabity przez naszych pseudo-klasyków, Wiktor Hugo przez czcicieli akademickich tradycyi, Byron przez obłudników i reakcyonistów, gdyby duch wieku i nastrój moralny ludzkości w tym okresie nie był ich zasłonił przed zaciekłością, potwarzą, bezdusznością i ciasnotą przeciwników. Ludzie téj miary nie obawiają się więc walki, z któréj najczęściéj, pomimo nierównych sił, wychodzą zwycięsko; z milczeniem jednak walczyć niepodobna: ono jest głuche, nieme, niewidzialne. To téż tak dzieje się najczęściéj, iż po wyczerpaniu wszelkich sposobów walki, pospolita zawiść lub niechęć chwyta się téj wypróbowanéj i tępéj broni, jaką jest milczenie.

Zapewne, że dla natur gorączkowych, spragnionych łatwego i szybkiego powodzenia, dla talentów młodych i wrażliwych, które odczuwają boleśnie niesprawiedliwość, wyrządzaną im za to, że żar własnéj duszy i krew własnego serca niosą w ofierze żarłocznemu Molochowi publicznemu — broń ta jest dotkliwą i gnębiącą, i nie jednego pogrzebać, czyli na zapomnienie skazać może. Ale wogóle skutku takiego ona nie sprowadza. Przeciwnie, natury silne, do hartu i walki podatne, wynoszą z prześladowania podwojoną energię i jaśniejszą

świadomość celu. Dlatego i milczenie, które około nich zalega, uczy głębszego i poważniejszego pojmowania swoich zadań, poszanowania sztuki i pracy, która teraz, kiedy do powodzenia i rozgłosu droga zamknięta, staje się jedyną ulgą i otuchą. Ponieważ zaś uznanie, choć przychodzi późniéj, bywa nagrodą wytrwałości, więc ta broń nie jest tak straszną, jak się tym, którzy się nią posługują, zdawać może. Tymczasem powodzenie, które swoim faworytom zapewnia reklama, łaski obałamuconéj lub okłamanéj publiczności, kończą się prędzéj lub późniéj upadkiem i upokorzeniem. Każda rzecz przez samo trwanie zużywa się. Nie potrzeba miéć daru proroczego, ażeby wiedziéć, że z wielu rozdętych w danéj chwili przez reklamę i do stopnia znakomitości podniesionych arlekinów i bufonów, za jakie lat dziesięć drwić i szydzić będą, dziwiąc się zaślepieniu chwili obecnéj. I odwrotnie, ci, co w milczeniu i zapomnieniu zostawali, doczekają się sprawiedliwości i uznania, bo smak publiczny, jakkolwiek zmienny i niestały, posiada przecież instynkt prawdy, a panowanie blagi i szarlataneryi trwałém już w tych czasach być nie może.

Lecz następstwa złego w każdym razie zostają. Żaden twór przyrody: ani mysz, ani mucha, nie są tak płodne, jak zło. W człowieku, który od zła cierpiał, musiałyby leżéć skarby ewangelicznéj dobroci i świętéj pogody duszy, ażeby nie dążył do odwetu i zadośćuczynienia. I zasadę Starego Testamentu ząb za ząb, oko za oko, zło najskuteczniéj odradza.

Ci, odsuwani od tego udziału w życiu umysłowém, który na nich przypadać powinien, zabijani milczeniem wtedy, kiedy z dobrą wolą i mocném przekonaniem bronili swoich zasad i wyobrażeń, zwyciężywszy znów ulegają pospolitéj ułomności natury ludzkiéj, i szukają odwetu na przeciwnikach. Mam mocne przekonanie, że żaden publicysta, żaden krytyk dobréj wiary, nie będzie, powodowany tylko względami niechęci osobistéj, umyślnie milczał o swoim przeciwniku lub przedstawicielu innych idei politycznych, estetycznych lub moralnych, wtedy, kiedy sprawiedliwość i interes ogólny wymagają właśnie zwrócenia uwagi na tego przeciwnika lub przedstawiciela.

Metoda taka, jak powiedziałem, usprawiedliwiona może być tylko albo wobec ludzi złéj woli, albo wobec maniaków, albo wobec jakichś okoliczności siły wyższéj. Ale nawet ci ludzie dobréj wiary, jeżeli do nich ten system stosowano, odpłacą urąganiem i złośliwością.

„Zabijanie milczeniem" powinno więc być i z etycznego i z publicznego stanowiska potępione.

Prasa, wierząc w ten system, nie jest chyba świadomą bezdusz-

ności i cynizmu, któremu służy. Nie wspomniałem tu o ważnym czynniku: konkurencyi handlowéj, dla któréj przedsiębiorcy wzajemnie zasłaniają się milczeniem. Ta, niezaprzeczenie ważna, strona przedmiotu wymagałaby oddzielnego traktowania. Interesa przedsiębiorców nie mogą być jednak łączone z etyką i zadaniami, obowiązującemi publicystów.

Kiedy mówimy o walkach, systemach i obowiązkach prasy, posłuchajmy, co myśli o tém tak niepospolity autor i dzielny publicysta, jak Zygmunt Kaczkowski. „Jeżeli do pewnego czasu rozumiano — pisze on — że dziennik może wywierać wpływ na opinię publiczną, to już dawno się przekonano, że była to tylko ogólnie rozpowszechniona omyłka. Dziennik tylko dostarcza ogółowi środków do wyrobienia opinii publicznéj, ale sam ani jéj tworzy, ani téż nią nie kieruje. Jeden z najpierwszych dziennikarzy we Francyi, a zarazem i w Europie sam się przyznał na starość, iż wśrod swojego pięćdziesięcioletniego zawodu i za pomocą kilkunastu dzienników, które założył, nie zdarzyło mu się ani jednego razu wywrzéć stanowczego wpływu na opinię publiczną. Z takiego na dziennikarstwo zapatrując się stanowiska, pytam się, ażali to jest tak ważném, albo téż tak niezwykłém zjawiskiem, że te lub owe dzienniki ze sobą się poróżnią? Jedyna szkoda, jaka stąd dla publiczności wynika, na tém się ogranicza, że te miejsca, które zapełniły swojemi sporami, mogłyby były wypełnić pracami, pożytecznemi dla czytelników. Ale i to się odnosi tylko do sporów o wpływy na publiczność, o abonentów, o chléb powszedni. Są wszakże spory o zasady i przekonania, a tym zapewne nikt nie odmówi pożyteczności, nawet w takim razie, jeżeli namiętność uniesie walczących po za granicę przyzwoitości. Nie masz walki bez ofiar, a z walk duchowych zawsze ogół odnosi pożytek. Walka zaś o zasady i przekonania jest obowiązkiem dzienników. Jak żołnierz jest na to żołnierzem, ażeby bronił fizycznych granic swego kraju, tak dziennik powinien bronić skarbów duchowych ogółu, a tylko ignorant albo świętoszek może po dziennikach wymagać, aby każdy z nich zamknął się w sobie i wstrzymał się od walki z tymi, którzy w jakibądź sposób naruszają moralną własność społeczeństwa.”

Wolno więc, a nawet trzeba walczyć, pod warunkiem, dodajmy, żeby ta walka odbywała się z dobrą wiarą i żeby z téj walki nie wychodziło przy każdéj okazyi ciasne „ja”. Byłoby z pewnością lepiéj, zyskiwałby na tém i smak publiczny, i przedmiot, i sami zapaśnicy, gdyby spór nie dochodził do osobistości. Doświadczenie przekonywa jednak, jak trudno ziścić się temu pobożnemu życzeniu. Może to rodzaj

pracy tak nadużywa siły i rozdrażnia nerwy, że walki w prasie są tak namiętne i gorszące. Najczęściéj brak spokoju i równowagi.

Podniósłbym krótko jeszcze jedną stronę tych stosunków. Oto dziennikarzom i literatom potrzeba większéj, wzajemnéj znajomości samych siebie.

Rozbici na kółka i koterye, na małe zbiorowe egoizmy, nie łączą się z ludźmi innych popędów i pojęć. Każde takie kółko przemawia swoim dyalektem, wyobrażając sobie, że ono posiada monopol na literaturę i krytykę, na ogólną opinię i sprawę publiczną, na obyczaje i wyobrażenia, na kodeks moralny i kodeks estetyczny. Nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć o tém, że najwięcéj się uczymy od przedstawicieli innych, od naszych zapatrywań, i jak wielką korzyść przynosi dokładne poznanie nieprzyjaciela. Atmosfera kółek wzajemnego pochlebstwa z hasłem na czele, że ręka rękę myje, a noga nogę wspiera, sprzyja zapewne interesom i próżności osobistéj, nie naraża na zasadnicze starcie zdań, na ogniową próbę dyskusyi, ale prowadzi za sobą złe konsekwencye, o których przedewszystkiém działacze publiczni wiedzieć powinni. Ta atmosfera hoduje zawsze ciasnotę moralną, egoizm wyłączności, zabija możność wytworzenia się téj równowagi i szerokości poglądów, które nie wahają się czerpać prawdy, skądkolwiek ona pochodzi. Powiedzieć to bez ogródek należy, że w naszém społeczeństwie większość taką właśnie lubi oddychać atmosferą. To sprawia, że jednostki wybitne, silne i oryginalne, do pierwszorzędnych funkcyi stworzone, nie mogąc, nie umiejąc przystosować się do mizernego, obowiązującego szablonu, giną na uboczu, pożerane szyderstwem i zalewane goryczą. Na ich miejscu rutyna i płytka szarlataneria rej wiodą. To źle, to bardzo źle, kiedy taki duch przeważa w społeczeństwie, zgromadzeniu lub instytucyi.

Cóż dopiéro, kiedy się wkradnie do „szóstego mocarstwa"! Carlyle pragnął kiedyś, ażeby publicyści byli inteligencyami wyborowemi, apostołami i purytanami. Wobec wielkiego wzrostu dziennikarstwa, nie starczyłoby wprawdzie ludzi, nad przeciętną miarę sięgających, ale źle, jeśli pewien specyficzny spryt i rzemieślnicza wprawa słowa zastąpią wszechwładnie zasadę, temperament, powołanie i talent, o które, jak o zbyteczne przesądy, nikt nie pyta.

Pisano, w ostatnich czasach, wiele o moralnym poziomie prasy, wyrażając obawę, ażeby nie uległa takiemu zepsuciu, jak to bywa w Europie zachodniéj; domagano się reform. Któżby ich nie pragnął? Zwróćmy uwagę chociaż na najprostsze: miejmy uznanie zarówno dla talentów, jak i opinii przeciwników naszych, byleby były usprawiedli-

wione; porzućmy fatalną praktykę odsądzania przeciwników od zdolności, inteligencyi i charakteru, bo człowiek ucywilizowany têm się także różni od barbarzyńcy, że potrafi i nieprzyjacielowi oddać słuszność; pohamujmy swoją nadmierną drażliwość wobec rzeczy drobnych, wobec ukłuć miłości własnéj, bo nie starczy nam wrażliwości na rzeczy większe i ważniejsze; unikajmy blagi, szanujmy prawdę, bo inaczéj dziennikarz stanie się synonimem kłamcy i paliwody; nie uciekajmy się pod skrzydła towarzystw wzajemnéj adoracyi, które niweczą wszelką zdrową krytykę i postęp, rozwijając natomiast jednostronność i ciasnotę, nieprzyjazną każdéj oryginalności i niezawisłości; nie służmy tak gorliwie téj królowéj chwili, zwanéj reklamą, która sprowadza najhaniebniejsze następstwa i grozi upadkiem smaku publicznego; nie przemilczajmy zasługi, ale i nie wytwarzajmy jéj sztucznie; pamiętajmy o obowiązkach względem ogółu i dlatego piszmy, jeżeli nie umiemy pisać pięknie, to choć starannie i logicznie, ażebyśmy wobec wykształceńszych czytelników wstydzić się nie potrzebowali; nie naśladujmy obfitéj wymowy przekupek, starając się o treściwość i powściągliwość słowa.

Wiem dobrze, że dziesięć razy dłuższa litania najlepiéj dobranych życzeń i nakazów nie sprowadziłaby pokoju, zgody i sprawiedliwości w żadnym, a têm więcéj w dziennikarskim i pisarskim świecie; ale jednak ludzie muszą, od czasu do czasu, sprowadzać do pewnych jasnych i stanowczych formuł pobudki swego działania i postępowania. Bez takiego krytycznego sprawdzianu zapuszczają się, jak ślepi, w chaos uniesień i błędów, rozbijają sobie charaktery i... ciała.

* * *

Korespondencye z prowincyi mogłyby posiadać dla mieszkańców i pism wielkomiejskich niepoślednią wartość, gdyby się odznaczały dobrą obserwacyą faktów, ogólniejszym rysem stosunków i żywszém odczuciem tętna życia w kraju.

I człowiek przebywający w mniejszém mieście, miasteczku i na wsi może być zawsze pożyteczny, jeżeli obrócić czas zechce na dokładniejsze poznanie warunków, wśród których społeczeństwo porusza się i działa. To dokładne poznanie jest tam bez porównania dostępniejsze, niż w wielkiém mieście, gdzie nie łatwo objąć ogół objawów, ludzi i faktów. Tylko nie należy zwracać wyłącznie uwagi na strony ujemne, jak: zazdrość, swary, gniewy i obrazy, plotki i insynuacye, wielkie zabiegi o małe interesa, całą nędzę i komedyę życia

w karykaturze. Ludzie dobréj woli, których los umieścił na partykularzu, znajdą tam niezawodnie środki do czynu i obserwacyi.

Korespondent z Dąbrowy Górniczéj, podpisany: „Stały prenumerator” („Kuryer Warszawski”, nr. 63) zdaje się posiadać pożądane do rozumienia i odczuwania życia kwalifikacye. Widzi, czuje i myśli. O wielu fachowych pisarzach powiedzieć można tylko—że piszą. Ach! kiedy znów powrócą czasy, w których do pisania, oprócz papiéru i atramentu, potrzebna będzie myśl i uczucie.

„Wracając kiedyś — pisze między innemi Stały prenumerator — w czasie najtęższych mrozów około północy do domu, spotkałem z niemałém zdziwieniem obok przejazdu kolei dąbrowskiéj kobiétę, siedzącą w śniegu na skrzynce z jedném dzieckiem na ręku, a drugiém obok niéj w nogach. Przy nocnéj ciszy dokoła i przejrzystém, mroźném powietrzu ta grupa rodzinna, któréj ciekawie przyglądał się księżyc i skrzące na firmamencie gwiazdy, a bielizna śniegu na ziemi uwydatniała najmniejszy strzępek pokrywających ją łachmanów, tchnęła majestatem straszliwéj grozy.”

Cóż to za kobiéta? Wdowa po wyrobniku, wyrzucona z dziećmi przez własnego ojca na śniég. Odwrotny stosunek, niż w Szekspirowskim „Lirze”.

Ażeby wyrobnica zwróciła na siebie uwagę, potrzeba było sceny z zimowym krajobrazem i tęsknem światłem księżyca. Cnota ludzka śpi głęboko i cuci się wtedy, kiedy nieszczęście bliźniego stanie przed nią, jako monstrum, kiedy konwulsyjnie krzyknie i wnętrzności swoje obnaży. I czém się tu gorszyć, iż żebracy drapują się w łachmany, i w zapędzie patosu opowiadają o sześciorgu drobnych dzieci, przy jednéj choréj piersi. Każdy tak gra swoją rolę, jak mu potrzeba.

Na wyrobnicę zrobiono tymczasową składkę, ale przy téj okazyi p. korespondent z Dąbrowy pisze kilka trafnych uwag o praktykowaniu miłosierdzia i ofiarności. „Na razie zaradziliśmy téj wyjątkowéj nędzy, ale cóż zrobimy z innemi, które codziennie niemal, choć w sposób mniéj rozpaczliwy, wzywają miłosierdzia publicznego? Nie przesądzając, by było naszym zwyczajem, zamykać oczy i zatykać uszy na wołanie nędzy ludzkiéj, muszę z tém wszystkiém stwierdzić fakt, że nie umiemy, czy nie mamy wyrobienia w niesieniu pomocy potrzebującym. Wyznajmy otwarcie, że wezwani do ofiarności, przechodzimy najpierw niemą wewnętrzną walkę, czy dać, czy nie dać i choć dać zwykle bierze górę, na decyzyę naszą wpływa więcéj osoba, która zbiera składkę, aniżeli cel, na jaki ją zbiéra. Prostém następstwem jest to, że wówczas sypiemy datki nad możność, czego w duszy jednocześnie żałujemy.”

Po tak wywołanéj hojności następuje faza samolubstwa i znieczulenia. Wezwanie więc do innéj składki przyjmujemy wykrzyknikiem. „masz! znowu!” „Jak więc praktykować ofiarność? — zapytuje korespondent i słusznie odpowiada: „Służę czém mogę, ale zawsze i ile tylko razy zajdzie tego potrzeba.”

Najpraktyczniéj i najlepiéj. Co jednak począć z próżnością ludzką?

* * *

Podczas ostatnich kilku tygodni w pismach naszych znalazły się wyjaśnienia na pewne zarzuty, stawiane naszemu społeczeństwu przez korespondentów do niektórych dzienników petersburskich.

Przedmiotem tych wyjaśnień i sprostowań były rozmaite sprawy, kraju naszego dotyczące. Sprawy te, o charakterze prostym i ekonomicznym, korespondenci przedstawiają często, jako bardzo skomplikowane i ubarwiają je politycznie.

Jeżeli np. mówią o subwencyi dla teatrów rządowych w Warszawie, to ganią udzielanie zasiłku skarbowego dla podtrzymania sceny tutejszéj. Odpowiedziano im więc, że dochody, otrzymywane z przedstawień dramatu i komedyi nietylko wystarczają na pokrycie wydatków, ale z nadwyżki korzysta opera i balet, które znów są utrzymywane według wyraźnych przepisów rządowych, tak, że liczba przedstawień opery i baletu ściśle się do tych przepisów stosować musi.

Jeżeli mówią o położeniu rolnictwa, to ganią rolników tutejszych za chęć pozyskania jakichkolwiek ulg, nie wiedząc o tém, że podatki gruntowe tutaj przewyższają podatki w cesarstwie.

Jeżeli producenci i przemysłowcy tutejsi biorą udział w wystawach, urządzanych w miastach cesarstwa — korespondenci objaśniają to w sposób mniéj więcéj następujący: „przemysłowcy z Królestwa pragną jak najszerszego rozwoju swego przemysłu i zbogacenia się kosztem innych części państwa. Kieruje nimi rachuba ściągnięcia do siebie obstalunków.” Jak gdyby w takich pobudkach było coś nienaturalnego, jak gdyby gdziekolwiek i kiedykolwiek inne przyczyny popychały producentów do brania udziału w wystawach.

Jeżeli znów rolnicy tutejsi, późno zawiadomieni o wystawie rolniczéj w Moskwie, nie zdążyli się do niéj przygotować, to ma dowodzić, że unikają zbliżenia z Cesarstwem, albo téż... że powodowani względami materyalnemi obliczyli, iż udział w téj wystawie nie rokuje

im korzyści, bo nie mogą liczyć na zbyt swoich produktów w guberniach Rosyi wewnętrznych.

I tak źle, i tak nie dobrze. Jeżeli się coś robi, to w celu zysku, który bywa karcony; jeżeli się nic nie robi, to dla uniknięcia zbliżenia i ta bierność znów bywa karconą. Proste zestawienie tych zarzutów uwalnia od ich rozbioru.

* * *

Dla kolonii letnich, jednéj z najmłodszych a najużyteczniejszych naszych instytucyi dobroczynnych, które umiały pozyskać sobie taką sympatyę ogółu, nadeszła chwila najważniejsza. Kwalifikowanie dzieci ukończone zostało 30-go marca; potém zaczną się szczegółowe oględziny przez lekarzy, celem oznaczenia stopnia nagłości wysłania na wieś. Grono osób, zgromadzonych około komitetu kolonii letnich, jak to z codziennych notatek w dziennikach publiczność przekonać się może, nie szczędziło energii, aby tak zmudnemu zadaniu podołać.

O ofiarności ogółu nikt nie wątpi; pożądanym jest tylko pośpiech, bo w końcu maja i początku czerwca pierwsze partye dzieci muszą być wysłane. Niech więc ci, co znaczenie kolonii dla zdrowia młodego pokolenia rozumieją—ze składkami i ofiarami śpieszą. Niech będą przekonani, że ich ofiary szybko na zdrowie i życie młodego pokolenia przemienione zostaną.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Leszczyński Prokop**, ksiądz zakonu OO. Kapucynów, urodzony w Braiłowie w r. 1810; mając lat 34 wstąpił do zakonu, od r. 1850 zaczął słynąć jako kaznodzieja; kilka jego mów mianych na pogrzebie znanych osobistości, między innemi Stanisława Jachowicza, wyszło z druku między r. 1850 a 1860-ym. Równocześnie pisał lub tłómaczył dobrym językiem mnóstwo dzieł treści budującéj, jak „Miesiąc Maryi" 1855 (liczne wydania), „Nowy miesiąc maj" 1862, „Żywot św. Ojca Franciszka z Assyżu" 1863, „Krótki rys życia św. Feliksa" 1865, „Święty Józef" 1872, „Żywoty świętych Pańskich" 1874 (dwa tomy), „Wielbij duszo moja Pana" 1870, „Święta Germana Pasterka", „Święta Zytta służąca" 1877. Wogóle dzieł przez niego napisanych lub tłómaczonych liczą 80. Umarł 27-go lutego r. b. w Nowem Mieście. Wspaniały pogrzeb był zewnętrznym wyrazem czci, jaką miano dla zmarłego.

† **Baraniecki Maryan Aleksander**, urodzony 8 grudnia 1848 r. w Warszawie, po ukończeniu gimnazyum wstąpił r. 1865 na wydział fizyko-matematyczny Szkoły Głównéj i ukończył go r. 1869 ze stopniem magistra. Potém dopełniał wykształcenia w Petersburgu, Krakowie i Lipsku, gdzie po napisaniu rozprawy „*Ueber die gegen einander permutablen Substitutionen*" otrzymał w r. 1871 stopień doktora filozofii. W Moskwie po obronie rozprawy „O funkcyach hypergeometrycznych" pozyskał w r. 1874 stopień magistra matematyki teoretycznéj. Powróciwszy do Warszawy, został w r. 1875 nauczycielem matematyki w gimnazyum II-ém, a w rok potém docentem uniwersytetu warszawskiego. W r. 1885-ym powołany został na profesora zwyczajnego matematyki w uniwersytecie jagiellońskim i w szkole poli-

technicznéj lwowskiéj. Wybrał Kraków, gdzie pomimo utraty wzroku prowadził wykłady (u siebie w domu przy końcu) do ostatnich niemal chwil życia. Umarł w marcu r. b. Z prac jego własnych, oprócz specyalnych rozpraw, należy wspomnieć „Teoryą wyznaczników" (1879), „Arytmetykę" (1884, drugie wydanie 1894), „Krótki wykład syntetyczny elementarnych własności przecięć stożkowych" (1885). Sprawozdania i krytyki z zakresu matematyki pisane w wydawnictwach polskich i niemieckich dopełniają obraz jego działalności. Prócz tego, wielkie położył zasługi dla pedagogii i nauki wogóle zorganizowaniem „Biblioteki matematyczno-fizycznéj", która wychodzi z zasiłku kasy pomocy im. Mianowskiego.

† **Fudakowski Zygmunt** urodzony w r. 1831, otrzymawszy uniwersyteckie wykształcenie, oddał się specyalnie technologii, mianowicie cukrownictwu i w kwestyi téj wiele drukował w pismach specyalnych. Zmarł w Kijowie 13 marca r. b.



Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Марта, 1895 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.



NOWE KSIĄŻ[illegible]

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. *Paweł Giraud.* **Opowiadania historyczne.** Grecya. Życie domowe i publiczne. Przełożył *J. L. Popławski.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo. str. 387.
2. **Pamiętnik Fizyograficzny.** Tom XIII, wyd. *A. Ślósarski* i *Br. Znatowicz* z zapomogi Kassy im. Mianowskiego. Warsz., 1895, 4-to, str. XIX + 152 + 30 + 230, z 7 tabl. rysunków.
3. **Zarys geografii powszechnéj** (poglądowéj) napisał *Wacław Nałkowski.* Z licznemi rycinami. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, wielkie 8-vo, str. 327.
4. *Gabryela Zapolska.* **Janka.** Powieść współczesna. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 2 tomy, 8-vo, I, str. 225; II, str. 364.
5. *Maryan Gawalewicz.* **Cudak.** Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 235.
6. *Władysław Reymont.* **Pielgrzymka do Jasnéj Góry.** Wrażenia i obrazy. Z illustracyami. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 132.
7. *Hajota.* **Jak cień.** Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo str. 336.
8. *Jerzy Lord Byron.* **Poemata,** poprzedzone wstępem przez *Piotra Chmielowskiego.* Warsz., nakł. S. Lewentala, 1895, 8-vo, str. XVIII i 598.
9. *Amand-Schweiger Lerchenfeld.* **Geografia powszechna** illustrowana. Przełożył i uzupełnił dr. *Karol Jurkiewicz.* Zesz. 31 (str. 25—48).
10. *Stan. Kluczycki.* **Niebo i ziemia.** Pogadanki spisane dla PP. Hr.hr. Róży i Zofii Potockich. Krak., 1894, 4-to, str. 520, z rysunkami i mapami.
11. **Pomoc dla rolników** w Austryi. Napisał dr. *Leopold Caro.* Lwów, 1895, 8-vo, str. 97.
12. **Sprawozdanie** wydziału Koła literacko-artyst. we Lwowie za rok 1894-ty. Lwów, 1895, 8-vo, str. 30.
13. **Henryk Rodakowski.** Skreślił dr. *Stanisław Tomkowicz.* Krak., Spółka wydawnicza pol., 1895, 8-vo, str. 23.
14. *Abgar-Sołtan.* **Z wiejskiego dworu.** Nowele. Krak., nakł. Spółki wydawniczéj pol., 1895, 8-vo, str. 281.
15. **Dzieła dramatyczne** *Williama Shakespeare* (Szekspira) w dwunastu tomach. Przekład *L. Ulricha.* Krak., nakł. G. Gebethnera i S-ki, 1895, 8-vo, t. IX, str. 273; t. X, str. 328.
16. **Słownik** nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich... ułożył *Erazm Majewski,* tomu I-go zeszyt 14-ty (ogólnego zbioru 24). Warsz., 1895, 4-to (str. 505 — 546 i LXI — LXIV).
17. *Aleks. Fredro.* **Damy i Huzary.** Komedye. (Bibl. powsz., Nr. 91 — 92). Warsz., Paprocki, str. 91 (kop. 20).
18. *M. Lermontow.* **Księżniczka Mary.** Powieść. Przełożył *Wiktor Luboradzki* („Bibl. Powsz.", Nr. 105 —106). Warsz., Paprocki, str. 136 (kop. 20).
19. *J. Korzeniowski.* **Pierwéj Mama.** Komedya. („Bibl. Powsz.", Nr. 113). Warsz., Paprocki, str. 36 (kop. 10).
20. *Ant. Malczewski.* **Marya.** Powieść ukraińska. („Bibl. Powsz.", Nr. 114). Warsz. Paprocki, str. 72 (kop. 10).
21. *J. Korzeniowski.* **Spekulant** („Bibl. Powsz.", Nr. 117 — 120). Warsz., Paprocki, str. 309 (kop. 40).

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.